



BIBLIOTEKA
GAZETY
NIEDZIELNEJ

VERITAS

ANDRZEJ JANICKI

PRECZ Z KSIĘŻYCEM

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



VERITAS, LONDYN, 4-8, PRAED MEWS, W.2.
NAKLADEM KATOLICKIEGO
OSRODKA WYDAWNICZEGO

BIBLIOTEKA
" GAZETY NIEDZIELNEJ "
TOM XXI

Ilustracje:
Joanna Chrzanowska.

Printed by: Veritas Foundation Press,

Tegoż autora:

PORWANY W PRZESTRZEŃ

Powieść fantastyczna (3 tomy).

Veritas 1959-1961. Londyn

Biblioteka Gazety Niedzielnej

SPIS ROZDZIAŁÓW

CZEŚĆ I — ZIEMIA

- Rozdział 1 — Ciemności
- Rozdział 2 — Chesapeake Bay
- Rozdział 3 — Doktor Nemo
- Rozdział 4 — Jedziemy ich łapać
- Rozdział 5 — Hooknose
- Rozdział 6 — Sobowtór
- Rozdział 7 — „Everglades”
- Rozdział 8 — Zamach i widziadło
- Rozdział 9 — Pogwarki
- Rozdział 10 — Czyn Nancy

CZEŚĆ II — LUNA

- Rozdział 1 — Pod kopułą
- Rozdział 2 — Księżyc winowajca
- Rozdział 3 — Zamach na księżyc
- Rozdział 4 — Dajemy rozkaz robotom
- Rozdział 5 — Zasadnicza pomyłka

CZEŚĆ PIERWSZA

ZIEMIA

Rozdział I

CIEMNOŚCI

— Niestety — wydał wyrok dr Hopkins, rozkładając bezradnie ręce — nic już więcej dla pana zrobić nie zrobię.

— A więc nie ma dla mnie nadziei? — spytałem posępnie.

Różowe, pucołowate, oblicze dr Hopkinsa przybrało pogodny wyraz zawodowego optymizmu.

— Nasze doświadczenie lekarskie — rzekł — zna mnóstwo niespodzianek. Może jaki wstrząs...

— Czyż mnie pan doktor nie dość nawstrząsał? Jeszcze mnie dotąd przejmuje dreszcz na wspomnienie elektrycznych szoków, których tyle otrzymałem.

— Miałem na myśli wstrząsy życiowe...

— W rodzaju: skok z setnego piętra Empirea State Building ...

Doktor zachnął się. Najwidoczniej nie lubił żartów.

— Wiem, wiem, o co panu chodzi — dodałem pośpiesznie — Niech więc żywi nie tracą nadziei... dziękuję bardzo za starania... rachunek proszę przestać, jak zwykle, na ręce wuja do Miami. Thanks agnin!

Zbiegłem szybko po schodach. Miała mnie już wchłonąć rojna w tej popołudniowej porze waszyngtońska ulica, gdy przypomniało mi się, że w poczekalni zostawiłem książkę. Zawróciłem. Otworzyła mi drzwi asystentka doktora, przystojna Miss Smith.

— Zostawiłem książkę.

— Proszę bardzo — szczupła ręka o polakierowanych czerwono paznokciach wskazała uprzejmie drzwi poczekalni.

Wszedłem. Byłem tego dnia ostatnim pacjentem, toteż poczekalnię zastałem pustą. Przez lekko uchylone drzwi gabinetu doktora dobiegi mnie jego głos: prowadził rozmowę telefoniczną. Sięgnąłem po zapomnianą książkę i zastygłem w bezruchu. Mówiono o mnie.

— A tak, to była ostatnia wizyta ; nie dała także żadnych pozytywnych wyników. Jednakże w sprawie pana interesującej mogę zapewnić o prawdomówności pacjenta. Kilkakrotnie poddałem go hipnozie. Gdyby udawał, odkryłbym niezawodnie oszustwo w czasie transu.

Rozmówca na drugim końcu linii przemawiał dość długo, wreszcie do głosu przyszedł znów dr Hopkins.

— No tak, rozumiem, że musi pan mieć poważną podstawę do podejrzeń, ja jednak stwierdzam to, co mi dyktuje wiedza lekarska: jest to autentyczny wypadek częściowej amnezji. Przykro mi — dodał sucho — że moja diagnoza nie odpowiada pańskim teoriom, ale...

Z korytarza posłyszałem zbliżające się kroki. Schwyciłem książkę i czym prędzej opuściłem poczekalnię.

— Znalazł pan swoją książkę? — spytała wdzięcznie Miss Smith.

Zbiegiem pośpiesznie po schodach. Przy wyjściu na ulicę omal nie wpadłem na barczystego osobnika o kwadratowej twarzy. Rzuciłem mu krótkie „sorry” i skierowałem się do przystanku tramwajowego. Dyskretny rzut oka w szybę wystawowego okna, odbijającego sylwetki przechodniów, poinformował mnie, że potracony przed chwilą jegomość szedł za

mną. Wsiadłem do tramwaju. Wsiadł i on usadowiając się za moimi plecami. Czułem jego wzrok utkwiony w tyle czaszki.

— Znowu mam anioła stróża — westchnąłem.

Już od dawna stwierdziłem, że mnie śledzą. Bywały okresy, że nie mogłem się nigdzie ruszyć, żeby krok w krok nie poszedł za mną taki anioł stróż o niekoniecznie niebiańskim wyglądzie. Osobnicy ci zmieniali się często, doszedłem już jednak do takiej wprawy, że najczęściej na pierwszy rzut oka odkrywałem swego opiekuna.

Kto słał ich za mną i po co? Kto indagował dzisiaj dr Hopkinsa? Na próżno łamałem sobie głowę, czy stałem się przedmiotem zainteresowania obcego wywiadu, F.B.I.*), czy gangsterów?

Jakiż był sens śledzenia mej osoby, chyba nikomu nieszkodliwej, choć nie można powiedzieć, by tak zupełnie nieznaną. Dwukrotnie już bowiem pisały o mnie gazety. Po raz pierwszy, gdy zniknąłem tajemniczo w czasie wyprawy z wujem Józkiem na jachcie do Antyli. Po raz drugi, gdy odnalazłem się po dwóch latach w dżungli, zdrowy fizycznie, lecz nieświadomy, kim jestem i gdzie się znajduję.

Zabiegi lekarskie wróciły mi pamięć wydarzeń do momentu, gdy uciekając z jachtu opanowanego przez bandytów pograżyłem się w falach-morskich. Pamiętałem, że strzelano za mną, że nurkowałem kilkakrotnie i nagle pustka, ciemność... Co nastąpiło potem, pozostawało wciąż białą plamą na mapie mego życia. Świadkowie ucieczki sądzili, że dosięgła mnie kula i zatonąłem. Nie chcieli wierzyć dowiedziawszy się o moim odnalezieniu.

I tak upłynęło dziesięć miesięcy. Lekarze specjaliści, wresz-

cie taka sława psychiatrii jak dr Hopkins, dokładali wszelkich starań, żeby mi wrócić pamięć, niestety nadaremnie.

Przyjaciele i znajomi od dawna radzili zaniechać wysiłków:

**) Federal Bureau of Investigation — amerykańska federalna policja.*

— Po cóż ci pamięć — słyszałem wiele razy — tych obłąkanych lat spędzonych w dżungli na poziomie dzikiego zwierzęcia? Szkoda tylko pieniędzy wydawanych na lekarzy.

Obiektywnie rzecz biorąc, może mieli rację. Pieniądze jednak były nie moje, lecz wuja, a miał ich jak lodu. Ponadto owe dwa lata stanowiły część mego życia i miałem prawo wiedzieć coś o nich. Wreszcie — jeśli przez cały ten okres biegałem nieprzytomnie po dżungli, to czemu mnie teraz śledzono uparcie? Jak to się stało, że zniknęły z mego ciała blizny po ranach otrzymanych na wojnie? A nowe zdrowe zęby na miejsce powyrywanych i poplombowanych na pewno nie wyrosły, wskutek jedzenia surowego mięsa a la Tarzan.

Tramwaj skręcił gwałtownie w lewo. Mignął widok dworca kolejowego z wielką fontanną, w której hałaśliwie pluskały się murzyniátka. Był to już koniec maja i nadeszła pierwsza fala upałów. Za zakrętem tramwaj zatrzymał się naprzeciwko **poczty** głównej. Pośród wsiadających rozpoznałem Nancy. Koleżankę z uniwersytetu.

Miałem skinąć na nią, by zajęła wolne miejsce obok mnie, gdy nagle zmroziło mnie to, co ujrzałem. Barczysty dryblas, który mnie śledził, zerwał się. Przepychając się co wyjścia, nachylił się nad Nancy, jakby jej coś szepnął i wyskoczył z wozu, gdy drzwi się już zamykały. Wtedy Nancy dostrzegła mnie.

— Halo, Andy! — rzuciła przywitanie — można koło ciebie

usiąść?

— Proszę bardzo — odpowiedziałem sucho.

Wyczuła widocznie niechęć w moim głosie, bo jej wielkie bardzo niebieskie oczy spojrzały na mnie badawczo spod czarnej czupryny, spadającej na czoło. Usiadła.

— Cóż dr Hopkins ostatecznie powiedział?

— Radził mi wyskoczyć z okna kilkupiętrowego budynku — odpowiedziałem nieścisłe — tylko taki wstrząs może coś pomóc. On sam nic więcej nie poradzi.

— Wyskoczyć z okna? — spytała Nancy — przecież to samobójstwo.

Popatrzyłem na nią z ukosa. Niemożliwe żeby taka inteligentna dziewczyna nie miała w sobie ani odrobinki poczucia humoru. Chyba żartuje. Przypomniałem sobie jednak, że nie raz już brała dosłownie moje żartobliwe powiedzenia. Widocznie jej geniusz rozwinął się w jednym tylko kierunku...

Bo Nancy była swego rodzaju geniuszem. Miała niezwykłą pamięć. Jakże często słuchaliśmy z podziwem, jak słowo w słowo potrafiła powtórzyć cały wykład profesora z jego pomyłkami nawet, zająknięciami i pochrząkiwaniem. Umiała dodawać i odejmować, mnożyć i dzielić z zadziwiającą, szybkością. Rozwiązanie najtrudniejszego nawet zadania matematycznego nie zdawało się sprawiać jej najmniejszej trudności.

Te fenomenalne zdolności ujawniły się w niej niedawno. Przed dwoma laty była jeszcze zupełnie „normalnym” ludzkim stworzeniem. Pamiętam ją jako koleżankę bardzo wesołą, zawsze uśmiechniętą, pełną wdzięku i południowego temperamentu, odziedziczonego po matce Argentynce. Nagle, kilka miesięcy temu, to wszystko uległo zmianie. Nancy spoważnia-

ła, zamknęła się w sobie. W obcowaniu z innymi dała się zauważyć u niej pewna sztywność. Gdy się z nią rozmawiało, na ustach jej jawił się sztuczny półuśmiech, który mnie zawsze mocno denerwował. Tym bardziej, że lubiłem Nancy.

Dzięki ojcu, pracującemu w amerykańskiej służbie dyplomatycznej, poznała kawał świata; poza angielskim władała biegle językiem hiszpańskim, niezłe portugalskim i francuskim.

Dało jej to wszystko szerokie horyzonty myślowe, dość rzadkie u dziewcząt amerykańskich. Przed zmianą, która w niej zaszła, gawędziłem z nią często i szukałem jej towarzystwa. Po zmianie trudno z nią było prowadzić swobodną, przyjacielską rozmowę. Sama jej prawie nigdy nie zaczynała. Zapytana, odpowiadała krótko, bardzo treściwie i zaraz milkła. Ta chłodna postawa nie odepchnęła mnie jednak, raczej intrygowała.

Otoczenie, a szczególnie nasi uniwersyteccy psychologowie, usiłowali przeniknąć tajemnicę ujawnienia się jej nadzwyczajnych zdolności. Nie zgodziła się na żadne psychoanalityczne testy, hipnozę, badania medyczne. Dawnych przyjaciół zbywała, lakonicznymi odpowiedziami. Odczepiono się też od niej wkrótce, pozostawiając samej sobie.

Podejrzewałem, że poza tą maską chłodu kryją się jakieś głębokie, może bolesne, przeżycia wewnętrzne. Sam, cierpiąc nad białą plamą w pamięci, współczułem Nancy, starałem się do niej zbliżyć, lecz nie zdołałem przedrzeć się przez zapocę tajemnicy.

Dziewczyna jednak wyczuwała pewnie moją życzliwość i potrzebowała jej, bo jakoś stałe trzymała się blisko mnie.

Muszę przyznać, że sprawiało mi to przyjemność.

W tej chwili jednak zrodziło się we mnie podejrzenie, że Nancy włączona jest w krąg śledzących mnie sił, że szuka mego towarzystwa nie z potrzeby serca, ale z czyjegoś nakazu.

Tramwaj wjechał w Michigan Avenue. Po lewej stronie, za ogrodzeniem, rozciągał się lasek „Soldiers Home”, po prawe; zaczynał zadrzewiony teren „Trinity College”, szkoły dla zamożnych dziewcząt. Nancy zerwała się z miejsca.

— Muszę tu wysiąść — powiedziała — wpadnę na chwilę do koleżanki. Może poczekaasz, na mnie, to potem razem pójdziemy piechotą do uniwersytetu?

Tramwaj zatrzymał się przed kolegium. Wysiadłem i ja.

Dziewczyna szybkim krokiem skierowała się do wielkiego szarego gmachu. Wiodłem za nią oczyma, gdy mijała klomb pełen czerwonych kwiatów. Była bardzo zgrabna.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, zwróciłem wzrok w lewo ku wielkiej, nowoczesnej kaplicy, której wybudowanie kosztowało ponoć ponad milion dolarów. Lubiłem do niej zachodzić nie ze względu na ten milion, ale na nastrój modlitewny, który w niej panował. Zastanawiałem się, czy i teraz nie wpaść tam na chwilę...

Wtem czyjaś ręka ujęła mnie brutalnie za lewe ramię, a coś twardego stuknęło w plecy. Szarpnąłem się i obejrzałem: któż to sobie tak ze mną poczyna bezceremonialnie? Był to ten sam barczysty blondyn z kwadratową twarzą, który mnie śledził. Nie zdążyłem otworzyć ust ze słowami protestu, gdy za prawe ramię uchwycił mnie drugi osobnik w panamie mocno wciśniętej na oczy. Niższy i drobniejszy od pierwszego, miał przecież dłoń stalową i zdawał się ważniejszy z nich obu.

— Ani słowa! — rzucił przez zęby — idź! — popchnął mnie w kierunku ulicy.

— Co to wszystko ma znaczyć? — próbowałem protestować.

— Mordę w kubeł! — odezwał się niesalonowo blondyn — bo dam w czapę i do piachu!

Pociągnęli mnie ku czarnemu „Chryslerowi”. Rzucąłem wokół rozpaczliwe spojrzenia. Jezdnią mknęło kilka samochodów, ale na chodniku nie było przechodniów. Ledwo znalazłem się wewnątrz wozu, drugi z mych prześladowców wyciągnął z czarnej teczki strzykawkę. Chciałem się bronić, lecz wykręcili mi ramię i dokonali zastrzyku. Zdołałem jeszcze zauważyć, że jedziemy przez „Monroe Street”, po czym ogarnęła mnie ciemność.

*

*

*

Leżałem na twardym tapczanie w jakiejś piwnicy bez okien. Nad zamkniętymi drzwiami paliła się wątła lampa elektryczna. Usiadłem z trudem. Członki ciążyły jeszcze, a głowa była jak z ołowiu. Oparłem się plecami o wilgotną ścianę. Po przeciwległej stronie stał drugi tapczan, na którym ktoś leżał plecami do mnie pochrapując od czasu do czasu. Był wysokiego wzrostu, bo bosa nogi wystawały poza tapczan. Duże, dawno nieczyszczone obuwie wałało się porzucone nieporządnie koło tapczana.

W pomieszczeniu było bardzo duszno i gorąco, toteż ściana miło chłodziła plecy. Siedziałem dłuższą chwilę bez ruchu, gdy

wtem wydało mi się, że leżące buty drgnęły.

— Pewnie mysz w nie wlaźła — pomyślałem.

Tymczasem buty nie tylko drgnęły... uniosły się raptownie na wysokość metra i zawisły w powietrzu.

Zaśmiałem się.

— Gość robi kawały i podciąga buty na nitce. Dobrze, że mam jakiegoś wesołego współwięźnia.

Czekałem, aż się podniesie i nawiąże rozmowę, gdy stare krzesło stojące w kącie raczej nieoczekiwanie przemaszerowało przez pokój. Buty nadal trzymały się w powietrzu.

Podniosłem się ociężale i zacząłem lustrować trzewiki. Żadnej nitki. Spróbowałem je poruszyć. Ani drgnęły. Rozzłościło mnie to. Podszedłem do tapczanu i targnąłem leżącego za ramię. Poderwał się. Usłyszałem za sobą stukot spadających butów.

— Oprzytomniałeś już? — spytał ziewając.

Patrzyły na mnie z kościstej twarzy przyjazne szare oczy. Jasna, rozczochrana czupryna, zdecydowanie za długi nos, silnie zarysowana szczęka, odstające uszy nie tworzyły pięknej całości, niemniej było coś pociągającego w tej twarzy. Wzbudzała zaufanie.

— Nazywam się Joe Arrowsmith — wyciągnął do mnie wielką łapę, którą uściśniłem — jakżeś się tu znalazł?

Opowiedziałem.

— Podobnie było ze mną. Kilka dni temu wracałem wieczorem do domu. Napadło mnie kilku drabów, wciągnęło do auta. I jestem. Nie wiem jednak — wskazał ręką na piwnice — gdzie się ta nora znajduje.

— Czego chcą od ciebie?

— Mnie... tego... — zająknął się zakłopotany — mnie duch prześladuje i wyprawia różne rzeczy, ale oni nie chcą wierzyć w ducha i pytają się, jak ja to robię...

— Jakie rzeczy?

— A — odpowiedział niechętnie — jak śpię, to meble się same ruszają, obrazy spadają ze ścian i tym podobne...

— Buty fruwały w powietrzu — dorzuciłem.

— Widziałeś? — westchnął ciężko — Ale po co ciebie tutaj przywieźli? Czy też masz do czynienia z duchami?

— Raz widziałem coś podobnego do ducha, ale o tym nikt nie wie. Nie mam pojęcia, czego mogą chcieć ode mnie. Nie orientujesz się, kto oni są?

— Nie. W każdym razie chamy jakieś, bo stosują tortury.

— O! — uczułem, że ciarki po mnie poszły. Wołałem na razie nie dowiadywać się, o jaki rodzaj tortur chodzi.

Joe wzbudzał we mnie coraz większą sympatię. I ja czułem, że robię na nim dobre wrażenie. Wspólna niedola zachęcała do zwierzeń. Opowiedziałem mu swoją przygodę na Antylach.

— Musieli cię tu ściągnąć — powiedział, gdy skończyłem w związku z tamtą sprawą. Może to zemsta bandytów?

— Nie chodziliby rok za mną, by mnie dopiero teraz złapać. Mieli po temu tysiączne okazje... ale mniejsza o to. Opowiedz mi teraz o tym twoim duchu.

Joe milczał przez chwilę. Zastanawiał się może, czy ma mi powierzyć swoją tajemnicę. Wreszcie pokrótce opowiedział swą dziwną historię.

Toczyła się właśnie wojna na Korei. Joe'go powołano do wojska i wysłano na front. Brał udział w niejednej bitwie i miał już na sumieniu niejednego północnego Koreańczyka.

Któregoś dnia brał udział w zasadzce na grupę Koreańczyków, którzy przeniknęli na tyły armii amerykańskiej. Kilkunastu nieprzyjacielskich żołnierzy zatrzymało się dla odpoczynku w niewielkiej dolinie, nie zdając sobie sprawy, że za krzakami, które nieprzeniknionym gąszczem obsiadły zbocza, czai się śmierć.

Joe wziął na muszkę automatycznego pistoletu młodego wojaka, który złożony u nóg broń i plecak skręcał papierosa. Dzielili ich przestrzeń kilkunastu kroków. Dowodzący oddziałem Joe nacisnął języczek spustowy pistoletu i z krzykiem wyskoczył z ukrycia, dając tym hasło do ataku. Młody Koreańczyk, ugodzony serią pocisków, zachwiał się, lecz nie padł od razu. Zwrócił twarz ku swemu zabójcy. Na Joe'go spojrzali oczy, w których nie było nienawiści, ale przejmujący wyrzut bezdenne go smutku.

Joe stał jak skamieniały. Nie mógł się długo poruszyć nawet wtedy, gdy martwe ciało żołnierza zważyło się na ziemię.

To wydarzenie złamało go. Nie mógł już dalej walczyć. Lekarz stwierdził szok nerwowy. Poddano go leczeniu, wreszcie zwolniono z wojska do domu jako wypadek beznadziejny. Bo Joe, choć pozornie przyszedł do siebie i w dzień wydawał się normalnym człowiekiem, po nocach miał widzenia, którym towarzyszyły zjawiska lewitacji przedmiotów.

— W ostatnich dwóch miesiącach — mówił — zmieniłem już pięć mieszkań. Z każdego mnie wyrzucają. Na domiar złego muszę jeszcze płacić za pobite lustra, połamane meble i potrzaskane obrazy. „On” spać mi nie daje, ściąga ze mnie kołdrę, podnosi z łóżkiem do góry i co najgorsze patrzy na mnie, patrzy... tak jak wtedy...

Wstrząsnął się.

— Już parę razy myślałem o samobójstwie.

— Byłeś u psychiatry?

— U psychiatry? Leczyli mnie przecież w wojsku, ale co psychiatra pomoże przeciw duchom? Uderz się chłopie palcem w czoło. Byłem u znajomego księdza. Pokropił mnie wodą święconą, odmawiał modlitwy. Zamówiłem Msze św. gregoriańską za duszę mego Koreańczyka. Wszystko na nic... a ci idioci tutaj pytają się jak ja to robię.

Współczułem mu, ale daleki byłem od wiary w ducha. Oczywiście przeżywał chorobliwe halucynacje. Jak jednak wytłumaczyć ten taniec przedmiotów?

Usłyszeliśmy kroki za drzwiami. Przyniesiono nam jedzenie. Jeden z opryszków postawił tacę na krześle, drugi stał za nim z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Po ich odejściu zabraliśmy się do jedzenia. Było smaczne i obfite.

— Jedyne szansa wyrwania się stąd — stwierdził mój towarzysz to obezwładnić ich, gdy znowu przyniosą żarcie.

-- Przestałem z gołą piersią rzucać się na lufy — odburknąłem — można się skaleczyć.

-- A ja już tak długo nie wysiedzę.

Nie minęła godzina, gdy znowu zastukały buty w korytarzu. Wyprowadzono mnie. Znalazłem się w sąsiedniej celi. Stał tam duży stół i kilka krzeseł. Za stołem siedział grubas z cygarem w zębach. Wyglądał na południowca, cerę miał śniada, grube wargi, zaczerwienione, nieco wyłupiaste oczy. Spojrzenie cyniczne, nieprzyjazne i pogardliwe. Typowy „boss” z podziemnego świata, jakich tuzinami widuje się na filmach kryminalnych.

— Gadaj całą prawdę — przemówił twardym nie-amerykańskim akcentem — jak to było z tym twoim dwuletnim zniknięciem. Gdzie byłeś?

— Sam radbym to wiedzieć. Niestety prawdą jest, że kompletnie straciłem pamięć tego okresu.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie i skinął na dwu drabów, którzy niedwuznacznie przysunęli się do mnie.

-- My tu mamy sposoby, by ci przypomnieć, czym; byłeś sto wcieleń wstecz — (gość widocznie był teozofem i wierzył w reinkarnację) — ale to troszkę boli... może lepiej przypomnimy sobie? he?

— Telefonowaliście przecież do dr Hopkinsa i wyjaśnił wam, że naprawdę cierpię na amnezję... podsłuchałem przypadkiem rozmowę.

Grubas zdawał się być zaskoczony.

— Jak to było?

Opowiedziałem.

Popatrzył niepewnie po twarzach dwóch drabów.

-- Kto to mógł być? — mruknął — Jeśli policja się nim też interesuje, to może być kłopot. Odprowadzić go!

Ocaliło mnie to na razie od bicia.

— Co tak szybko? — zdziwił się Joe, gdy znalazłem się z powrotem w celi — nie tłukli cię?

Zdałem mu sprawozdanie z przebiegu śledztwa.

—Co, to znaczy mieć szczęście — odpowiedział z goryczą — ciebie na pewno szybko puszcza, a ja tu zgniję lub mnie zatłuką na śmierć. Wszystko przez tę śmierdzącą wojnę. Gdyby nam się nie kazali wzajemnie zabijać, mój Koreańczyk żyłby dotąd, ja byłbym normalnym człowiekiem i nigdy bym się tu

nie dostał... czas najwyższy, żeby bomba atomowa nas wszystkich uśmierciła — dodał niezbyt konsekwentnie.

Próbowałem go pogodniej nastroić, ale zaciął się. Leżał na łóżku z oczami utkwionymi w sufit i nic odzywał się ani słowem. Widząc, że nic nie wskóram, przerwałem swój monolog i po chwili zdrzemnąłem się.

Gdy otworzyłem oczy, spostrzegłem, że światło jakby przygasło i w naszej celi coś się zaczyna dziać. W prawym kącie naprzeciw tapczanu mego towarzysza zjawiła się lekka mgiełka. Po chwili zgęstniała przybierając kształt ludzkiego ciała. Z sąsiedniego tapczanu dobiegł jęk. Joe wpatrywał się w zjawę. Twarz miał straszną, wykrzywioną bólem i strachem. Zjawisko zaś stawało się coraz wyraźniejsze. Widziałem już dobrze skośne, czarne oczy patrzące na Joego z wyrzutem i jakby groźbą. Na piersi żołnierskiego munduru rosła czerwona plama krwi.

Serce podeszło mi do gardła, a włosy zjeżyły się na głowie.

— Czy widzisz? — Joe patrzył teraz na rżnię trzęsącą ręką wskazując zjawę.

Skinąłem głową nie mogąc wydobyć głosu.

Przeżegnałem ducha... nie zniknął. Wtedy w przypiływie szaleńczej odwagi zerwałem się z tapczana i skoczyłem ku zjawie. Odczułem niezwykle zimno. Duch nie zareagował zu-



zjawisko stawało się coraz wyraźniejsze.

pełnie na moje zbliżenie. Patrzył nadal przed siebie. Nie miałem odwagi go dotknąć i przekonać się, czy mój palec natrafi pustkę, czy wyczuje jakiś opór.

Stałem więc niepewnie, ale zjawą zaczęła się już rozpląwać i za chwilę zniknęła zupełnie, światło w celi wróciło do normalnego blasku.

— Teraz mi wierzysz? — spytał Joe. Był jeszcze bardzo blady.

— Nie mogę, nie wierzyć, ale...

— Jakie mogą być „ale”?... autentyczny duch jak w starych zamkach, lecz tym razem przypisany do osoby.

Nie odpowiedziałem dłuższą chwilę. W umyśle jawiła mi się inna interpretacja zjawiska i dziwiłem się, skąd się tam wzięła.

— To nie duch — rzekłem wreszcie stanowczo — to uzewnętrznienie zawartości twojej własnej psychiki i jej przeżyć. Ty sam, a właściwie twoja podświadomość porusza przedmioty, tworzy tę zjawę. Jak? Naturalnie nie wiem. Zabicie tego Koreańczyka było dla ciebie niezwykle silnym wstrząsem, który wyzwolił siły drzemiące gdzieś w najgłębszych pokładach ludzkiej natury. Są to wypadki rzadkie, ale się zdarzają. Ja sam spotkałem już w swym życiu ludzi, którzy nawet potrafili świadomie kontrolować te siły...

Urwałem gwałtownie potok stów... „Spotkałem ludzi, którzy...” Gdzie ich spotkałem? Nic podobnego nie zdarzyło się w moim życiu. Co ja gadam?

Joe patrzył na mnie sceptycznie.

— Naprawdę? — spytał z niedowierzaniem — Teraz rozumiem dlaczego mnie tutaj męczą, ale to nie może być, żebym

ja sam...

Nie odpowiadałem. Umysł mój czynił szalony wysiłek, by przytrzymać ten skrawek światła, który zapalił się na sekundę w miłościach i zgasł.

Pokręciłem niechętnie głową. Nic z tego.

--- To wszystko zachodzi poza kręgiem twojej świadomości i dlatego trudno uwierzyć, że bierzesz w tym jakiś udział — perorowałem — Niemniej zjawisko psychokinezy istnieje i twój przypadek można w ten sposób wytłumaczyć.

— Gdybym rzeczywiście wiedział, jak to robię, to bym tych draniów wydusił poprzez ścianę i ucieklibyśmy jak nic.

— Spróbuj. Skup się i postaraj się podnieść do góry na przykład to krzesło.

— E, nic z tego nie będzie.

Poszedł jednakże za moją radą i przez kilka minut wpatrywał się w krzesło z takim napięciem, że mu o mało oczy nic wyskoczyły na wierzch. Krzesło nic poruszyć się.

-- Daj mi spokój, — rzekł wreszcie — nie bądźmy dziecinni.

— Nie zniechęcaj się tak łatwo — odparłem — Musi być jakiś sposób, jeśli przez sen to robisz...

W tej chwili przyszło olśnienie.

— Mam, mam — krzyknąłem — zahipnotyzuję cię. Dotrę w ten sposób do twojej podświadomości i nakażę jej poruszanie przedmiotów.

— Umiesz hipnotyzować?

— Tak, doskonale — odpowiedziałem bez wahania i natychmiast zdziwiłem się własnym słowom. Jak mogę mówić „tak”, gdy nigdy tego nie robiłem... skąd więc wiem, jak się

do tego zabrać? Ale mniejsza o to...

Ułożyłem Joe'go wygodnie na tapczanie, tyłem do lampy. Zdjąłem z ręki zegarek i trzymając go nieco powyżej poziomu oczu mego towarzysza, poleciłem, by się weń wpatrywał. Spoglądanie na błyszczący przedmiot powoduje zmęczenie oczu i ułatwia sugestię senności.

— Rozluźnij wszystkie mięśnie: stopy, nogi, brzuch, ręce.

Oddychaj swobodnie, swobodnie... teraz czujesz, jak ogarnia cię coraz większa senność... powiek, ciężą, ciężą... całe ciało ogarnia błoga niemoc, błoga niemoc... powieki opadają, opadają... zasypiasz coraz głębiej, coraz głębiej... powieki coraz niżej, niżej... — mówiłem bezbarwnym, monotonnym głosem.

Oczy Joe'go zamknęły się. Powtarzałem nadal sugestie, starając się wprowadzić go w głęboki trans. Okazał się doskonałym medium. Już po paru minutach spał głębokim snem hipnotycznym, co rzadko się zdarza przy pierwszej próbie.

Kazałem mu przejść się po pokoju, spełnić pewne czynności, odpowiedzieć na kilka pytań — wykonał to wszystko z zupełnym poddaniem się mej woli. Aż mi było jakoś nieswojo, że uzyskałem taką absolutną władzę nad innym człowiekiem.

Przeszedłem teraz do najważniejszego punktu naszego doświadczenia, od udania się którego zależała nasza wolność. Będę mógł użyć ukrytej w Joe'm siły psychokinetycznej, czy nie będę? Z wielką tremą powiedziałem:

— **A** teraz, nie ruszając się z tapczana, przekręć zamek i otwórz drzwi!

Słuchałem i patrzyłem z zapartym oddechem. Zamek zazgrzytał. Niewidzialna ręka przycisnęła klamkę, drzwi się uchyliły.

Wyrzałem na zewnątrz. Na korytarzu, słabo oświetlonym lampką, nic było nikogo.

— Chodź za mną! — nakazałem Joe'mu nie budząc go z transu. Minęliśmy celę przesłuchań i zbliżaliśmy się do zakrętu korytarza, gdy gdzieś przed nami stuknęły drzwi i rozległy się szybkie kroki. Zza rogu wyszedł drab z kwadratową twarzą. Na nasz widok sięgnął ręką do kieszeni.

-- Joe! — krzyknąłem — stąd, gdzie jesteś, rzuć go o ścianę!

Niewidzialna siła podniosła opryszka i cisnęła o mur. Aż huknęło. Nieszczęśnik zwałił się na podłogę. Omdlały tylko, czy. nieżywy? Nie było czasu na sprawdzanie. Podbiegłem i wyjąłem mu z kieszeni rewolwer.

— Idź nadal za mną! — nakazałem Joe'mu — Cicho!

Minęliśmy zakręt. Korytarz zamykały stalowe drzwi, obecnie uchylone. Dochodził spoza nich gwar głosów i smakowite zapachy. Kuchnia musiała być niedaleko. Zajrzałem ostrożnie przez szparę. Stwierdziłem, że kuchnię mamy po prawej stronie, naprzeciw dwoje zamkniętych drzwi, na lewo wąskie schody prowadzące w górę. Na półpiętrze majaczyło niewielkie okno, szeroko otwarte. Za nim panowała noc.

Przez, okienko wydostaliśmy się na zewnątrz. Znajdowało się na wysokości gruntu. Byliśmy w ogrodzie. Z okien ponad nami biła łuna światła, dochodził brzęk talerzy, rozmowy, śmiechy, muzyka. Odbywało się przyjęcie.

Zagłębiliśmy się w ogród. Zastłoniły nas krzaki i drzewa. Teraz należało obudzić towarzysza. Dla obrony w razie czego miałem rewolwer, a trzeba się naradzić, co dalej robić.

— Joe, obudź się!

Potrząsnął głową, otworzył oczy i rozejrzał się zdumiony

po otoczeniu:

— Cicho! — szepnąłem, uprzedzając pytania — wydostaliśmy się, jesteśmy w ogrodzie i musimy wiać dalej.

Joe w mig opanował zdziwienie i stanął na wysokości sytuacji.

— Musimy zidentyfikować dom — powiedział cicho - żeby potem do niego trafić. Trzeba wiedzieć gdzie i kto nas więził.

Wyjrzelśmy ostrożnie spoza krzaków. Dom był duży, masywny, wzniesiony w jakimś nieokreślonym stylu. Znajdowaliśmy się na jego tyłach w ogrodzie czy nawet parku — w ciemnościach nie można było dojrzeć krańca. Postanowiliśmy obejść dom, dookoła. Na froncie powinna się znajdować jakaś tabliczka, czy inny znak rozpoznawczy, tam też musiała być brama prowadząca na ulicę. Niebo nad nami paliło się czerwoną łuną — znak, że jesteśmy w mieście.

Posuwaliśmy się ostrożnie wąską alejką, gdy coś zaszeleściło za nami i uszu naszych dobiegł szept:

— Andy!

Obejrzałem się i odruchowo wysunąłem lufę pistoletu. Któż u licha...?

Aż, mi dech zaparło ze zdziwienia, gdy z mroków nocy wychyliła się Nancy. Nic było na tyle ciemno, bym jej nie mógł rozpoznać.

— Co ty tu robisz?

— Jestem na przyjęciu w ambasadzie, a teraz czekałam w ogrodzie, żeby ci pomóc. Chodźcie! Mam blisko zaparkowany samochód... tylko cicho, żeby nas kto nie widział.

Nie czekając na odpowiedź, Nancy ruszyła ostrożnie, ale pewnie. Widać znała miejsce doskonale.

Wahałem się, co robić. Podchwycona w tramwaju wymiana spojrzeń między nią, a śledzącym mnie drabem, potem prośba, bym czekał na nią przed „Trinity College”, to wszystko wyglądało na świadome wprowadzenie w zasadzkę. Teraz jej obecność w miejscu, gdzie byłem więziony... Należało, by właściwie ją skrupować, zakneblować usta, zostawić w krzakach i wiać. Ale czy zdołamy to zrobić bez hałasu? Niech dziewczyna zacznie wrzeszczeć... Miałem co prawda w ręku rewolwer. Uderzenie kolbą w tył głowy powinno ją obezwładnić. Nie mogłem jednak jakoś zdobyć się na ten brutalny akt. Na filmach to wygląda prosto, ale...

Szliśmy więc na razie za nią. Prowadziła tam, gdzieśmy sami postanowili pójść: przed front budynku. Parę razy zatrzymaliśmy się za krzakami, żeby przepuścić szepczące parki.

Słyszeliśmy rozmowę w kilku językach — rzeczywiście więc było to przyjęcie dyplomatyczne. Na obszernym placyku przed frontem gmachu stały zaparkowane samochody. Wielka lampa oświetlała jasno placyk i fronton budynku ozdobiony kolumnami. Tarcza z herbem od razu powiedziała mi, w podziemiach jakiej ambasady byliśmy więzieni. Tę wiadomość jednak zatrzymam przy sobie — są poważne względy, dla których nie chcę tego na razie ujawniać.

— Poczekajcie tutaj, aż wyprowadzę samochód — powie, działa Nancy.

Pozostaliśmy ukryci za drzewami. Nancy sprawnie wyprowadziła samochód i podjechała do nas. W sekundę później mknęliśmy szybko wielką, dobrze *mi* znaną, aleją, wysadzaną drzewami.

-- Nie zawiozę was do waszych mieszkań - powiedziała

Nancy - bo tam was przede wszystkim będą szukać. U nas przy domu jest garaż z niewielkim pokoikiem na pierwszym piętrze. Tam się prześpicie. Rano narazimy się, co dalej robić. Najroztropniej będzie oddać się pod opiekę policji.

Rozdział II

CHESAPEAKE BAY

Pokój nad garażem był mały, ale wygodny, z dwoma miękkimi łózkami. Zajmował go przedtem szofer z żoną, ale umarł przed tygodniem. Wdowa się wyprowadziła. Wzięliśmy prysznic, ubrali w piżamy ojca Nancy, których nam dostarczyła i z przyjemnością wyciągnęliśmy się na świeżo pościelonych łózkach. Nancy życzyła nam dobrej nocy i wróciła na przyjęcie do ambasady.

Joe zaraz zasnął, ja nie mogłem. Nie czułem się bezpieczny. Po głowie w dalszym ciągu chodziły podejrzenia wobec Nancy. Co ona powiedziała tam w ogrodzie? „Czekałam na ciebie”. Jak mogła czekać na mnie? Przecież nie wiedziała, że się zjawimy.

Przez otwarte okno doszły mych uszu stapania i szepty. Zerwałem się z łóżka i wyjrzałem. Przed bramą, w świetle ulicznej lampy, stał czarny „Chrysler”. Do garażu, który podobnie jak i dom był cofnięty od ulicy, szły ostrożnie trzy postacie. Po jasnej panamie rozpoznałem jednego z opryszków.

— Świetnie daliśmy się nabrać — pomyślałem, — Nie chcieli robić skandalu wobec zebranych gości, wobec tego Nancy przywiozła nas tutaj i zaraz się do nas dobiorą.

— Joe, Joe, obudź się! — szarpnąłem mego towarzysza za ramię — Te draby idą po nas.

Oprzytomniał momentalnie i zerwał się na równe nogi. Skoczyłem ku swoim spodniom po rewolwer. Nie było go kieszeni. Kiedy poszliśmy się kąpać, Nancy ścieliła łóżka.

Musiła wtedy wyciągnąć pistolet. Niech ją ...!

— Co robimy?

Schody cicho zaskrzypiały pod ostrożnymi krokami. Drzwi na klatkę schodową są zamknięte od wewnątrz, ale je bez trudu wywalą. Wciągnąłem Joe'go do korytarzyka, prowadzącego w jedną stronę do drzwi i schodów, w drugą do prysznica. Niewielkie okno wychodziło na sąsiednią posesję. Rozłożyste drzewo rośnie tuż.

— Nie ma co, — szepnąłem — jedyna droga ucieczki przez okno.

Joe nie oponował. Wskoczyłem pierwszy, uchwyciłem się dwoma rękami najbliższego konaru i za sekundę znalazłem się pod drzewem. Joe'mu też skok gładko poszedł. Staliśmy chwilę nad słuchując. Trzask wyłamywanych drzwi podziałał na nas jak uderzenie prądu elektrycznego. Rzucaliśmy się w głąb ogrodu w stronę bielejących ścian sporej willi. W oknach nie paliło się żadne światło. Widać mieszkańcy spali lub byli nieobecni. Zatrzymaliśmy się na krótką naradę.

— Na ulicę w piżamach głupio uciekać — szepnął Joe — Przeczekajmy, aż tamci znudzą się pościgiem i wrócimy po ubrania.

— Mogą czekać na nas. Lepiej zapukajmy do tego domu i poprośmy właścicieli o zatelefonowanie po policję.

— Patrz! — Joe schwycił mnie za ramię — To okno jest uchylone, włączmy do środka. Gospodarzy może nie ma, a jak będziemy stać przy frontowych drzwiach i dzwonić, to tamci nas złapią.

Pomyślałem sobie, że gdyby gospodarzy nie było, to by na pewno okna zostawili zamknięte. Niemniej była to naj-

szybsza droga do środka, a za nami słychać było już kroki. Joe podsadził mnie. Podniosłem okno wyżej i ostrożnie wsunąłem się do środka. Pierwszy rzut oka powiedział mi, że jestem w kuchni. Joe wlaźł tuż za mną i zamknął okno.

Nadśluchiwaaliśmy. Wewnątrz domu panowała cisza. Trzeba najszybciej znaleźć telefon. Ostrożnie nacisnąłem klamkę drzwi prowadzących do dalszych pomieszczeń i wszedłem do następnego pokoju. W domach amerykańskich sypialnie są zwykle na pierwszym piętrze, przypuszczałem więc, że się znajdę w salonie, jadalni lub w hallu. Uderzyło mnie w nozdrza duszne powietrze, jakie tworzy się zwykle przy dużym skupisku ludzkim. Ciemno było zupełnie. Postąpiłem krok naprzód. Usłyszałem stłumiony okrzyk przerażenia i przyspieszone oddechy paru co najmniej osób. Było to tak nieoczekiwane, że zgłupiałem i nie wiedziałem, co robić.

— Jak się nazywasz duchu? — padło nagie z ciemności pytanie, wypowiedziane kobiecym głosem o miłym brzmieniu.
— Powiedz swoje imię!

Chrząknąłem i chciałem coś odpowiedzieć, gdy uprzedził mnie Joe. Wszedł do pokoju i powiedział żartobliwie:

— Jesteśmy Gog i Magog, a ściga nas Belzebub... Barbara przerwij te wygłupy i zaprowadź nas do telefonu, bo się nam ziemia pali pod nogami. Musimy wezwać policję.

Zapaliło się światło. Byliśmy w salonie. Wokół stołu siedziało co najmniej dziesięć osób. Przeważnie starsze panie i jeden siwy pan. Uwagę moją przykuła młoda dziewczyna o złotych włosach, bogatą falą spadających na plecy. Była blada, nieruchoma, oczy miała zamknięte.

— Medium — pomyślałem — wpadliśmy na seans spi-

rytystyczny. Ależ mam szczęście! Widać zaświaty uwzięły się na mnie.

Przewodniczyła zebraniu owa Barbara, kobieta o trudnym do określenia wieku; nie pierwszej już młodości, przecież przystojna i wyraźnie dbająca o siebie. Świadczyło o tym modne uczesanie, umiejętny makijaż, elegancka, czarna suknia z trochę nazbyt wciętym dekoltem. Wyglądała bardzo dystyngowanie, toteż zdziwiło mnie nieco poufale odezwanie Joe'go.

Towarzystwo patrzyło ze zdumieniem na dwóch intruzów w piżamach — całkiem nieoczekiwana „materializacja” przybyszy z zaświatów. Barbara nie straciła głowy. Zerwała się szybko, z godnością przeprosiła towarzystwo za chwilową przerwę i wyprowadziła nas do hallu.

— Co się stało? — zapytała Joe'go — Wiesz, że nie mam wielkiej ochoty zapraszać tu policji; nie ma oficjalnego zakazu seansów, ale ...

— To schowaj nas gdzieś — odpowiedział Joe — ale szybko! Gonią nas gangsterzy, obawiam się, że i tu mogą zajrzeć. Wyjaśnienia na potem ...

Barbara cofnęła się. Wywołała z saloniku dziewczynę o złotych włosach, która była nadal w transie. Szła automatycznie z otwartymi oczami, które nie dostrzegały otoczenia.

— Iza, schowaj ich do szafy w twoim pokoju, a sama - idź do łóżka! Jesteś bardzo, bardzo chora; będziesz jęczeć z bólu. I pamiętaj nie zapalać światła.

Iza bez słowa zaprowadziła nas na górę i wepchnęła do wielkiej szafy, w której wisały suknie.

— Słabe to schowanie — mruknąłem — przecież zawsze najpierw zagląda się do szafy, gdy się kogo szuka.

— Może się tu nie zjawią, nie przyjdzie im na myśl, żeśmy bezczelnie wleźli do obcego domu.

— Tyś już tu był? Skąd znasz tę Barbarę?

— Ona prowadzi seanse spirytystyczne. Iza to jej medium. Przychodziłem tutaj kilkakrotnie. Wywoływała mego ducha. Obiecywał, że mnie nie będzie więcej męczył, ale kłamał drań. Nic nie pomogło. To wszystko oszustwo, ale Barbara jest „fajna” kobieta, a ta jej Iza to istny cukierek ... pst... co to?

To posłuszna rozkazom Barbary Iza jęczała na łóżku.

— Udusimy się tutaj — szepnął Joe — Chodź, wyłączy. Draby i tak nic przyjdą.

Przedwczesny optymizm, bo właśnie doszedł naszych uszu przytłumiony dźwięk dzwonka.

— To oni.

— A może tylko zapóźniony amator duchów.

— Cicho!

Byli to nasi prześladowcy. Jak się potem miałem dowiedzieć, ich wtargnięcie do domu przebiegło następująco. Jeden zadzwonił. Gdy Barbara otworzyła, sterroryzował ją pistoletem. Drugi wlaźł od kuchni, albo przez to samo okno, co my, albo otworzył kuchenne drzwi wytrychem. Kazali starszym paniom i siwemu panu siedzieć cicho, a sami rozpoczęli poszukiwania od piwnicy. Zajrzeli we wszystkie możliwe skrytki na parterze i wreszcie wtargnęli do pokoju Izy.

— Dziewczyna jest chora — słyszeliśmy głos Barbary — jest podejrzenie o tyfus, proszę łaskawie mieć wzgląd —

— Zaniknij się! — syknął chropowaty głos — Jak już i tak wleźliśmy, to możemy zobaczyć, co jest w tej szafie. To tej ślicznotce nie zaszkodzi ...

A więc stale się.

— Wyłączyć!

Wygramoliliśmy się z szafy. Mrużyłem oczy przed blaskiem światła, i przed nieprzyjemnym widokiem osobnika z panamą na głowie i pistoletem w ręku. Popchnął nas do wyjścia, po czym kazał się zatrzymać.

— Zabieraj tę małą — zwrócił się do Barbary jedziecie z nami!

— Ale...

— Zamknij się! Jedziecie i już!

Barbara kazała Izie wstać. Narzuciła na nią japoński szlafroczek już na schodach. Drabom było śpieszno. W parę minut później mknęliśmy stłoczeni w znajomym „Chryslerze”. Nie cali nam tym razem zastrzyków, widocznie zapomnieli je zabrać ze sobą. Niemniej trudno było bronić się, czy krzyczeć z pistoletem wymierzonym prosto w serce. Obserwowałem, którądy jedziemy. Był to już stan Maryland. Samochód kierował się ku „Chesapeake Bay” — głębokiej zatoce wrzynającej się daleko w ląd. Jej poszarpane brzegi kryły w sobie tysiące małych zatoczek.

* * *

Siedzieliśmy w pokoju o zakratowanym oknie: Barbara, Iza i ja. Joe’go zamknięto osobno. Pierwsze pytanie, jakie skierowali do nas nasi porywacze, gdy wysiedliśmy z samochodu, było:

— W jaki sposób wydostaliście się? Czym ogłuszyliście Waltera? Czy to Nancy was uwolniła?

Milczeliśmy. Zaczęto ode mnie. Dostałem potężny cios w szczękę raz i drugi. Bojąc się, że za trzecim wybiją mi zęby, przerwałem bohaterskie milczenie:

— O.K, powiem. Wiecie, że jak Joe śpi, to różne przedmioty latają po pokoju. Otóż usnął i drzwi się same otworzyły. Wasz Walter miał nieszczęście iść właśnie korytarzem. Coś nim rzuciło o ścianę i zemdłał.

— Ładnie „zemdłał”. Ma pękniętą czaszkę i dotąd jest nieprzytomny — rzucił przez zaciśnięte zęby złoczyńca w panamie.

— Bardzo mi przykro, — wtrącił się Joe — ale człowiek we śnie nie odpowiada za swoje czyny.

— Shut up! (zamknij się!).

Drab patrzył na nas niepewnie, jakby zastanawiając się, czy ma przyjąć moje tłumaczenie, brzmiące tak nieprawdopodobnie. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Zamknąć go osobno — wskazał na Joe'ga — wlać mu w gardło z dziesięć kubków czarnej kawy i nie pozwolić zasnąć.

Tak nasza trójka znalazła się w osobnym pomieszczeniu. Dopiero teraz Iza na polecenie Barbary otrząsnęła się z transu *i* rozglądała się ze zdumieniem wokoło.

— Chciałam jej oszczędzić strachu — objaśniła Barbara — takie wrażliwe dziecko.

— Jak może ją pani używać do tych bzdurnych seansów? — spytałem z oburzeniem.

Żal mi było dziewczyny. Była przez cały czas taka blada bez kropli krwi w twarzy. Dopiero teraz, gdy przysła do siebie, zarumieniła się: zauważyłem też, że jest intensywnie opalona, aż za mocno niemal na blondynkę o niebieskich oczach. Te

oczy, niezwykle wielkie i piękne, wpatrywały się we mnie badawczo. Zanim Barbara zdążyła odpowiedzieć na moją uwagę. Iza rzuciła pytanie:

— Skąd cię znam? Czy myśmy się już kiedyś spotkali?

W jej wzroku wyczytałem jakby żarliwą nadzieję, pomieszaną z lękiem. Zrobiło mi się przykro, że muszę ją rozczarować:

— Dziś w nocy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Czy rzeczywiście? Dopiero, kiedy wypowiedziałem te słowa, ogarnęła mnie wątpliwość. Szukałem rozpaczliwie w głębinach pamięci, bo jednak w tej dziewczynie było coś znajomego. Ale gdzie? Kiedy? Czy zresztą młodemu człowiekowi trudno jest odkryć coś znajomego w każdej dziewczynie do tego tak pięknej jak Iza?

Moja odpowiedź ją zasmuciła, ale chyba nie przekonała. Nadał wpatrywała się we mnie badawczo. Barbara zdawała się zaniepokojona naszą rozmową, dopiero kiedy odpowiedziałem przecząco na pytanie Izy, odetchnęła z ulgą.

— Iza jest moją siostrzenicą — powiedział. — Rok temu oboje jej rodzice ulegli wypadkowi. Był to taki wstrząs dla niej, że straciła zupełnie pamięć przeszłości. Opiekuję się nią obecnie. Nie nazywaj spirytyzmu bzdurą, to bardzo poważna rzecz ...

Pomyślałem sobie, że na pewno poważna dla niej, bo musi dostarczać niezłych zarobków, wyłudzanych z kieszeni naiwnych. Uczułem niechęć do Barbary. Nic okazałem jednak tego na zewnątrz. Znaleźliśmy się we wspólnych tarapatach, a do tego obie kobiety cierpiały przez nas.

— Nie wierzę — powiedziałem szczerze — żeby na wa-

szych seansach zjawiały się, czy przemawiały przez medium autentyczne duchy, ale nie czas na dyskusje... lepiej pomysłmy, jaj się stąd wydostać.

Podszedłem do okna. Było okrętowane. Spróbowałem stalowych prętów — siedziały mocno. Nie tędy droga. Budynek, w którym nas więziono, był to zespół drewnianych baraków. Prawdopodobnie obóz letni nad zatoką. Przez okno widoczna była mała przystań, łódki, skocznia pływacka — wszystko oświetlone lampą zawieszoną na słupie.

Drzwi zamknięto na klucz, u klucz zabrano. Szkoda, bo można by go jakoś wydłubać z zamka, a potem wciągnąć przez szeroką szparę pod drzwiami.

— Ściany są drewniane i niezbyt grube — zwróciłem się do towarzyszek — gdybyśmy mieli nóż, można by zrobić dziurę ...

— Ba, żeby... — odparła Barbara — ale powiedz, jak wydostaliście się przedtem? Chyba nie powiedziałaś prawdy tym gangsterom.

— Niezupełnie; zahipnotyzowałem bowiem Joego i pokierowałem jego tajemną siłą, która otworzyła drzwi i obezwładniła Waltera... ale wiesz co? Może udałoby się to samo z Izą. Czy nie występuje u niej czasem zjawisko telekinezy?

— Nie zauważyłam dotąd, lecz nie zaszkodzi spróbować.

Próba wypadła negatywnie. Iza pogrążona w głębokim transie nie potrafiła otworzyć drzwi. Za to opisała nam dokładnie rozkład budynku, gdzie są i co robią poszczególni bandyci, dała nam dokładne informacje o Joe'm.

—Znajduje się o dwa pokoje od nas — mówiła — przywiązany do krzesła, a przed oczami ma silną lampę. Nie śpi, i

przeklina na cały głos ... bardzo brzydko.

Te informacje nie wiele się przydały. Zrobiło nam się natomiast przykro mi, że tak męczą biednego Joe'go.

— Jeśli przeklina, to znaczy, że się jeszcze nie załamał — rzuciła na pociechę Barbara.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina trzecia w nocy. Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, jak bardzo jestem zmęczony. Moje towarzyszki też ledwo trzymały się na nogach. Rzuciliśmy się więc na rozłożone na podłodze materace. Sen zmorzył nas w jednej chwili.

Obudziło mnie słońce świecąc w twarz. Uniosłem się na łokciach. Obok spała Iza. Spod japońskiego szlafrocza, którym była nakryta, wystawało obnażone ramię o złocistej opaleniznie. Spojrzałem na jej nogi: to samo. Był to dopiero maj, gdzie mogła się aż tak opalić?

Dziewczyna otworzyła oczy. Zobaczyła, że na nią patrzę. Uśmiechnęła się.

— Co się tak przyglądasz? — szepnęła.

— Zastanawiam się, gdzie się tak opaliła? — odparłem.

— Nie wiem. Odkąd pamiętam, całe moje ciało jest brązowe i nigdy nie traci tego koloru. Ale i ty jesteś ładnie opalony.

— Odkąd wróciłem z Antyli, to mi jako opalenizna nie chce zejść. Lecz nic dziwnego: przez dwa lata ganiałem nagi po dżungli, to przywarło do mnie...

— Powinieneś być raczej zielony — zażartowała Iza — ale jak to się stało, żeś udawał dzikusa?

— Nie udawałem. Byłem nim naprawdę. Opowiem wam później, jak się Barbara zbudzi.

Teraz z kolei Iza przyglądała mi się badawczo.

— Czy ty nie masz zarostu? — zapytała nagle.

Przeciagnałem ręką po gładkiej brodzie i policzkach.

— Od powrotu z Antyli przestała mi rość broda i wąsy.

Bardzo wygodne.

— A ja — odpowiedziała Iza siadając gwałtownie — poza włosami na głowie, rzęsami i brwiami, nie mam na całym ciele ani jednego włoska. — Ej! Barbara, obudź się! — zaczęła szarpać towarzyszkę.

Barbara otwarła oczy.

Czy ja byłam kiedy na Antylach z rodzicami?

— Twój ojciec był raz w Hawanie, ale sam. Dlaczego się pytasz?

W tej chwili za drzwiami rozległy się kroki. Zazgrzytał klucz w zamku. Ukazało się dwu drabów.

— Chodź z nami! — kiwnęli na mnie.

Serce załopotało mi gwałtownie w piersiach. Znowu ciągną mnie na bicie? Pomyliłem się. Ich intencje były bardziej ludzkie. Zaprowadzili mnie do ustępu. Potem wyprosiłem u nich stare dzinsy, bo mnie moja piżama krępowała. Po powrocie do pokoju zauważyłem, że Iza była w transie, z którego Barbara zaraz ją wyprowadziła. Zabrano z kolei Izę.

— Po co Iza wpadła w trans? — spytałem — Czego się chciała dowiedzieć?

— Co będą z tobą robić.

Odpowiedź była przekonująca, ale było coś w wyrazie twarzy Barbary, co mi powiedziało, że skłamała. Okazało się, że miałem rację podejrzewając ją. Kiedy bowiem ją z kolei wyprowadzono i spytałem Izę, odpowiedziała:

— Staraliśmy się dać znać naszym przyjaciółom, gdzie jesteśmy. Pomoc powinna nadejść wkrótce.

— Od kogo?

— I tak ich nie znasz - odparła niechętnie i przeszła na inny temat.

Dzień upłynął bez specjalnych wydarzeń. Karmiono nas dobrze. Było nam tylko gorąco i duszno w małym pokoju. To drzemaliśmy, to gawędzili na przemian. Na prośbę Izy opowiedziałem swoją przygodę na Antylach, nie dzieląc się jednak podejrzeniami, że mogło się za nią kryć coś więcej. Fakt, że oboje z Iza cierpieliśmy na amnezję, stworzył pewną nić wspólnoty między nami. Niechęć zaś, którą początkowo czułem wobec Barbary, zaczęła topnieć. Nie był to może człowiek godny zaufania, lecz bardzo przyjemny.

Barbara bawiła nas opowiadaniem o urządzanych przez siebie seansach. Dyskutowaliśmy zawzięcie. Tłumaczyłem jej, że to medium samo wyczytuje telepatycznie w pamięci obecnych różne szczegóły dotyczące ich zmarłych i potem nieświadomie podszywa się pod ich „duchy”. Zapytywano przecież nieraz i o osoby żyjące, a medium nie wiedząc o podstępie odtwarzało także ich głos, podawało wypadki z ich życia. Ponadto, gdy wśród obecnych znajdował się ktoś na przykład znający kulturę klasyczną, wywołany „duch” Sokratesa, czy Platona, gadał przytomnie. Kiedy jednak obecni nie wiele o nim wiedzieli, plótł różne głupstwa niegodne filozofa... Nie przekonałem Barbary, natomiast zdawało mi się, że zachwiałem nieco wiarę Izy.

Tej dziewczyny było mi bardzo żal. Z chabrowych oczu wierał głęboki smutek i tylko parę razy udało mi się zapalić w,

nich promyki uśmiechu. Była wtedy urocza. Gdy jednak zapadła noc i ułożyliśmy się do snu, myśli moje wybiegły nie do niej, lecz do Nancy. Bolała mnie zdrada czarnowłosej dziewczyny, bo nie wątpiłem, że to one zawiadomiła złoczyńców, gdzie jesteśmy. Co ją z nimi sprzęgło? Czy miało to jakiś związek z zaszła w niej przemianą? Trudno wszakże ustalić jakąś logiczną łączność pomiędzy rozbudzonymi nagle niezwykłymi zdolnościami a współpracą z szajką gangsterów, czy agentów obcego wywiadu. Postępek Nancy gniewał mnie i bolał. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak byłem zainteresowany tą dziewczyną.

— Andy! — doszedł szept od okna.

Poderwałem się na posłaniu. Zbudziły się też Barbara i Iza. We framudze okna, z którego jakimś niezwykłym sposobem znikły kraty, majaczyła, na tle gwiazdnego nieba dobrze mi znana sylwetka.

— Nancy!

— Cicho. Wychodźcie, nie robiąc hałasu!

Przeprawa przez okno nie zajęła więcej niż minutę.

— Chodźcie za mną — szepnęła Nancy, kierując się ku zatoce.

Złapałem ją za rękę.

— Tam jeszcze jest Joe. Nie możemy go zostawić.

— Gdzie?

— Tam w tym pokoju, gdzie się lampa pali.

Nancy wręczyła mi pistolet. Ten sam, który swego czasu odebrałem Walterowi. Wskazała w lewo od przystani.

— Tam jest motorówka — wyszeptała — zaprowadź swoje towarzyszki i czekajcie na mnie, aż przyjdę z Joe'm.

— Ale to się nie obędzie bez walki, jego pilnują — zaprotestowałem — idę z tobą!

— Nie potrzebuję pomocy — odparła zimno i ruszyła ostrożnie wzdłuż ściany ku frontowi budynku. Była tam mała weranda i wejście do baraków. Barbara i Iza pociągnęły mnie ku zatoce. Głupio mi było wysyłać Nancy samą na niebezpieczne przedsięwzięcie, ale spieszyło mnie to, że odmówiła mojej pomocy. Przeniknęliśmy się chyłkiem między krzewami. Na wodzie chybotąła się łódź z motorkiem. Na dnie leżały wiosła.

— Wchodźcie do środka! — szepnąłem do moich pań — a ja pozostanę na straży.

Przesunąłem się ostrożnie wzdłuż skarpy nie wyższej niż pół wzrostu człowieka. Wychyliłem głowę. Doskonale było stąd widać werandę, oświetloną żółtą lampą. Na fotelu siedział jeden z bandytów. Na jego kolanach leżał pistolet maszynowy, on zaś widocznie spał, bo głowę miał przychyloną na bok. Dziwne, że się nie obudził, gdy Nancy przeszła obok niego.

Niedługo czekałem na dalszy bieg wypadków. Nie upłynęły i trzy minuty, gdy ukazał się Joe z Nancy, przechodząc obok śpiącego bandyty, młody człowiek chciał mu zabrać pistolet. Nancy nic pozwoliła. Cofnąłem się do łodzi i odwiązałem ją od przybrzeżnego pnia. Zastanawiałem się, **czy** uruchomić motor, ale powstrzymała mnie nadchodząca Nancy.

— Do wiosła! Jak miniemy przystań, zapuścimy motor.

Joe, ledwo znalazł się w łodzi, rozłożył się na dnie i zasnął. Barbara usiadła na tyle łodzi, Iza na przodzie. Nancy i ją do wiosła. Ruszyliśmy gładko. Nancy wiosłowała bardzo szybko, ledwo mogłem dotrzymać jej tempa.

Właśnie minęliśmy oświetloną przystań, gdy dobiegł naszych uszu terkot motoru, błysnęły światła samochodu. Wielki czarny „Buick” zatrzymał się przed werandą. Nancy rzuciła wiosła i skoczyła do motoru. Ja wyciągnąłem z kieszeni w dżinsach rewolwer, ale nie utrzymałem go ani sekundy. Wyskoczył mi z dłoni jak żywy i pofrunął ku dwóm mężczyznom wysiadającym z samochodu.

— Trach, trach! — powietrzem targnął suchy trzask wystrzałów. Jeden z mężczyzn padł. Drugi zdążył uskoczyć za samochód i posłał ku wodzie serię z pistoletu maszynowego.

Przeszła gdzieś koło nas. Wątpię zresztą, czy nas zauważył, skryły nas już bowiem w swym cieniu przybrzeżne drzewa. Zawarczał, motor. Pruliśmy teraz szybko fale oddalając się od miejsca niezwykłej walki. Jeszcze z pięć minut dochodziły nas strzały seriami i pojedynczo. Po czym wszystko ucichło.

Joe spał jak zabity nic wiedząc, że stoczył przed chwilą bitwę.

— Czy myślisz, że to Joe? - spytała Barbara.

— Tak, a któż inny? To te jego „duchy”.

— W tym wypadku raczej nie duchy, ale jego „ciało astralne”. Zaraz powinno wrócić.

Nie wierzyłem w ciało astralne, ale że „coś” wróciło to fakt, bo do miałem znów pistolet w rękę. Sprawdziłem magazynek. Był pusty.

— Wrzuć go lepiej do wody — poleciała Nancy.

Usłuchałem.

— Dokąd jedziemy? — spytała Barbara.

— Mam tu niedaleko ukryty samochód.

— A jak nas uwolniłaś? W jaki sposób wyłamałaś kraty?
Nic nie słyszeliśmy.

Nancy milczała. Co to za dziewczyna? Co się w niej kryje? W każdym razie nie mogła być współniczką tamtych...

Noc była piękna, gwiazdzista. Mieliśmy dobrą widoczność. Choć księżyc nie było. Nancy prowadziła łódź pewnie. Tu i tam świeciło się jeszcze w oknach domów. Spojrzałem na fosforyzującą tarczę zegarka — dochodziła dwunasta.

Znajdowaliśmy się jeszcze w bocznej zatoczce, gdy od strony głównej zatoki dobiegł nas terkot zbliżającej się szybko łodzi motorowej.

— Najpewniej policja — odezwała się Barbara — sąsiedzi usłyszeli strzały i zawiadomili. Co robimy?

— Mogą być i bandyci. Chcą nam odciąć odwrot -
trwożliwie szepnęła Iza.

— Szybko! Zapadaj w trans i zobacz, kto to jest — rozkazała Barbara.

Nancy tymczasem, nie czekając na wyniki telepatycznego rekonesansu, skierowała łódź w lewo. Przy brzegu rosły trzciny. Było to ujście jakiejś rzeczutki. Niezłe miejsce do schowania.

Szuwary ocierały się z szumem o boki łodzi, gdy dojrzelismy białawą sylwetkę małego jachtu. Jechał wolno i ze zgaszonymi lampami. To nie była policja.

Iza skontaktowała się już z nadpływającymi.

— To doktor Nemo — wyszeptała — jedzie na nasz ratunek.

— Doktor Nemo! — wykrzyknęła radośnie Barbara — Nancy wyjeżdżaj na spotkanie, to nasz przyjaciel!

— Czy to też twój przyjaciel? — spytała mnie Nancy.

— Pierwszy raz o nim słyszę. Lecz jeśli jest przyjacielem Barbary i Izy ...

Nancy wahała się jeszcze, ale nadjeżdżająca łódź zwolniła biegu. Zatrzymała się. Oślepił nas reflektor.

— Barbara, Iza! Jesteście tam? — zabrzmiał sympatyczny męski głos.

— Jesteśmy! Jesteśmy! — zawołała Barbara — Udało nam się uciec.

— Świetnie! Podpłyńcie teraz do nas, bo boimy się utknąć na mieliźnie.

Nancy na nowo zapuściła motor. Dopłynęliśmy do burty jachtu. Była to nowa „Consteliarion”, firmy Chris-Craft, kosztowny model, na który tylko milionerzy mogą sobie pozwolić. Wdrapaliśmy się na pokład. Naszą motorówkę uwiązano z tyłu jachtu. Jacht ruszył w kierunku głównej zatoki.

Rodział III

DOKTOR NEMO

Było parę minut po dziesiątej, gdy obudziłem się z pustką w żołądku, wołającą o śniadanie i to obfite. Ktoś zapukał.

— Proszę — zawołałem.

W drzwiach ukazała się Barbara. Niestety w rękach nie niosła tacy ze śniadaniem, ale gazetę.

— Przeczytaj!

Na pierwszej stronie "Washington Post" widniał tytuł: „Tajemnicze strzały nad Chesapeake Bay” a pod tym wiadomość, że ostatniej nocy mieszkańców osady Abel w Marylandzie obudziły strzały, dochodzące ze strony obozu letniego dla dzieci, który o tej porze roku stał jeszcze pustką. Zawiadomiona policja znalazła ślady krwi i kul rewolwerowych. W kilku pokojach musiał ktoś sypiać kilka nocy. Co jednak najciekawsze, że krata w jednym z okien za stała wycięta niewiadomym sposobem: nie znaleziono ani pilnika, ani palnika. Obóz stanowił własność organizacji charytatywnej, której kierownictwo nic nie wiedziało, że w nim ktoś przebywał. Dopiero pierwszego czerwca miał tam przybyć dozorca z żoną, i przygotować obóz na przyjęcie dzieci.

-- Ciekawe - szczególnie ciekawe, jak stąd wiedziała, gdzie jesteśmy.

— Ciekawe — mruknąłem - szczególnie ciekawe, jak Nancy przepiłowała kratę i skąd wiedziała, gdzie jesteśmy.

— Zapytaj się jej... ale potem. Teraz wstawaj i chodź na śniadanie!

Ubrałem się w jasne tenisowe spodnie, użyczone, mi przez doktora Nemo, i niebieską koszulę wypuszczaną na zewnątrz. Na śniadanie był sok pomidorowy; płatki kukurydziane z mlekiem, jajka sadzone z boczkiem, kawa i chich. Towarzystwa dotrzymywał mi tylko Joe. Nasze panie wstały wcześniej i już były po śniadaniu. Joe miał sińce pod oczami i kwaśną minę.

— Czy wiesz, że dr Nemo ma z nami rozmawiać za chwilę?

— Wiem. Bardzo sympatyczny siwy pan. Zrobił na mnie wczoraj dobre wrażenie.

— E, sympatyczny, niesympatyczny. Ja w tym wszystkim wietrzy zdechłego szczura.

— Jak to szczura?

— Co? Nie rozumiesz jeszcze po amerykańsku? Bo mnie się wydaje, że to wszystko ta sama banda razem z twoją Nancy. Zorientowali się, że biciem i groźbą nic nie wyciągną, więc niby pomoc w ucieczce i teraz miły siwy pan spodziewa się wszystko z nas łagodnie „wydłubać”.

— Przecież dr Nemo to znajomy Barbary, i Nancy aż do ubiegłej nocy... nic nie wiedziała o jego istnieniu zresztą poczekajmy co nam powie.

— Lepiej wiejmy póki czas!

Mnie jednak zbyt frapował dr Nemo, żeby uciekać nie przekonawszy się, kim był naprawdę. Zresztą i ewentualna Uciezka przedstawiała problem. Parterowa wilia, w której znajdowaliśmy się, tworzyła czworobok z obszernym „patio ”

ośrodku. Z wyjątkiem frontowej ściany, która była szklana, wszystkie okna wychodziły na patio, Jeśli — jak sądził Joe — byliśmy tu raczej w charakterze więźniów niż gości na pewno przy drzwiach wyjściowych czuwał ktoś z bronią w kieszeni.

Po skończonym śniadaniu wyszliśmy na patio, zalane słońcem Iza, w czerwonym kostiumie kąpielowym pluskała się w basenie. Barbara rozłożyła się wygodnie na leżaku. Nancy nie było.

— Macie tu kostiumy kąpielowe, — Barbara wskazała na krzesło, stojące obok — jeśli chcecie popływać.

Joe machnął niechętnie ręką, ale ja schwyciłem niebieskie trójkącki i pobiegłem się przebrać do pokoju. Wyszędłszy powtórnie na patio zastałem tam też Nancy. Siedziała markotnie na krześle, przyglądając się pływającej Izie. Podszedłem.

— Dzień dobry, — powiedziałem — nie było wczoraj okazji, by ci podziękować za uwolnienie, więc czyniąc to teraz. Przepraszam cię także za to, że podejrzewałem cię o współpracę z bandytami... Nie dziw się jednak temu... Kiedy nas umieściłaś nad garażem, tylko od ciebie mogli się dowiedzieć, gdzie jesteśmy ...

— Mylisz się — odparła bezbarwnym głosem — gdy was zabrałam sprzed ambasady, inny samochód ruszył za nami i minął nas przy moim domu. Nie podejrzewałam wtedy, ale to musiał być ktoś z nich.

Chciałem ją jeszcze pytać, skąd się dowiedziała, że więziono nas w barakach, lecz jej matowa mina nie zachęcała do dalszej rozmowy... Spytałem kiedy indziej — pomyślałem, a głośno rzekłem:

— Przebierz się w kostium i chodź pływać!

Wzięła ciemno-wiśniowy kostium z krzesła. Ubrana była w niebieskie džinsy i kraciatą, koszulę, wypuszczoną na zewnątrz. Podniosła rękę do koszuli i zaczęła ją rozpinąć. Patrzałem na nią ze zdumieniem.

— Hej, nie tu przy wszystkich! Co z tobą? Uciekaj do swego pokoju!

Bez słowa odwróciła się na pięcie i znikła w drzwiach swego pokoju. Nie rozumiałem jej zachowania. Czyż zimny intelekt tak się w niej nadmiernie rozwinął, że zabił wszelkie ludzkie względy? Co się z nią dzieje? -- porusza się jak automat, albo jakby była w hipnotycznym transie. Przypomni mi się fantastyczny film, w którym komuś wyjęto jego własny mózg i włożono sztuczny. Jak bardzo Nancy przypominała tę postać z filmu! Wzruszyłem ramionami. Tu było życie, a nie fikcja. Należało szukać jakichś realniejszych wyjaśnień, ale jak i gdzie?

Tymczasem Nancy nadeszła przebrana. Właśnie Iza skoczyła z deski i zgrabnie pruća wodę. Nancy przyglądała się jej uważnie, jakby pragnąc zapamiętać każdy ruch, po czym dała nurka niemniej wdzięcznie. I ja za nimi zanurzyłem się w wodzie.

Po kilkunastu minutach wyszliśmy z basenu. Iza gawędziła z Joe'm, ja rozłożyłem się na wydymanym materacyku i rozkoszowałem się słońcem, Nancy usiadła obok na trawie. Trwała tak czas jakiś zupełnie sztywno. Śledziłem spod oka tę twarz bez wyrazu i posągowe kształty, gdy w dziewczynie zaszła raptowna zmiana. Obróciła się do mnie, usta jej promieniały szerokim uśmiechem.

— Co **ty** o mnie myślisz? — spytała.

Podniosłem się zdziwiony i ucieszony.

— Myślę, że jesteś sztuczną kukłą — odpowiedziałem — a naprawdę to nic nie rozumiem... Dlaczego tak się zachowujesz? Czy jesteś ze mną, czy przeciw mnie? Jak się dowiedziałas o miejscu naszego uwięzienia? W jaki sposób usnęłaś kratę? I co się stało, że w tej chwili jesteś dawną, przyjemną Nancy? ...

— Dość, dość tych pytań... — położyła mi dłoń na ustach — Nie odpowiem ci na nie, bo byś i tak nie uwierzył... Słusznie wyczuwasz, że się ze mną stało coś niedobrego... W tej chwili nic mi pomóc nie możesz, lecz gdy nadejdzie odpowiedni moment, poproszę cię o to... O tej naszej rozmowie nie mów nikomu! Nie mów nawet ze mną, Gdy znowu stanę się martwa i sztywna i... genialna...

Chciałem całej pytać, lecz właśnie zjawił się między nami Harry — sekretarz doktora. Wyglądał bardzo dystyngowanie, ubrany był w szary, elegancki garnitur; mimo upału miał **krawat**. Przywita! się grzecznie i rzekł:

— Ubierzcie się porządnie i chodźcie! Doktor Nemo czeka w swoim gabinecie.

Zły byłem, że nadszedł w momencie, gdy Nancy odzyskała swoją dawną osobowość i spodziewałem się z nią dogadać. Zresztą, nie lubiłem sekretarza od pierwszego wejrzenia. Drażnił mnie cyniczno-ironiczny uśmiech, nie schodzący mu z warg i pewna poza wyższości, którą przyjął wobec nas. Był eleganckim, przystojnym mężczyzną o nienagannych manierach i inteligencji bijącej czarnych oczu, lecz coś nieokreślonego odpychało od niego.

Powstaliśmy z trawnika. Nancy nachyliła się nad moim

uchem.

— Iza i Joe mają się wyraźnie ku sobie — rzekła cicho — Czy nie jesteś o nią zazdrosny?

— Bardzo lubię Izę, ale wolę ciebie, — odparłem, z uśmiechem — naturalnie wtedy, gdy jesteś „sobą”...

— To tak sprawy stoją?!

Powinna się była zarumienić, ale rzuciła tylko głową charakterystycznym gestem, którego już bardzo dawno nie widziałem u niej.

Poszliśmy się przebrać, po czym zebraliśmy się w gabinecie doktora Nemo. Harry wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Doktor uprzejmym ruchem wskazał wyściełane fotele. Sam siedział za ciężkim orzechowym biurkiem. Mimo siwych włosów zdawał się być uosobieniem zdrowia. Cerę miał świeżą, opalono, w niebieskich oczach ani śladu zmęczenia życiem. Nawet białe włosy były gęste i wiły się nad wysokim czołem starannie ułożono falą. Okrągłe policzki i grube wargi stwarzały wrażenie, że człowiek ten nie gardzi radościami życia.

Obrzucił każdego z nas serdecznym spojrzeniem, w którym wyczuwało się życzliwość i zainteresowanie.

— Pozwólcie, — rzekł — że zacznę od siebie. Dotąd jedynie Barbara wie coś nie coś o mnie.

Głos miał naturalny, melodyjny.

— „Nemo” to oczywiście mój „nom de guerre”, przyjęty z miłości do Juliusza Verne, jeśli wiecie, kto to jest. Na szero-kim świecie znają mnie pod innym imieniem. Jestem tam bogatym przemysłowcem, człowiekiem praktycznym, umiejącym robić pieniądze na skalę milionową; mam też wpływy w świe-

cie politycznym. Mało kto wie o tym, że za tą trzeźwą fasadą ukrywa się ktoś, kogo opinia publiczna nazwałaby niewątpliwie fantastą, marzycielem, romantykiem, kogo ja wszakże uważam za najrealniejszego realistę... Zbyt długo trzeba by mówić o tym, jak do tego doszło, dość że jestem głową szeroko rozgałęzionej organizacji, posiadającej ambicję przebudowy świata na lepszy i szczęśliwszy ...

— Bzdury! — mruknął Joe, siedzący koło mnie.

— W tym celu — ciągnął Nemo — nie kusimy się o układanie nowych programów politycznych czy społecznych, lecz sięgamy w głąb człowieka. Carrel nazwał go „istotą nieznaną” — chyba wszyscy możecie mu przyklasnąć, bo wszyscy biedzicie się nad tajemnicą swego wnętrza. Iza jest medium spirytystycznym, w Nancy ujawnił się nadzwyczajny geniusz, Barbara od lat zajmuje się seansami, Joe’go prześladuje duch, Andrzej na darmo usiłuję przypomnieć sobie zaginiony obraz przeszłości... Nasza organizacja gromadzi ludzi obdarzonych niezwykłymi władzami, bada zjawiska pozazmysłowe, eksperymentuje. Jesteśmy przekonani, że we wnętrzu człowieka drzemią nieprawdopodobne wprost energie... Musimy je odkryć, opanować i wykorzystać dla odnowy świata. A wierzymy, że będziemy je mogli kiedyś kontrolować, jak je kontrolował już człowiek w złotej epoce swych dziejów: może w biblijnym raju, może w legendarnej Atlantydzie. Niestety użył ich wtedy dla celów złych. Sprowadził na świat katastrofę. Odkryjemy te siły ponownie...

— Skąd pewność, — przerwał wywody doktora Joe — że wasza organizacja użyje tych sił dla dobrych celów? Nie wiem z jakich źródeł czerpie pan swoje twierdzenia o prehi-

storii, lecz jeśli założymy, że już raz człowiek spowodował powszechną katastrofę, może ją wywołać znowu. Czyż. nie drżymy dziś przed bombą atomową? Nic twierdzi pan chyba, że członkowie pańskiej organizacji to wszystko sami święci... a nawet święci są ludźmi ułomnymi.

— Zdajemy sobie doskonale sprawę z kolosalnego ryzyka, lecz nie mamy innego wyjścia, jak je podjąć. Nad tym samym, co my, pracują obecnie i siły ciemności. Między potęgami światowymi odbywa się nie tylko wyścig atomowy, wyścig o opanowanie przestrzeni, lecz także wyścig o wykradzenie psychice. ludzkiej jej najgłębszych tajemnic. Przekonaliście się już o tym na własnej skórze. Dlaczego to Andrzej i Joe byli porwani, więzieni i torturowani?

— Rozumiem dlaczego porwali Joe'go, — wtrąciłem — lecz czemu mnie?

Nemo skinął mi dobrotliwie głową.

— Cieszę się, że zapytałeś o to, — powiedział — bo właśnie chciałem, wam wspomnieć o jeszcze jednym aspekcie naszej organizacji. W walce o lepsze jutro dla ludzkości staramy się skontaktować z mieszkańcami innych planet...

Słuchałem dotąd Doktora z zainteresowaniem i traktowałem poważnie jego słowa. Teraz zacząłem podejrzewać, że mam przed sobą wariata lub w najlepszym wypadku człowieka o dziecięciniałym umyśle. To samo pomyślał Joe, bo nachyliwszy się do mnie szepnął:

— Gość ma „szmera”...

W ciszy, która zapanowała po ostatnich słowach doktora, ten szept rozbrzmiał tak głośno, że go Nemo dosłyszał. Nie obraził się.

— Ileż razy słyszałem to już o sobie! — rzekł — Niemniej. te wszystkie raporty o nierozpoznanych latających przedmiotach, zwanych popularnie „fruwającymi spodkami”, nie są tylko wymysłem sensacyjnym prasy. Jestem w kontakcie z wysokim oficerem lotnictwa amerykańskiego i wiem, że wyłoniło ono specjalną komisję do badania tych zjawisk. Początkowo myślano, że jest to jakaś nowa broń sowiecka; dziś sam szef tej komisji stwierdził: " owe latające aparaty istnieją rzeczywiście, są kierowane przez istoty rozumne, nie pochodzą z Ziemi". Ścigali je lotnicy, łapał jednocześnie radar na swoje ekrany. Poruszają się z szybkością nieosiągalną dla naszych statków powietrznych i rakiet, zmieniają kierunek lotu lub zatrzymują się nagle tak szybko, że obecna w nich istota rozplaszczyłaby się na ścianie, jeśli nie ma w nich urządzenia znoszącego działanie siły grawitacyjnej i siły bezwładności.

— Niejaki Adamski rozmawiał podobno z załogą takiego latającego talerzyka — wtrąciła Barbara.

Doktór skrzywił się.

— Nie bardzo w to wierzę. Może zresztą Adamski rzeczywiście zetknął się z czymś, ale dodał do tego zbyt dużo własnych wymysłów. Coś owi Wenuzjanie zanadto potwierdzali własne wypociny pseudofilozoficzne pana Adamskiego. Ale to mniej ważne w tej chwili... Istotne jest natomiast, że nasza organizacja wierzy w istnienie istot rozumnym poza naszą planetą i uważa, że nawiązanie z nimi kontaktu może dać nam w rękę niezwykle cenną wiedzę. I oto gdzie na widownię występuje nasz Andrzej. Uważam, że przez te dwa lata, których pamięć zatracił, nie znajdował się w dżungli, ale był porwany w przestrzeń.

Zapanowała cisza. Wszystkie spojrzenia utkwione były we mnie. Ja zaś musiałem chyba mieć w tej chwili mocno głupią minę. Przypuszczenie dr Nemo zaskoczyło mnie zupełnie. Wydawało się zbyt fantastyczne, by można było w nie uwierzyć. Jeśli jednak wątpiłem w prawdziwość ogólnie przyjętego twierdzenia, że te dwa lata spędziłem w dżungli, to czyż nie najprawdopodobniejszą była hipoteza doktora?

— Brzmi fantastycznie ... — zacząłem.

— Wiem, że brzmi fantastycznie, lecz ostatnio słyszy się o co raz większej ilości ludzi, którzy po prostu zniknęli. I jeśli ktokolwiek zjawia się z powrotem, choruje na amnezję. Czy tych dwu zjawisk: ukazywania się latających talerzyków znikania ludzi, nie można połączyć? Powiedz zresztą, czy jednak nie pamiętasz czegoś, czy nie zaobserwowałeś w sobie czegoś, co by mogło potwierdzać moje przypuszczenie?

— Wiem na pewno, że coś dziwnego działo się ze mną: zniknęły blizny po ranach, wyrosły nowe zęby, miałem dawniej nieco krzywawe nogi, które się wyprostowały.

— A cóż z tą zjawą, która ukazała ci się niedługo po twoim znalezieniu? — pytał dalej dr Nemo.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Skąd mógł o tym wiedzieć?

— To i ty masz swego ducha?! — zawołał Joe — Czemuś nic nie mówił?

— Tak, ukazał mi się raz czcigodny starzec, z którym rozmawiałem jakimś językiem, którego się nigdy nie uczyłem. Coś mówił o jakimś Narze, który mi zrobił świństwo o jakiejś dziewczynie, którą mani spotkać i wtedy zjawia obiecała mi zwrot pamięci. Mówił też, że może dobrze, iż straciłem pamięć,

bo byłoby mi inaczej ciężko żyć na świecie... dlaczego? Nie wiem. Niestety już to całe wydarzenie zamazało się w mojej pamięci... W każdym razie byłem w Waszyngtonie u wybitnego filologa i dałem mu próbki owego dziwnego języka wraz z tłumaczeniem, prosząc, by mi powiedział, co to za język czy narzecze. Zajął się szczerze tą sprawą, ale jego badania nie dały właściwie żadnych wyników. Stwierdzał tylko, że ten i ów wyraz jest podobny do słowa o tym samym znaczeniu to w tym to w innym języku. Liczby od jednego do pięciu brzmią niemal identycznie z tymi samymi liczbami w języku jednego z plemion indiańskich znad Amazonki. Może to kiedy wyczytałem w jakiej książce i zapamiętałem. W ogóle filolog przypuszczał, że to po prostu konglomerat zapamiętanych słów. które w podświadomości ułożyły się w pewną całość i dają pozory normalnego języka.

— Bardziej prawdopodobne — odezwał się znowu Nemo — że jest to język przybyszów z przestrzeni. Przydasz nam się bardzo, jeśli się z nimi spotkamy.

W czasie pogawędki rzucałem od czasu do czasu spojrzenia na Nancy. Słuchała z uwagą, uśmiechała się jak człowiek, który wie i cieszy się, że i inni są na tropie prawdy. Jednak od pięciu minut dziewczyna wyraźnie straciła spokój. Odbijała się na jej twarzy jakaś walka. Już parę razy otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć. W tej chwili to coś wzięło w niej widocznie górę, bo odezwała się!

— Moi drodzy — rzekła — przepraszam, że przerwę, ale nie mam dużo czasu. Chcę wam pomóc, a może w ten sposób i sobie pomogę. Słuchajcie! W ciągu paru najbliższych dni będą lądować w Stanach latające dyski. Postaram się was zawiado-

nić, dokładnie, gdzie i kiedy. Musicie je opanować i...

W tej chwili ożywienie Nancy znikło. Twarz przyjęła wyraz zwykłej obojętności i martwoty.

Siedzieliśmy chwilę w zupełnym milczeniu, przyglądając się dziewczynie. Wreszcie odezwał się Nenio. Mówił szeptem, jakby bojąc się że nas kto może podsłuchać:

— Na razie przerywamy nasze zebranie. O tym, co mówiłem i co tu zaszło, nie rozmawiajcie nawet między sobą. Po obiedzie jadę do Waszyngtonu; kto się chce zabrać ze mną, to proszę. Przypuszczam, że Andrzej i Joe będą na razie bezpieczni.

W drodze do Waszyngtonu dr Nenio powiedział nam, że na podstawie naszych opowiadań domyśla się, kto nas śledził i uwięził. Była to szeroko rozgałęziona organizacja gangsterska, mająca powiązania z sieciami szpiegowskimi obcych państw. Może na żądanie obcego wywiadu zainteresowali się osobnikami o właściwościach parapsychicznych.

ROZDZIAŁ IV

JEDZIEMY ICH ŁAPAĆ

W Waszyngtonie panowały już nieznośne upały. Ciężko było pracować, a pracować musiałem, żeby wyrównać stracone dni i złożyć egzaminy na uniwersytecie.

Joe zamieszkał u Barbary i Izy. Na razie jednej tylko nocy spadł tam obraz ze ściany, a i to nie wiadomo, czy działał tu

„duch”, czy po prostu sznurek się zerwał ze starości.

Nancy też składała egzaminy i rzadko widywaliśmy się.

Nasi prześladowcy nie pokazywali się. Nie zauważyłem, by mnie kto śledził. Dla ewentualnej obrony przed napaścią doktor Nemo ofiarował mi pistolet gazowy.

Pochłonięty egzaminami nie miałem głowy na przemyślenie ostatnich wydarzeń, coraz bardziej jednak ogarniał mnie jakiś dziwny strach i chęć odcięcia się od tej całej niesamowitej grupy z doktorem Nemo na czele. Uniwersytet, studia, czekające mnie wakacje na Florydzie, to były wszystko rzeczy realne, trzeźwe, tamci zaś coraz bardziej wydawali mi się kręgiem psychopatów, od których należało trzymać się jak najdalej, jeśli chciałem zachować zdrowie psychiczne.

Poza tym byłem człowiekiem religijnym. Twierdzenia Nemo, że ratunek dla ludzkości może przyjść poprzez odkrycie sir tajemnych czy ze strony „latających talerzyków”, nie przekonywały mnie. Odrodzenia świata wypatrywałem w nawrocie ludzkości do Boga i ustalonych przez Niego praw moralnych. W dzisiejszym stanie człowieka odkrycie w nim jakichś nadludzkich sił może tylko pogłębić ogólny, chaos. Co nam dało rozbicie atomu? — Nagasaki i Hiroszimę.

Wzrastały więc we mnie coraz większe wątpliwości co do celowości utrzymywania kontaktu z Nemo i jego grupą, nie powziąłem jednak, żadnej decyzji, a kiedy po zdaniu egzaminów zajechał przed dom Joe i Iza w kupionym za 10 dolarów terkocącym gracie, przyjąłem z chęcią zaproszenie na wycieczkę. Ruszyliśmy do stanu Virginia na całodniowy wypad. Celem naszym był tzw. „Skyline Drive” (Podniebny Szlak). Jest to niezwykle malownicza droga, prowadząca

grzbietem „Gór Niebieskich”, należących do Appalachów.

Na równinie jazda szła gładko. Gdy jednak zaczęliśmy się wspinać serpentynami pod górę, woda w chłodnicy gotowała się raz po raz. Nie psuło nam to humorów. Mnie upajały śliczne widoki na „Shcnandoah Valley” i wznoszące się za tą doliną pasma „Alleghenów”. Joe natomiast i Iza najwyraźniej upajali się przede wszystkim swoją obecnością. Wielkie oczy Izy straciły dawną melancholijną zadumę, błyszczały radością rozbudzonego uczucia. Joe pozbył się wyglądu ofiary upiorów. Tryskał życiem i werwą, rzucał siedzącej obok niego dziewczynie tak często rozkochane spojrzenia, że obawiałem się, czy nie wpadniemy zaraz w którą z ziejących obok przepaści.

Zatrzymaliśmy się na piknik w ustronnym miejscu, na szczycie góry. Wdychałem z lubością świeże powietrze. O ile w Waszyngtonie, mimo że był to dopiero początek czerwca, panowało już upalne i duszne lato, w górach trwała jeszcze wiosna, odziana w pastelową zieleń i ozdobiona delikatnym kwieciami. Przy posiłku niewiele padło słów. Zakochani woleli patrzeć na siebie niż mówić, a mnie też dobrze było z nimi w milczeniu. Nagle zaśmiałem się.

— Z czego się śmiejesz? — zapytali jednocześnie.

— Przypomniano mi się, gdy miałem lat piętnaście, kochałem się szalenie w takiej jednej Danusi o czarnych, długich warkoczach, a ona kochała się we mnie. Jakoś jednak nie mieliśmy odwagi wyznać swych uczuć. Kiedyś odrabialiśmy lekcje, siedząc naprzeciw siebie przy stole. Niewiele z tego odrabiania było. Danusia raz po raz podnosiła oczy znad książki i wpatrywała się we mnie. Od tego spojrzenia topniało we mnie serce. Tymczasem na przekór własnemu uczuciu

palnąłem, jak kulą w płot: "Co się tak patrzysz na mnie jak cie-
le na malowane wrota?" Dziewczynką westchnęła tylko ciężko
i spuściła oczy, a ja miałem ochotę sam siebie udusić. Cóż?
Kiedy ma się lat piętnaście, to ma się za długie ręce
za długie nogi i taki strasznie niezgrabny język.

Ledwo skończyłem, zorientowałem się, że i w latach
dwudziestych swego życia można mieć niezgrabny język.
Iza zaczerwieniła się po białka oczu. Joe mruknął:

-- Ha, ha, to zabawne... no to może już pojedziemy?

Wsialiśmy. Kiedy jednak przyszedł moment odjazdu,
nastąpiła tragedia. Wóz nie chciał ruszyć. Może nie tyle nie
chciał, co nie mógł. Biedny Joe z kierowcy zmienił się w me-
chanika, rozebrał niemal cały wehikuł na kawałki, złożył z
powrotem. Nic. Wszystko niby w porządku, ale poczciwy
staruszek nie był w stanie wydobyć z siebie iskry życia.

Zabraliśmy więc swoje rzeczy i wyszliśmy na szosę prze-
mieniając się w autostopowiczów. Mieliśmy szczęście. Już
pierwsze auto zatrzymało się altruistycznie. Przy kierownicy
siedziała Nancy. Uśmiechnęła, naturalna, znowu „swoja”.

-- Skaczcie do środka! — zawołała — Jeśli chcecie, to
zwidzimy jeszcze „Laurey Caverns” *), a potem musimy
szybko wracać do Waszyngtonu, bo jutro ruszamy łapać
latający talerzyk.

**) Groty w Dolinie Shenardoah.*

-- Skąd wiedziałaś, gdzie nas szukać? — spytał Joe —
Zobaczyłaś nas na odległość?

— Żebyś wiedział na jaką! — odparła z zagadkowym gry-
masem.

— Może poholujesz naszą „limuzynę”?

— Nie warto, już z niej nic nie będzie. Siadajcie i jedziemy!

Wiśniowy „station wagon” doktora Nemo podjechał pod dom, gdzie mieszkałem, punktualnie o 6 rano. Siedziała w nim już cała nasza gromadka: doktor z sekretarzem, Nancy, Barbara, Joe i Iza. Ruszyliśmy; wkrótce wóz pędził po szosie, prowadzącej do Baltimore.

-- Czy można wiedzieć, dokąd jedziemy? — spytałem.

-- Na północ, przez Nowy Jork do miasteczka Lee w stanie Massachusetts. Ładna to okolica, górzysta, obfitująca w jeziora. Nad jednym z nich, według twierdzenia Nancy, mają w tych dniach wylądować goście z przestrzeni.

Nie wierzyłem w tych „gości”, ale zgodziłem się brać udział w wyprawie. Czemu się nie przejechać w miłym towarzystwie, gdy jest po temu okazja? Wuja jeszcze nie zawiadomiłem, kiedy przyjadę do niego na Florydę, więc się nie będzie niepokoił.

Straciliśmy ponad dwie godziny, zanim zdołaliśmy się przepchnąć przez ciasne i brzydkie Baltimore,**) którego charakterystyczną cechą są białe schodki przed każdym domem. Powiadają, że to dlatego, żeby pijacy łatwiej mogli znaleźć drogę do domu po nocy. Ciekawszym momentem podróży był przejazd przez niedawno otwarty most „Delaware Memoriał Bridge” nad rzeką Dalaware. Potem wjechaliśmy na szeroką autostradę „New Jersey Turnpike” i tu zwyjątkiem Harry’ego, kierowcy, wszyscy zdrzemnęli się, uśpieni monotonią jazdy.

****)** *Obecnie doskonała autostrada okrąża to miasto.*

Gdzieś na wysokości Trenton, nie zatrzymaliśmy się na obiad. Gdy wysiadaliśmy, rozciągając z rozkoszą zasiedziałe członki, Nancy powiedziała:

— Nie oglądajcie się, ale ten zielony wóz, który właś-

nie parkuje, jedzie za nami krok w krok od Baltimore.

— Chyba „kolo w koło” — poprawił ją żartobliwie Joe — Czyż jednak o większości samochodów nie można powiedzieć tego samego? Np. ten cytrynowy, „Cadillac” widziałem jeszcze przed Baltimore, kieruje nim taki przystojny rudzielec.

— Nie masz dość pięknych pań w naszym samochodzie, że zerkasz do innych? — oburzyła się Barbara.

Przeszliśmy do restauracji usadawiając się tak, żeby móc obserwować przez okno samochód, wskazany przez Nancy. Nikt z niego nie wysiadł.

Zamówiony przez Nemo posiłek równał się niemal uczcie Lucullusa. Szczególnie dobre było wino, którego tylko Joe nie skosztował, miał bowiem przejąć kierownicę od Harry’ego.

Gdy ruszyliśmy, zielony wóz puścił się natychmiast za nami. Zwolniliśmy nieco. Nie wyprzedzał nas.

Pozostawiliśmy Nowy Jork po prawej stronie. Przejechaliśmy przez „Washington Bridge” nad rzeką Hudson i wkrótce znaleźliśmy się na nowej autostradzie „Taconic State Parkway”, jednej z najbardziej malowniczych w Stanach. Wzgórza, lasy, łąki, od czasu do czasu otwierające się widoki na szerokie doliny.

Zielony samochód sunął za nami.

Czy nie możemy go jakoś zgubić? — zasugerowała Barbara.

— Właśnie myślę o tym — odparł Nemo — Joe, zatrzymaj się przy najbliższej stacji benzynowej!

W pięć minut później braliśmy benzynę. Dr Nemo zniknął we wnętrzu stacji. Gdy wyszedł, na twarzy jego błąkał się tajemniczy uśmiech.

Kiedy zatrzymaliśmy się po benzynę, zielony samochód nas" minął. Siedział w nim: młody mężczyzna i kobieta. Podejrzewaliśmy, że z tej szajki, co nas już dwukrotnie więzła. Teraz ledwo ujechaliśmy kilkaset metrów, ujrzeliśmy zielony samochód zaparkowany na trawie obok drogi. Maską była podniesiona. Mężczyzna poprawiał coś w motorze. Gdyśmy ich minęli, ruszyli natychmiast.

Już dobrze po południu opuściliśmy „Taconic Parkway” i zjechaliśmy na boczną drogę. Był to już stan Connecticut. Na polecenie doktora Nemo Joe zatrzymał samochód przed elegancką restauracją, gdzie stało kilkanaście zaparkowanych wozów.

— Świetnie! — entuzjazmowała się Iza — będziemy jedli, a głodna jestem jak wilk.

Czekało ją rozczarowanie. Z restauracji wyszedł nam na przeciw wytworny dżentelmen, przywitał się z Nemo i szybko przeprowadził nas na tyły budynku. Stał tam gotowy do drogi, żółty „station-wagon”, marki Chevrolet. Na kierownicy leżała czerwona koszula i słomkowy kapelusz.

— Szybko wkładaj koszulę i kapelusz — zwrócił się do mnie Nemo — i siadaj za kierownicą! Reszta nas niech się schyli przy podłodze ... szybko, jedziemy... wystrychniemy tamtych na dudka!

Wyjechaliśmy boczną bramą i puściliśmy się dalej na północ. Zielony samochód naszych prześladowców pozostał na straży przed restauracją. Ciekaw byłem, ile czasu upłynie, zanim się zorientują, żeśmy się wymknęli.

— Właściciel restauracji to członek naszej organizacji — objaśnił Nemo — Zadzwońłem ze stacji benzynowej, by

wszystko przygotował. Dobry pomysł? Czy nie?

* * *

Jezioro „Goosepond” tonęło w promieniach słońca. Miało ono kształt sierpu. Otaczały je dzikie, zalesione góry. Na brzegu wznosiły się rzadko rozsiane domki kempingowe. Większość z nich, zabita deskami, czekała jeszcze na letników.

Nancy, od samego ranka zupełnie "swoja", oznajmiła, że w jednym z tych domków, nie wiedziała w którym, czekają na przybyszów z przestrzeni ich ziemscy agenci.

— Obawiam się, że mogą mnie znać. Dlatego pojedziecie łodziami, a ja pójdę lasem. Udawajcie wycieczkowiczów. Nie rozmawiajcie o niczym, związanym z celem wyprawy! Boję się, że mogą posiadać przyrządy podsłuchowe, działające nawet na dalszą odległość.

Płynęliśmy dwiema wypożyczonymi łodziami. Towarzyśmy nam zapasy żywności na piknik oraz wędki na ryby. Wiosłowałem z przyjemnością. Pogoda była ładna. I tu, choć bardziej na północy, było ciepło, lecz powietrze o ileż czystsze niż w dusznym Waszyngtonie! Przepłynęliśmy całe jezioro wzdłuż, potem mały przesmyk i przywitało nas drugie jezioro, mniejsze i dzikie od pierwszego. Stało tu tylko kilka domków, w tym dwa już zamieszkałe. Jezioro kończyło się bagnem, przez które płynęły dwa strumienie, zasilające jezioro. Niedaleko ich ujścia wrzynał się w wodę zalesiony gęsto, półwysp. Tam postanowiliśmy urządzić piknik. Nancy spodziewała się lądowania przestrzennego dysku dopiero w nocy. Mieliśmy więc cały dzień przed sobą.

Wyładowaliśmy zapasy z lodek. Joe rozpałił ognisko i zabierał się do kucharzowania. Nasze panie wyciągnęły się w słońcu. Nenio bawił je rozmową. Harry skoczył do wody. Podziwiałem jego zapał pływacki, bo woda była bardzo zimna. Sam wsiadłem ponownie do łódki, żeby przejechać się wzdłuż brzegu i przyjrzeć mieszkańcom domków.

Nie potrzebowałem ich szukać. Na małym drewnianym pomoście siedziała dziewczyna o pięknych złotych włosach, spadających na opalone ramiona. Uderzała stopami wodę i przyglądała się dziecinnie rozchodzącym się kolistnie falom. Obok niej leżał młody mężczyzna. Oboje mieli na sobie kostiumy kąpielowe, jechałem prosto na nich.

Dzieliło nas już tylko kilka metrów, gdy dziewczyna podniosła głowę i spojrzała w moim kierunku.

— Andra! — zawołała — Wiktor! Wiktor!

Stuknęła leżącego obok mężczyznę, który usiadł gwałtownie.

— Patrz, kto jedzie! To Andra.

Dziewczynę widziałem chyba po raz pierwszy w życiu. Natomiast młodego blondasa znałem doskonale. Był to mój przyjaciel, towarzysz lat dziecinnych i młodzieńczych. Mówiono o nim, że poległ w Powstaniu, a tu widziałem go zdrowego i całego. Łódź dobiła do pomostu. Ściskaliśmy się serdecznie.

— Przedstaw mnie swej towarzyszce, — powiedziałem, gdy mnie wypuścił z muskularnych ramion — bo ona mnie zna lub wzięła za kogoś znajomego, ja tymczasem...

— To Dorota, moja żona.

Ucałowałem podaną rękę.

— Winszuję, Wiktorze, takiej ślicznej małżonki — rzekłem

szarmancko.

Zarumienili się oboje i spoglądali na mnie niepewnie. Czyż Dorota wyjaśni, skąd mnie zna? Może była wtedy małą dziewczynką i dlatego jej nie poznaję.

Wiktor, zamiast wyjaśnić, spytał:

— Co tu robisz?

— Jestem tu z towarzystwem, zaraz was zapoznam, jeśli chcecie... Nigdy nie uwierzycie, po cośmy tu przyjechali. Ogromnie się cieszę, Wiktorze kochany, że cię widzę. Miałem cię za umarłego

— W pewnym sensie miałeś rację, — wtrącił zagadkowo — ale siadaj tu z nami i opowiadaj, co się z tobą dzieje.

Pokrótce nakreśliłem swoją historię od Powstania, kiedy widziałem się po raz ostatni z Wiktorem, poprzez przyjazd do Ameryki, przygodę na Antylach... wreszcie tajemnicze porwanie, uwolnienie i cel naszego przyjazdu tutaj. Kiedyśmy z Wiktorem nie mieli przed sobą sekretów, więc i teraz opowiedziałem mu wszystko. Był mi bliższy niż „Nemo & Co”. Słuchali oboje uważnie, wymieniając często porozumiewawcze spojrzenia. Nie było w nich drwiny, lecz jakby ubawienie tą fantastyczną historią. Gdy skończyłem, milczeli. Wreszcie popatrzyli na siebie pytająco, jakby w oczekiwaniu kto z nich pierwszy ma zabrać głos.

Cisza stawała się już kłopotliwa, gdy przerwała ją Dorota.

— Świetnie! To naprawdę ciekawe i całą duszą, przyłączyliśmy się do akcji. Łapać Wenuzjan!... Jedźmy teraz poznać to nadzwyczajne towarzystwo.

Wskoczyła do łódki, za nią Wiktor i ja. Mój druh ujął wiodą.

— To wszystko wygląda niemądrze... — zacząłem się tłu-

maczyć, ale Wiktor mi przerwał:

— Latające dyski naprawdę istnieją, sam je parokrotnie widziałem.

Ponieważ Dorota nie podjęła tematu, skąd mnie zna, sam ją teraz zagadnąłem o to. Wymieniła znowu porozumiewawcze spojrzenie z Wiktorem, jakby pytając, co ma mi odpowiedzieć. Nieznacznie kiwnął głową.

— Andra kochany, — zaczęła Dorota, a jej oczy napełniły się łzami — znani cię bardzo dobrze i Wiktor się z tobą widział już po Powstaniu, a ma to wszystko związek z twoim zniknięciem, które ci nie daje spokoju. Wyjaśnimy ci wszystko, ale później. Nie pytaj się teraz o nic i nie mów, że coś wiemy na ten temat twoim towarzyszom ... — mówiła poprawnie po polsku, lecz wyczuwało się obcy akcent.

Ogarnęło mnie wzruszenie: a więc nareszcie jestem na śladzie... czemu od raz, nie wyjaśnią wszystkiego?

Dobiliśmy do półwyspu. Przedstawiłem nowoprzybyłych. Kiedy Dorota witała się z Izą, dostrzegłem wielkie podobieństwo rysów między nimi. Różnił ich właściwie tylko kolor oczu: błękitny u Izy i zielony u Doroty, oraz to, że Iza była delikatniejszej budowy i chyba nieco młodsza.

— Jakież one podobne do siebie! — mruknął Nemo za moimi plecami.

Obróciłem się ku niemu.

— Nie wiem, czy dobrze zrobiłem — rzekłem półgłosem — ale wtajemniczyłem tę parę w cel naszego przybycia... za Wiktora rękę...

— Oboje budzą zaufanie... Niepotrzebnie od razu wszystko wypaplałeś, ale co się stało, to się nie odstąpić ...

Chciał coś jeszcze dodać, lecz w tym momencie spomiędzy drzew wybiegła Nancy. Ujrzawszy Wiktora i Dorotę, znieruchomiała. Trzy pary oczu mierzyły się przez parę sekund w milczeniu, aż Nancy zakryła twarz rękami.

— Wszystko stracone! — wyszeptała — to są JEGO" agenci... już GO nie schwyjemy ...

Wtem przyszła jej widać do głowy nowa iskra nadziei, bo oderwała ręce od oczu i wykrzyknęła:

— Łapcie ich, wiążcie, żeby nie mogli GO uprzedzić! Szybko! Szybko!

W rękach doktora Nemo błysnął automat.

— Siadajcie tu! — wskazał przybrzeżny głąz i poparł rozkaz ruchem rewolweru.

Posłuchali bez sprzeciwu.

— Nancy, jesteś szalona, — wyrzekł spokojnie Wiktor — twój plan jest głupi i niebezpieczny.

— Nie znasz moich planów i nie będę się z nich spowiadać — odkrzyknęła Nancy ze złością i z kobiecym brakiem logiki zaraz je odstłoniła — Przeprowadźmy się szybko do tego domku! Schowamy się wewnątrz i złapiemy GO jak przyjdzie. Otrzymałam wiadomość, że zaraz wyląduje.

Uderzyłem wodę wiosłami. Łódź szła szybko. Wiktor siedział naprzeciw mnie na dnies łodzi, za nim Nemo z pistoletem.

— Może nam wyjaśnisz sytuację, — powiedziałem do dawnego przyjaciela — bo sam nie wiem, czy mam się opowiedzieć za tobą czy za Nancy. O co tu chodzi?

Nie odpowiedział. Robiło to wrażenie, że cała awantura go bawi. Jego pewność siebie niepokoiła mnie.

Dobiliśmy do pomostu. Nagleni do pośpiechu przez Nancy wpadliśmy do kampingowego domku. Składał się z dwu lilipucich pokoi, kuchenki i łazienki. Nemo wyjął z kieszeni dwie pary policyjnych kajdanków i założył je więźniom. Nie opierali się. Sytuacja śmieszyła ich wyraźnie. Okazali dopiero niezadowolenie, gdy Harry zakneblował im sprawnie usta. Zostawiliśmy ich leżących na tapczanie pod strażą Barbary i Izy. Reszta nas przeszła do większego pokoju, służącego za jadalnię. Drzwi na zewnątrz pozostały nieco uchylone.

Rozstawiliśmy się pod ścianami.

— Nie czyńcie nic bez rozkazu! — polecił Nemo.

Stal najbliżej drzwi z automatem w ręku.

— Nie zamierza go pan chyba używać? — szepnąłem.

— Mam nadzieję, że nie zajdzie potrzebę — odparł — Powiedz nam wreszcie Nancy, kto to jest ON i dlaczego mamy GO łąpać? Idziemy dotąd ślepo za tobą, ale w mojej głowie huczą wątpliwości. Tamta para, którą uwięziliśmy nieprawnie, wcale mi nie wygląda szkodliwie...

— ON jest pilotem latającego talerzyka; gdy GO obezwładnimy, opanujemy aparat — odpowiedziała szeptem — Cicho! Już nadchodzi.

Czekałem w napięciu. Kto czy co ukaże się za chwilę? Przybysz z przestrzeni mógł być bardzo niepodobny do nas...

Na ścieżce idącej z lasu słychać już było kroki.

— Tylko jeden idzie — szepnął Joe.

Kroki zbliżały się. Cień zasłonił szparę między ścianą, a na wpół rozchylonymi drzwiami. Energiczna ręka ujęła klamkę. Do pokoju wszedł nie międzyplanetarny potwór, lecz starszawy mężczyzna, łysy jak kolano. Z twarzy o regularnych, ładnych rysach spoglądały na nas ze zdziwieniem wielkie, sowie oczy. Miał na sobie zwykłe "ziemskie" ubranie.

Nie zwrócił najmniejszej uwagi na skierowany ku sobie pistolet, natomiast jego wzrok wędrował do Nancy, to do mnie i z powrotem.

— Coś ty Nancy wymyśliła, głuptasku? — przemówił w owym języku, który znałem nie wiadomo skąd — Gdzie Wiktor i Dorota? Schowaj tę zabawkę! — zwrócił się nagle do doktora po angielsku.

Doktór nie opuścił broni. Nancy odpowiedziała tajemniczemu przybyszowi po angielsku:

— Ty, Wiktor i Dorota jesteście obecnie naszymi zakładnikami, a ceną wykupu jest moja wolność. Doktorze, trzeba go zrewidować, on może mieć przy sobie broń.

— Słusznie — przytaknął Nemo — Harry...

Lecz Harry się nie ruszył, a i ja odczułem dziwną martwość przenikającą ciało. Nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Łysy gość wyjął pistolet z zeszywniałej ręki doktora, zabezpieczył i cisnął przez otwarte drzwi w jezioro. Jakakolwiek to była siła trzymająca nas w szachu, nie miała żadnego wpływu na Nancy. Dziewczyna postąpiła dwa kroki i powiedziała sucho:

— Ze mną ci się to nie uda; cokolwiek zrobisz z nim, ja swoje plany przeprowadzę...

— Czego chcesz?

— Chcę wrócić.

— To niemożliwe.

Nancy szybkim ruchem podeszła do Nemo i wyciągnęła mu z kieszeni jeszcze jedną parę kajdanków. Widząc do czego zmierza, przybysz rzucił się do drzwi, lecz Nancy była szybsza. Chwyciła go za rękę i wykręciła ją. Jej przeciwnik zasyczał z bólu. „Ależ dziewczyna ma siłę jak agentka!” — pomyślałem.

Kajdanki znalazły się już na przegubie prawej ręki rzekomego pilota przestrzennego, lecz na tym skończył się tryumf biednej Nancy. Zaszło coś niezrozumianego.

Dziewczyna obejrzała się gwałtownie, jakby ktoś nagle stanął za nią. Pościła swego widzialnego przeciwnika, a zaczę-

ła się zмагаć z innym... niewidzialnym. Wykonała kilka rozpaczliwych ruchów. Uległa. Mieliśmy już przed sobą Nancy o bezbarwnym wyrazie twarzy, bez życia. Obojętnie, jakby nic nie zaszło, usunęła się na bok.

Jednocześnie opadł czar, trzymający nas dotąd na uwięzi. Poruszaliśmy się swobodnie, lecz nikt nie próbował atakować nieznanego. Ten natomiast zwrócił się do nas z gniewem w głosie:

— Co ma oznaczać ta napaść? Gdzie moja córka i zięć? Czy wszyscy daliście się omamić tej biednej dziewczynie?

— Zdaje się, że tak — odpowiedział mu grzecznie dr Nemo, uważając widocznie, że ta metoda jest najwłaściwsza w tej sytuacji — bardzo przepraszam za napad, my tu stanowimy trochę zwariowaną gromadkę i dlatego daliśmy się nabrać tej skądinąd przemiłej Nancy, gdy zapowiedziała przyłot gościa z przestrzeni... Pan pozwoli, że mu się przedstawimy?

Podał nasze nazwiska. Nieznajomy obrzuci! każdego badawczym spojrzeniem, po czym podał swoje imię:

— Kobra — rzekł krótko.

Zaprowadziliśmy go do drugiego pokoju. Na widok Barbary i Izy wykrzyknął:

— To i wy tu jesteście? Co za zbieg okoliczności.

Doktor zdjął kajdanki naszym więźniom. Barbara była szesnasta obecnością Kobry. Kilkakrotnie otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale to jej jakoś nie mogło przejść przez gardło.

Dajcie mi coś do zjedzenia! — zwrócił się przybysz do Wiktora i Doroty — Umieram z głodu.

Nemo zaproponował skomasowanie naszych zapasów

żywności i wkrótce niedawni przeciwnicy zasiedli zgodnie przy drewnianym stole. Pierwszym daniem były hot degs'y, czyli amerykańskie parówki, pieczone na patykach nad ogniskiem. Wiktor wyciągnął skądś dwie butelki doskonałego wina.

Na żądanie Kobry Nemo opowiedział krótko, po co tu przybyliśmy. Gdy skończył, zawiśliśmy na ustach Kobry, co powie? Na pewno zaprzeczy swemu pochodzenia z przestrzeni, lecz musi jakoś wyjaśnić użycie tajemnej siły, która nas poraziła. Wiktor i Dorota pewnie mu też zdążyli powiedzieć, gdyśmy przygotowywali piknik, że obiecali mi odsłonić rąbek tajemnicy mego zniknięcia.

Kobra zastanawiał się widocznie nad odpowiedzią, bo milczał dłuższy, czas. Zaczął wreszcie:

— Przedziwna to historia! A jeszcze dziwniejsze, że aktorzy dramatu zeszli się znowu razem. Iza jest moją siostrzenicą, Andrzeja znam dobrze, jak zna go i moja córka Dorota.

— To stąd to podobieństwo — mruknąłem.

— Cała historia — ciągnął dalej Kobra — zaczyna się od mego brata, Nary. Jest to uczony wielkiej klasy, który na jednej z wysp antylskich założył tajne laboratorium. Swoje zainteresowania i wysiłki włożył przede wszystkim w problem poprawienia rasy ludzkiej. Dokonał wielu niezwykłych odkryć. Iza, Nancy, Andrzej stali się jego „świnkami doświadczalnymi”. Izie i Andrzejowi poprawił rzeczywiście ich kondycję fizyczną, natomiast u Nancy udało mu się rozwinąć geniusz umysłowy, co niestety wytrąciło ją z równowagi psychicznej.

— Doskonałość człowieka polega przede wszystkim na harmonii wszystkich władz — wtrącił Nenio. — A czy wła-

sności telepatyczne i mediumistyczne Izy też są wynikiem jego doświadczeń?

— Tak... Wiktor, Dorota i ja byliśmy jego pomocnikami. Nastąpił jednak konflikt między nami, gdy po przeprowadzeniu doświadczeń nie chciał nikogo z, was wypuścić, bojąc się, że wydacie tajemnice eksperymentów i położenia, laboratorium. Wbrew naszemu oporowi odebrał wam pamięć i dopiero wtedy odesłał do Ameryki. Opuściliśmy go wtedy. U Nancy nastąpił widocznie przynajmniej częściowy powrót pamięci i chce wymóc na Narze, by ją wrócił do dawnego stanu...

— Nie można jej chyba za to winić, — przerwałem ostro — była to dawniej dziewczyna pełna życia i wdzięku, a teraz zrobiliście z niej automat...

— Niestety, proces odwrotny jest niemożliwy —

— A skąd Nancy wiedziała — zapytał Joe — że pan tu dziś będzie?

— To tajemnica jej, niezwykłych władz... A ponieważ potrzebowała waszej pomocy, wymyśliła bajeczkę o „latających talerzykach”. Czy nie tak, Nancy?

Dziewczyna odpowiedziała matowo:

— Tak, wymyśliłam ...

Zapadło milczenie. Ciszę przerywał tylko syk ognia, świergot ptaków. W sercu czułem radość. Wreszcie tajemnica odsłonięta! Pozostało tysiące szczegółów do wyjaśnienia, lecz zasadniczy człon był jasny.

— Czy siła, która nas sparaliżowała — zwrócił się Harry do Kobry — to wynalazek Nary, czy pańska zdolność osobista?

— Bardzo mi przykro, ale muszę pominąć to pytanie milczeniem.

— Wuju drogi! — zawołała Iza impulsywnie — zabierz nas do tego laboratorium! Tak bardzo pragnę odzyskać pamięć!

Kobra popatrzył na nią serdecznie.

— Niestety, malutka — odparł — Nara nigdy się na to nie zgodzi. To geniusz, lecz i dziwak ... chociaż może... kto wie? ... spróbuję go przekonać.

— My przecież dotrzymamy tajemnicy...

— W to niezbyt wierzę — mruknął pod nosem.

Po skończonym posiłku towarzystwo podzieliło się na grupy. Usiadłem z Wiktoorem i Dorotą na pomoście.

— Co to za język, — spytałem — którego używa Kobra?

Nie przyznałem się, że go rozumiem.

— Gruziński; moja rodzina stamtąd pochodzi.

Skłamała. Gdyby to był rzeczywiście język gruziński, byłby go rozpoznał ekspert, do którego się uciałem. Może to, co nam Kobra powiedział, było ogólnie prawdą, lecz na pewno nie całą prawdą i nie tylko prawdą.

Słońce poczęło się chylić ku zachodowi. Zrobiło się chłodno. Doktor Nemo zaprosił nas i tajemniczą trójkę na kolację. Znał wyśmienitą restaurację pomiędzy Lec i Pitsfield. Przyjęliśmy chętnie zaproszenie. Ruszyliśmy łódkami do miejsca, gdzie czekały na nas samochody — bo i Kobra miał tam swój wóz.

Robiło się już szarawo, gdy samochody zaczęły zjeżdżać ostrożnie wąską drogą w dół. Panowała wśród nas cisza, którą przerwałem, by podzielić się nurtującą mnie refleksją:

— Szukamy pomocy dla ludzkości u przybyszów z przestrzeni, którzy może w ogóle nie istnieją, zamiast po prostu zwrócić się do Kogoś, kto 2000 lat temu zstąpił z innego świa-

ta i nauczył nas wszelkiej prawdy. Odwracamy się od niej, bo niewygodna i wymagająca...

— Chrystus przyniósł nam prawdę i łaskę — przyznał doktor Nemo — a więc właściwie wszystko, czego potrzebujemy. Lecz On sam powiedział, że Jego słowo i działanie pada na różną glebę ...

— Łaska szczepi się na naturze — wtrąciłem znane powiedzenie.

— A więc sam to rozumiesz... Mnie i mojej organizacji chodzi o to, by tę naturę jak najdokładniej poznać. Dopiero wtedy można ją skutecznie przygotować na działanie Boga. Mów wariatowi najmądrzejsze rzeczy nic z tego nie przyjmie, póki szok elektryczny nie przywróci nim iskry świadomości. Dzisiejsze eksperymenty wskazują na to, że będzie można za pomocą środków chemicznych, czy impulsów elektrycznych skierowanych na mózg zrobić ze złośnika człowieka łagodnego, z niedołągi energicznego... to czego własnym wysiłkiem nie można było zdobyć przez lata, może uda się osiągnąć w parę sekund ...

— Chcąc mieć taki to, a taki charakter — wmieszała się w rozmowę Barbara — pójdzie się po prostu do apteki po odpowiednią kapsułkę...

— Wątpię, by to miało być aż tak „po prostu”. — A gdzie będzie zasługa walki ze sobą, gdy zamiast opierać się swoim wadom, zmagać z nimi, zażyję tabletkę czy pocisnę właściwy guzik na prywatnej tablicy rozdzielczej? — spytałem.

— Nie będziesz miał zasługi walki, to prawda, ale za to szybciej osiągniesz pełnię człowieczeństwa. Kto startuje nie od podnóża góry, ale od jej środka, łatwiej i pewniej znajdzie

się a wierzchołku.

— I istoty z przestrzeni mają nam w tym wszystkim pomóc... a co będzie gdy się okaże, że nie są one z gatunku „człowieka” i o naszej naturze nie mają pojęcia? — wysunąłem wątpliwość.

— Jeśli zaś są tej samej natury — wtrąciła Iza - - to uginają się boleśnie pod tymi samymi problemami, co my... — lub je przewyciężyli... — dodał Nemo nie ustępując — w każdym razie kontakt z nimi może się okazać niezwykle owocny.

Minęliśmy młyn i dojeżdżaliśmy do głównej szosy, gdy przed nami błysnęły latarki. Dano sygnał zatrzymania się. Policja! Podeszli do okien. Wrzucili coś do środka, co pękło z hukiem. W powietrzu rozszedł się dym niosący w sobie ostrą woń: gaz odurzający!

Straciliśmy przytomność.

Rozdział V

HOOKNOSE

Przebudzenie nastąpiło w mokrej piwnicy, zamkniętej stalowymi drzwiami niby kasa pancerna. Na szczęście dla nas, na suficie znajdował się wentylator dostarczający powietrza, a nad drzwiami wątła żarówka rozświetlała jako tako niemiłe wnętrze. Stopniowo, jeden po drugim, dochodziliśmy do siebie.

— To nie byli policjanci — stwierdziła Barbara — rozpoznałam między nimi jednego z tych, co nas więzili nad Chesapeake Bay.

— Gdzie jest Harry? — zawołał nagle doktor Nemo.

Dopiero teraz zorientowaliśmy się, że nie ma wśród nas sekretarza.

— Na pewno współpracował z bandytami, — rzekł Joe — gdy Nancy w Lee powiedziała, że jedziemy nad Goosepond, zaraz udał się do telefonu. Myślałem, że to pan mu kazał

— Nic podobnego... ale żeby Harry miał mnie zdradzić... miałem do niego pełne zaufanie ...

— Ja nie — mruknąłem i biorąc inicjatywę w ręce, zacząłem hipnotyzować Joe'go z nadzieją, że będę mógł się znowu posłużyć jego telekinetycznymi właściwościami... Głupi bandyci, że o tym nie pomyśleli.

Joe okazał się tego dnia nieczuły na wszelkie moje zabiegi. Męczyłem się nad nim z kwadrans, ale nic wpadł nawet w powierzchowny trans. Może zbyt wiele osób śledziło moje wysiłki.

— Nic z tego nie będzie — zawyrokował wreszcie Kobra.

— Użyjemy innego środka... Nancy otwieraj drzwi, ale jak najciszej!

Powstrzymałem dziewczynę gotową do akcji.

— Czy nie lepiej przekonać się, — spytałem — czy na nas kto nie czeka za drzwiami? Może są ostrożniejsi niż przypuszczamy. Nic wiadomo też, czy za tym wentylatorem nie kryje się mikrofon i czy nas nie podsłuchują.

— W jaki sposób chcesz przeprowadzić wywiad?

Na migi dałem znak Barbarze. Zrozumiała i wprowadziła Izę w trans. Dowiedzieliśmy się od niej, że za drzwiami na krześle drzemie strażnik z pistoletem maszynowym w ręku i ma tuż koło siebie dzwonek alarmowy. Znajdujemy się w

wielkim domu w lesie w okolicy górzystej. Naokoło nie widać innych zabudowań. Harry rzeczywiście nas zdradził, Siedzi w pokoju na piętrze z dwoma bandytami. Z rozmowy wnioskować można, że czekają na kogoś, kto ma przylecieć z Waszyngtonu samolotem...

— Do... do... — na twarzy Izy odbił się wysięk — ach, słyszę słowo: Burlington, stamtąd ma być do nas niezbyt daleko...

— To pewnie Burlington w stanie Vermont... co widzisz jeszcze?

— Trzej inni bandyci, uzbrojeni w pistolety maszynowe, stoją na podwórzu wokół samochodu Kobry. Nie mogą odkryć motoru i na próżno usiłują odgadnąć, na jakiej zasadzie się porusza.

Po uzyskaniu tych informacji Kobra skinął na Nancy. Dziewczyna podeszła do drzwi i przejechała, wskazującym palcem wokół zamka. Skutek był taki sam, jakby uczyniła to acetylenowym palnikiem, lecz chyba o wiele szybszy. Wyjęła ostrożnie wycięty kawałek i wyrzuciła przez otwór. Skinęła potakująco głową — strażnik drzemał.

Drzemał, lecz mógł się w każdej sekundzie przebudzić i posłać serię z maszynowego pistoletu w pierwszą osobę Wychylającą się z więzienia. Ubiegłem Nancy i pchnąłem drzwi. Zaskrzypiały. Strażnik zerwał się na równe nogi, lecz nim zdołał wystrzelić, czy sięgnąć ręką do guzika alarmowego dzwonka, skamieniał... To Kobra z kolei użył w porę swej tajemniczej siły.

Tylko z takimi ruszać na poszukiwanie przygód!

Wyjąłem z trudem broń ze sztywnych palców strażnika

i ruszyłem po wąskich, cementowych schodkach w górę. Znalazłem się w obszernym garażu, mogącym pomieścić przynajmniej cztery wozy. W tej chwili stały w nim tylko dwa: jakiś obcy i nasz „station wagon”. Przez półotwarte drzwi garażu zobaczyłem na podwórzu wóz Kobry, a przy nim trzech bandytów. Odwróceniem byli do nas tyłem i coś tam majstrowali przy samochodzie.

Dałem znak reszcie naszego towarzystwa, by się nie wychylali ze schodów.

-- Czy możesz unieszkodliwić — szepnąłem do Kobry — tych przy aucie?

Pokręcił przecząco głową.

Musiałbym im popatrzeć w oczy, — odparł — krzyknij na nich, niech się obróć!

Nie skorzystałem z rady. Chciałem i ja dokonać dzisiaj czegoś samodzielnie. Wyszedłem cicho przed garaż.

— Ręce do góry! — zawołałem niezbyt głośno, by nie zaalarmować Harry’ego i jego towarzyszy, znajdujących się gdzieś w budynku.

— Rzućcie broń! — dodałem.

Złoczyńcy znieruchomieli na mgnienie oka, po czym wyprostowali się zwolna i rzucili ukradkowe spojrzenia do tyłu. Na widok wycelowanej w siebie lufy podnieśli niechętnie ręce do góry. Broń jednego leżała na masce samochodu, drugi miał swój pistolet przewieszony przez ramię, trzeci wydawał się nieuzbrojony.

Na powtórzony przeze mnie rozkaz gangster stojący w środku zdjął pistolet z ramienia i cisnął go za siebie. W tejże samej sekundzie pierwszy bandyta wykonał przez maskę sa-

mochodu najfantastyczniejszego nurka, jakiegokolwiek bytem świadkiem.

Zaskoczył mnie zupełnie i moja salwa poszła o parę sekund za późno ponad maską samochodu, nie czyniąc krzywdy wykonawcy tego „salto mortale”. Dwaj pozostali padli na ziemię i leżeli bez ruchu, zdani na moje miłosierdzie.

Ja tymczasem musiałem myśleć o swojej własnej skórze. Pierwszy gangster, skacząc, ściągnął za sobą broń leżącą na masce i teraz posłał mi brzęczący rój pocisków ponad głowę. Strzelił na oślep nie wychylając głowy, ale ja załamane się i uskoczyłem za drzwi garażu. Wykorzystali to leżący na ziemi bandyci i schronili się za osłonę wozu. Ogień pistoletu maszynowego umilkł, za to gangsterzy krzyczeli teraz, żebyśmy wyszli na zewnątrz i poddali się bo z garażu żywi nie wyjdziemy. Rzeczywiście trzymali nas w szachu.

Naradzaliśmy się, co czynić, gdy Wiktor wskazał na tylną ścianę garażu, gdzie ze dwa metry nad ziemią znajdowało się zakratowane okienko.

- Usuń tę kratę! — polecił Nancy.
- Podsadź mnie do góry! — odparła.



Przez półotwarte drzwi garażu zobaczyłem na podwórzu wóz Kobry,

a przy nim trzech bandytów.

Joe dopomógł Wiktorowi podsadzić dziewczynę. Dzięki półprzymkniętym drzwiom i dogodnemu dla nas położeniu samochodu, który stał się barykadą naszych nieprzyjaciół, okienko nie było widoczne z ich pozycji. Za chwilę krata leżała na podłodze. Nancy wychyliła się na zewnątrz.

— Nikogo nie widać, — powiedziała — możemy uciekać tędy do pobliskiego lasu.

— Mam lepszą myśl, — zaprotestowałem — podsadźcie teraz mnie!

Wyjaśniłem, o co chodzi, po czym z pewnym trudem przedostałem się przez wąskie okienko na zewnątrz. Pobiegłem chyłkiem w prawo. Od bandytów zasłaniała mnie naprzód tylna ściana garażu, później żywopłot otaczający podwórze. Przebiegłszy z pięćdziesiąt kroków rozchyliłem ostrożnie krzaki. Znajdowałem się już na tyłach trzech bandytów, szachujących garaż. Toczyli na migi rozmowę z Harry'm i dwoma innymi gangsterami, stojącymi na werandzie głównego budynku. Posunąłem się dalej tak, aby bandytów przy samochodzie i na ganku mieć na jednej osi strzału.

— Rzućcie broni Ręce do góry! — wykrzyknąłem nieśmiertelną formułę, wybiegłszy z krzaków.

Obejrzeli się. Stali sztywno, nie mogąc zdecydować się ani na poddanie, ani na akcję. Wykorzystał tych parę sekund Wiktor: jednym susem dopadł pistoletu -maszynowego, który nadal leżał na ziemi pod drzwiami garażu. Bandyci, wzięci w dwa ognie, skapitulowali.

Zdrajca, Harry, wlepił oczy w ziemię i nie odpowiedział ani słowem na wyrzuty Doktora.

— Chętnie bym mu strzelił w łeb — przyznał się Nemo

do morderczych chęci.

— Ja też — dodałem — lecz cóż, zabijać go nie możemy, oddamy w ręce policji...

— Nie mieszajcie w to policji — przerwał rant Kobra — zaprowadźcie ich do tego pomieszczenia, gdzie nas więziono! Popracuję tam nad nimi, a zapomną kim są i że nas kiedykolwiek widzieli.

Przyjęliśmy propozycję. Kobra wyciągnął ze skrytki w samochodzie jakieś aparaty, pozostał parę minut z bandytami sam na sam w piwnicy, po czym wyszedł z zadowoloną miną.

— W porządku. — powiedział — śpią teraz smacznie i nie obudzą się, aż za kilka godzin. Możemy jechać.

Przed wyjazdem przetrząsnęliśmy budynek w poszukiwaniu żywności. Było jej dość dla zaspokojenia naszych apetytów. Gdyśmy się pożywiali, ująłem rękę Nancy. Długie delikatne palce, starannie wypielegnowane paznokcie. Skąd się w nich taka moc bierze?

— Jak ty to robisz?

Nic odpowiedziała. Cofnęła chłodną dłoń.

— Po co się narażałem? — ciągnąłem dalej nie zrażony jej milczeniem. Na pewno mogłabyś unieszkodliwić bandytów tymi samymi promieniami, którymi przecięłaś stalowe drzwi ...

— Tak — odparła — ale Kobra nie kazał...

Ach, ten Kobra. Nienawidziłem go w tej chwili — żeby z tej dziewczyny zrobić laki automat... ale może miał rację, że komuś o tak niezwykłych władzach nie chciał dać pełni wolności.

Droga prowadziła poprzez górzystą okolicę pokrytą lasami. Wkrótce dotarliśmy do głównej szosy łączącej Nowy Jork

z Montrealem. Na długości ponad sto mil biegnie cna wzdłuż jeziora Champlain. Postanowiliśmy jechać naprzód do Lee, gdzie w hotelu pozostała część naszych, rzeczy. Kobra, Wiktor i Dorota chcieli wrócić do domku kempingowego nad „Goose-pond'em”.

Samochody nasze sunęły szybko. Ruch na szosie był niezbyt duży. Mijaliśmy właśnie „Green Mountain National Forest” i miasto Rutlund, znane z kopalni marmurów, było już niedaleko, gdy drogę zablokowały dwa wozy policyjne.

— Niepotrzebnie zabraliśmy automaty — zaniepokoił się Joe — Jeśli nas zrewidują, jak się wytłumaczymy? — Może to znowu bandyci w przebraniu?

Policjant zażądał od Joe’go, który szoferował, prawa jazdy. Papiery były w porządku, „pan władza” jednakże nie puszczał nas, lecz obrzuciwszy wszystkich baczynym spojrzeniem spytał czy nie widzieliśmy... tu opisał dokładnie białoniebieski samochód Kobry i jego trzech pasażerów.

„Nie ma oczu?” pomyślałem i zerknąłem do tyłu. Za nami stał czarny "Buick", wóz Kobry znikł.

— Nie zwróciłem uwagi — odparł wymijająco Joe.

Tymczasem od tyłu zaczęła nas dolatywać ożywiona wymiana zdań między policją, a pasażerami "Buick'a".

— To brzmi głupio — mówił ktoś podnieconym głosem — ale naprawdę jechał przed nami biało-niebieski samochód i trzy osoby w nim... gdy minęliśmy zakręt i zobaczyliśmy zablokowaną drogę, znikł... rozwiął się w powietrzu — nie mógł przecież nigdzie skręcić.

— Tak, — przyznał policjant — tu rów i las po obu stronach i żadnej bocznej drogi. Ustawiliśmy się tak specjalnie,

lecz przecież samochody nie rozwiewają się w powietrzu...

Zapytano nas raz jeszcze, czy nie widzieliśmy za sobą biało-niebieskiego auta. Zaprzeczyliśmy.

— O Key, jedźcie! — skinął na nas przedstawiciel prawa i uśmiechnął się przyjaźnie.

Ruszyliśmy. Pierwsza odezwała się Barbara:

— Oni jechali tuż za nami... gdy zobaczyłam policję, obejrzałam się... byli jeszcze...

Gubiliśmy się w domysłach, co się stało i skąd policja, dowiedziała się o tej tajemniczej trójce. Nie ujechaliśmy i pięciu mil od blokady, gdy spoza, zakrętu ukazał się biało-niebieski samochód. Jechał wolno, zdawał się czekać na nas. Przy mijaniu nie było wątpliwości: Kobra, Wiktor i Dorota machali ku nam z uśmiechem. Wiktor wychylił się z okna:

— Kogo szukali? — zawołał.

— Was.

Gdy w parę godzin później zatrzymaliśmy się przed hotelem w Lee, gdzie nasze drogi miały się rozejść, zasypaliśmy Kobrę pytaniami. Uśmiechał się, lecz nie chciał zdradzić tajemnicy nagłego zniknięcia i powtórnego ukazania się.

— Musimy już jechać, — powiedział — lecz obiecuje się z wami niedługo zobaczyć. Odwiedzimy was w Waszyngtonie

Co do was zaś — zwrócił się do Izy i co mnie — może uda mi się coś dla was zrobić

Wiktor wziął mnie na stronę.

— Czy ci się nie wydaje, — rzekł z poważną miną — że Iza i Joe mają się ku sobie?

— Wydaje? Przecież to oczywiste, że zakochani są w sobie po uszy.

— A ty nic na to?

--- Szczęść im Boże!

--- A tobie Iza się nie podoba?

--- Nawet bardzo, ale nie tak, żebym miał się w niej zakochać.

--- A Nancy?

--- Uczułem, że się rumienię.

--- Po co te pytania? Powiedz otwarcie, o co ci chodzi? Sam jesteś taki tajemniczy, a do cudzej duszy wlaźbyś z kaloszami.

--- Nie gniewaj się. Pa, druhu kochany, do widzenia!

Uściskaliśmy się.

Cała trójka siedziała już w samochodzie i zabierała się do odjazdu, gdy z sąsiedniej ulicy wyskoczył wóz policyjny. Dostrzegli nas, skręcili gwałtownie, lecz w tejże samej chwili auto Kobry znikło, jakby go nigdy nie było. Pomacałem ręką. Nie stało się niewidzialne, bo bym wyczuł chłodną blachę pod palcami. Z czarnego wozu wyskoczyło dwóch policjantów. Stali zdumieni z głupimi minami. Wreszcie jeden z nich wybąkał:

— Gdzie ten samochód, co tu był?

— Tu stoi nasz samochód, o co chodzi?

— Tu stał biało-niebieski wóz — upierał się policjant.

— Jeśli stał, to pojechał — zaśmiał się głośno Joe i dodał nie bez ironii. — Kto jak kto, ale policja nie powinna zaglądać do kieliszka na służbie.

— Chodźmy na kolację! — skinął na nas Nemo.

Ruszyliśmy za nim, pozostawiając na placu zupełnie zdeorientowanych policjantów. Trzeba przyznać, że i my byliśmy nie mniej zdumieni od nich. Bez słowa zasiedliśmy do stoli-

ków.

— Przenieśli się w czwarty wymiar — mruknął do siebie Nemo — spodziewałem się rzeczy fantastycznych, ale żeby — nie dokończył.

Kolacja była wyśmienita, humory dobre. Gawędziliśmy z ożywieniem o ostatnich wypadkach, przyciszając tylko głosy, gdy zbliżał się kelner.

Piliśmy właśnie kawę, gdy drzwi wejściowe otwały się z trzaskiem ... stanął w nich znajomy mi już opryszek w panamie, obok niego Harry o dziwnie zamglonym spojrzeniu i jeszcze jeden typ, którego nie miałem przyjemności — a może przykrości — dotąd poznać.

Podeszli do nas i rozsiedli się bezceremonialnie. Trzeci przybysz był niski, krępy. Z twarzy kościstej, czerwonawej, wyrastał wielki, haczykowaty nochal. Pogładził nerwowo rzadkie włosy koloru słomy i zwrócił się do Nemo. Głos brzmiał mu chropowato.

— Coś ty z nim zrobił? Richie — wskazał długim palcem na Harry'ego. — Mój najlepszy agent ma mózg wyprany na amen, nie wie kim jest i co się z nim stało winszuję. Lecz po jakiego diabła wypuściłeś „tamtych” z łapy?

Na twarzy Nenio malowała się niechęć i złość.

— Po co wpychasz swój haczykowaty nos w nieswoje sprawy? Uważaj, George, bo ci go przytną.

— Ha, ha, grozisz? — zarechotał tamten — Wiesz, że mi nic nie zrobisz. Lepiej połączmy siły... zawsze byłeś lunatykiem, ale zdaje się, że przypadkiem natrafiłeś na coś ważnego... Niech stracę, podzielimy się „fifty-fifty”

— Moje cele — odparł z godnością Nemo — nie mają nic

wspólnego z twoimi; mnie nie chodzi o pieniądze... Czyś to ty nasłał policję na ten biało-niebieski samochód?

— Tak, moje wpływy sięgają wszędzie... Nadjechałem do mojej „meliny” w Vermont wkrótce po waszym ulotnieniu się. Miałem przedtem, dokładny raport od Harry'go, toteż zaraz łąp za słuchawkę i zameldowałem na policję, że mój dom tutaj obrabowali bandyci i wieją w biało-niebieskim wozie. O was nie wspominałem, bo was zawsze złapię... jak teraz... wiadomo mi było, że tutaj spędzaliście noc, a zamówiliście pokoje na parę dni... no i mam was, ale „tamci” gdzieś przepadli.

— Jeśli Harry był twoim agentem, to po co jeszcze posłałeś za nami samochód z Waszyngtonu?

— „Double check” nigdy nie zaszkodzi ... ale do rzeczy! Odmawiasz współpracy z dawnym przyjacielem? Pożałujesz! Przekonasz się wkrótce, że „Hooknose” (Haczykowaty Nos) silniejszy od ciebie. Good bye!

Gdy gangsterska trójka wyniosła się, zarzuciliśmy Doktora pytaniami.

— To mój dawny kolega szkolny; przyjaźniliśmy się niegdyś bardzo — objaśnił. — Niestety zeszedł na złe drogi. Dziś to międzynarodowy kryminalista, a tak wpływowy i sprytny, że nikt mu nie może niczego dowieść. Niebezpieczny — Nawet Harry'go zwerbował.

— To wielki cios dla nas, oznacza bowiem, że George czyli Hooknose zna większość moich sekretów.

— Taki przystojny typ ten Harry — wyrwała się ni stąd ni z owad Barbara — a zdrajca.

— Co ma przystojność... — zaczął Joe, gdy nagle inna myśl

przyszła mu do głowy — Ale, ale, Barbara — ty jeszcze nam nie wytłumaczyłaś, skąd znasz Kobrę.

— To i mnie masz za szpiega? — obraziła się spirytystka.
-- Jestem krewną Izy, a Kobra jest jej wujem, więc co dziwnego, że się znamy? Nigdy co prawda nie przypuszczałam, żeby miał do czynienia z podróźami międzyplanetarnymi.

Zaczęliśmy wypytywać Barbarę o wszystko, co wiedziała o Kobrze, lecz okazało się, że było to niewiele. Mieszła się przy tym i robiła wrażenie, że nie chce powiedzieć całej prawdy. Spoglądaliśmy już na nią trochę podejrzliwie, gdy wybawiła ją Iza, kierując rozmowę na inny temat.

— Czy wiecie, że ja rozumiem język, którego używał Kobra?

— Ja też rozumiem — dodałem i zaraz kilka zdań skierowałem w tym języku do Izy.

Odpowiedziała mu z łatwością. W jej ustach tajemnicza mowa brzmiała niezwykle melodyjnie.

— Zjawa obiecała, że zwróci mi pamięć — powiedziałem — gdy spotkam dziewczynę, która przemówi do mnie w tym języku. Tymczasem w moim umyśle nadal ciemności.

— W moim też — smutnie stwierdziła Iza — zjawa albo skłamała, albo nie jest w stanie spełnić obietnicy.

Rozdział VI

SOBOWTÓR

— Czy możesz wpaść do nas? — mówił przez telefon w parę dni później Joe — Mamy ważną wiadomość.

Spojrzałem na zegarek, była jedenasta rano.

— Wpadnę po południu. Nie będzie za późno? Bo mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

— Dobrze. Będę na ciebie czekał.

Do Waszyngtonu wróciliśmy bez dalszych przygód. Czekaaliśmy teraz na Kobrę z nadzieją w sercu, że wkrótce nawiąże z nami kontakt. Może porozumiał się już z doktorem Nemo i dlatego Joe dzwoni.

Doktor był przekonany, że Kobra jest przybyszem z przestrzeni, a w każdym razie ma jakieś powiązania z latającymi talerzykami. Ja raczej wierzyłem w historię z uczonym bratem na Antylach; bardziej mi się wydawała prawdopodobna i tłumaczyła dość dobrze wszystkie fakty dotąd niezrozumiałe, z wyjątkiem tego dziwnego języka.

Dochodziła druga, gdy wysiadłem z tramwaju na ulicy, przy której mieszkała Barbara z Izą i Joe'm. Znajdowałem się o parę kroków od furtki, prowadzącej do jej ogródka, gdy ujrzałem Joe'go.

Zawołałem na niego.

Nie obejrzał się, przeszedł przez jezdnię. Ruszyłem za nim. W chwilę później wszedł do sklepu, ja też. Nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Kupił pudełko papierosów. Wychodząc minął mnie przy drzwiach jak kogoś obcego.

— Czym mogę służyć? — zwróciła się do mnie sprzedawczyni.

Powiedziałem przepraszam i wyszedłem.

Joe skierował się z powrotem do domu. Doszedł do drzwi, przeniknął przez nie bez otwierania, zniknął. Tylko kupione przed chwilą pudełko papierosów upadło na ziemię i reszta wydana przez sklepikarkę rozsypała się z brzękiem u progu.

Podniosłem papierosy i pozbierałem pieniądze. Po czym zadzwoniłem raz i drugi i trzeci.

— Kto tam taki nerwowy? — usłyszałem zaspany głos Joe'go. Otworzył drzwi i wychylił rozczochraną głowę — A, to ty.

Zamiast powitania wręczyłem mu papierosy i resztę ze sklepu.

— Zapomniałeś — rzekłem krótko.

— Zostawiłem u ciebie? Kiedy?

— Nie u mnie, ale przed chwilą na progu, domu. Poszedłeś przecież kupować papierosy. Wolałem za tobą, a ty nic. Stałeś się teraz dla odmiany lunatykiem?

Przeszliśmy do saloniku. Joe wybałuszył na mnie oczy.

— Uciąłem sobie właśnie popołudniową drzemkę. Co, wiedziałaś mnie w piżamie kupującego? Rzeczywiście kładąc się spać myślałem, że już nie mam papierosów... i czekaj, czekaj... właśnie jak dzwoniłeś, to mi się śniło, że po nie poszedłem...

— Byłeś ubrany porządnie. Przeniknąłeś przez zamknięte drzwi, ty, czy raczej twoja zjawa, bo papierosy i pieniądze przez drzwi nie przeszły.

Joe był zaaferowany.

— To musiało być to, o czym Barbara zawsze gada, że każdy człowiek poza swoim ciałem widzialnym posiada też „ciało astralne” i w nim nieraz wychodzi w czasie snu; ale tego zwykle nikt nie widzi.

— Musisz mieć niezwykle „mocne” to swoje „ciało astralne”. W każdym razie lepsze takie „wychodzenie” niż produkowanie duchów.

— Mój Koreańczyk już mi się nie pokazuje.

— Iza cię wyleczyła?

— Może — uśmiechnął się.

Mów teraz, po coś mnie ściągnął? Są jakieś wieści od Kobry?

— Właśnie, że nie ma i Nemo się niecierpliwi. Jeśli jeszcze przez jakiś czas Kobra nie da znaku życia, Nemo postanowił

urządzić wyprawę jachtem na wyspę, gdzie ciebie znalezione. Jeżeli ów Nara, rzekomy brat Kobry, rzeczywiście istnieje, to jego laboratorium tam właśnie powinno się znajdować. Cóż szkodzi go poszukać? Żeby jednak zmylić ślad agentom Hook-nose'a czy innym niepotrzebnie nami zainteresowanym, rozjedziemy się spokojnie na wakacje. Ty do wuja na Miami, ja do cioci w Charleston. South Carolina, Barbara z Izą do Nowego Orleanu. Tam dopiero Nemo da nam znać, gdzie i kiedy mamy się stawić na wyprawę. Jego jacht stoi w Tampie, na Florydzie.

— Może i mój wuj swoim jachtem dołączy się do wyprawy. A co z Nancy?

— Nemo się boi, że jest ona pod władzą Kobry. Czasem tylko jej własne „ja” dochodzi do głosu, czego byliśmy świadkami. Jeśli ją wtajemniczymy w swoje, piany, wyda je, choćby wbrew woli.

— Nie dam trzech groszy, czy i tak się o nich nie dowie. Pamiętasz, jak nas znalazła na „Skyline Drive”?

— Tak, dziwna ona. Czy wiesz, że Iza w transie usiłowała przeniknąć jej myśl i natrafiła na nieprzenikniony mur. Widziałeś się z nią po przyjeździe?

— Z Nancy? Tylko przelotnie. Teraz wypada mi się pożegnać z nią przed wyjazdem.

— Tylko się nic wygadaj!

Omówiliśmy datę wyjazdu. Ponieważ nasze drogi szły w tym samym kierunku, zdecydowałem się jechać razem z Joe'm pociągiem i to już nazajutrz rano.

Nie czekając na Barbarę i Izę, które miały wrócić późno, pożegnałem Joe'go i poszedłem prosto do Nancy. Nie zastałem jej.

* * * *

Pociąg odchodził o 5.30 rano. Zamówiona taksówka miała nadjechać o w pół do piątej. Sam wstałem wcześniej, żeby dokończyć pakowania i zostawić po sobie -jaki taki porządek.

Byłem już właściwie gotów do wyjścia, gdy na schodach (mieszkałem na pierwszym piętrze) posłyszałem skradające się kroki. Zgasilem światło i nadsłuchiwałem. Ktoś zaczął majstrować przy zamku. Słyszałem szepty... musiało tam być przynajmniej ze dwie osoby. Nie czekałem. Chwyciłem walizeczkę podróżną i płaszcz zsunąłem się przez okno na dach werandy, a stamtąd na trawę. Skok przez żywopłot do sąsiedniego ogródka i dalej na ulicę. Nadjeżdżała właśnie pusta taksówka. Zatrzymałem ją i kazałem się wieźć na dworzec.

Czekał tam na mnie nowy wstrząs. Po wykupieniu biletu wszedłem na platformę, przy której stał podstawiony pociąg. gdy ujrzałem przed sobą Joe'go. Szedł ręką w rękę i rozmawiał z kimś, kto wydał mi się dziwnie znajomy. Zatrzymali się przed jednym z wagonów i pomagali sobie wzajemnie wnosić walizki. Miałem teraz możliwość przyjrzeć się dobrze towarzyszowi Joe'go z profilu i przelotnie z frontu. Przetarłem oczy. Rozmawiało z Joe'm moje wierne, lustrzane odbicie.

Czyżby tym razem ze mnie wyszło ciało astralne, czy też znalazł się ktoś tak szalenie podobny... i co gorzej usiłuje zająć moje miejsce w życiu? Może nie wiedział jaszcz, że napad na mnie, przed godziną, nie udał się. Jak mam cię zachować? Podejść i zdemaskować oszusta? Już uśmiechałem się na myśl, jaką minę zrobi Joe, gdy zobaczy dwóch identycznych

Andrzejów przed sobą.

Tymczasem przyszedł mi — jak mi się zdawało — lepszy pomysł. Kupiłem kiedyś za trzy dolary sztuczne wąsy i sztuczną brodę. Przykuły moją uwagę na wystawie, był to bowiem okres, kiedy mnie śledzono. Pomyślałem, że mogą mi się przydać. Miałem je teraz w walizce. Udałem się więc czym prędzej do ubikacji. Brodą i wąsy były umieszczone bardzo delikatnej siateczce barwy skóry, którą się przyklejało specjalnym klejem z tubki. W pięć minut przeobraziłem się w poważnego dżentelmena, z krótko przystrzyżoną bródką i baczkami, które właśnie zaczynały wchodzić w modę. Do tego ciemne okulary i... już sam siebie nie rozpoznałem w lustrze.

Wagon, w którym miałem jechać, był to tzw. "coach" z dwoma rzędami podwójnych foteli, skierowanych w kierunku ruchu pociągu. Joe i mój sobowtór siedzieli razem. Po przeciwległej stronie przejścia siedzenia były zajęte. Usadowiłem się na wolnym miejscu przed Joe'm z nadzieją, że będę mógł coś niecoś podsłuchać z ich rozmowy. Moją towarzyszką, zajmującą siedzenie przy oknie, była młoda dziewczyna lat 16 czy 17 o wyglądzie wampa. Jasne jednak, wesołe oczy wyglądające spod grzywki modnie rozczochranych płowych włosów wskazywały, że była to poza, przyklejona do jej osobowości, jak moje wąsy i broda do mojej twarzy.

Powiedziałem grzeczne hello i otworzyłem kupionego na stacji Life'a. Ruszyliśmy punktualnie. Niestety, przedtem wchodzący pasażerowie, obecnie stukot kół o szyny zagłuszał rozmowę za moimi plecami. Sytuacja, która początkowo mnie ubawiła, zaczęła teraz gniewać i niepokoić. Joe, myśląc,

że to ja siedzę obok niego, na pewno wygada się z czymś niepotrzebnym. Będzie to szkoda niepowetowana. Biłem się właśnie z myślami, jakby go tu odwołać na chwilę na bok gdy moja towarzyszka nachyliła się do mego ucha.

— Azali jesteś agentem F.B.I., szpiegiem obcego mocarstwa, czy prywatnym detektywem? — spytała nieoczekiwanie.

— Co za pomysł? — odpowiedziałem zaskoczony.

Dziewczyna dotknęła polakierowanym na perłowo paznokciem mego policzka.

— Broda się odlepia.

Zaśmiałem się sucho dla pokrycia zmieszania,

— Zbyt pośpiesznie ją przyklejałem. Może pani będzie łaskawa poprawić. Tu jest klej — wyciągnąłem z kieszeni tubkę.

— Nie mogę z tobą współpracować, dopóki nie wiem, jakiej sprawie służysz — odparła młodociana piękność.

— Bawię się w detektywa-amatora — odparłem.

— Że amator, to widać... ale zdejmij te ciemne okulary i popatrz na mnie!

Posłuchałem. Przypatrywała mi się badawczo przez moment.

— Twoje oczy patrzą uczciwie. Daj ten klej.

W minutę wszystko było poprawione.

— Czy ciebie kto śledzi, czy ty kogo śledzisz? — indagowała dalej ciekawa panna.

— Ten za mną, to mój przyjaciel, ale ten drugi przy oknie to podejrzany gość. Niestety mój przyjaciel o tym nie wie, a i ja nie wiem, jak go ostrzec.

— Wcześniej czy później na pewno jeden z nich pójdzie do ustępu ...

— Tak, ale w międzyczasie mój przyjaciel wygada się z jaką niepotrzebną rzeczą ...

— Czekaj, niech się im przyjrzę.

Podniosła się, niby coś wyjmując z torby na półce. Usiadłszy z powrotem powiedziała z ożywieniem:

— Ja wiem, kto to jest ten przy oknie. To nie żaden ciemny charakter, tylko ten... może słyszałeś o tym wypadku? Wyprawił się ze swoim wujem na Morze Karaibskie w poszukiwaniu skarbu i dwa lata przeżył w dżungli, aż go znaleźli. Osobiście go nie znam, lecz widziałam wiele razy, bo nasz dom w Miami sąsiaduje z domem jego wuja.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że i ja już widziałem tę wścibską pannę, tylko że wtedy wyglądała bardziej po ludzku.

— Cały kłopot w tym, że to nie on tylko ja — powiedziałem inteligentnie — to ty mnie znasz, a nie jego...

— Co?

— No tak. On jest moim sobowtórem. Przypatrz mi się dobrze.

— Rzeczywiście, jak się usunie tę okropną brodę i wąsy. A to zabawne! Tylko skąd ja teraz mogę wiedzieć, że ty to ty. Jak się nazywa kucharka twego wuja,

— Andzia.

— Tak, ale tego łatwo się dowiedzieć.

— To ci dam lepszy dowód swej autentyczności: ja sobie teraz ciebie przypominam. Chodziłaś w takim niebieskim kostiumie kąpielowym w białe gwiazdki i jak odpoczywałem na leżaku pod palmą przy basenie, to nieraz zerkałaś przez żywopłot.

Nie spieszyła się.

— A tyś nie zaglądał do mnie? Ale dobrze, teraz ci wierzę i przechodzę do akcji.

Zerwała się niby dla otworzenia szerszej okna. Obejrzała się przy tym na towarzyszy podróży za nami. Błysk rozeznania pojawił się na jej twarzy.

— Helo there! — zwróciła się do mego sobowtóra cała w uśmiechach — ja cię znam sąsiedzie. Toż to ten słynny Andrew, co się zgubił i odnalazł. Proszę się przesiąść do mnie na chwilę, dobrze? — Po czym zwróciła się do mnie:

— Nie będzie pan miał nic przeciw temu?

— Ależ skąd — odpowiedziałem podnosząc się skwapliwie.

Sobowtór zamienił się ze mną na miejsca. Wydawało mi się, że mniej skwapliwie.

-- Joe — szepnąłem, siadając obok przyjaciela — nie zdziwił się, ale to ja Andrzej, a tamten to oszust.

Zdjąłem ciemne okulary, żeby mnie Joe mógł lepiej rozpoznać. Patrzył na mnie przez chwilę rybim wzrokiem.

— To nie do wiary... to rzeczywiście ty... tę brodę i wąsy napokazywałeś mi u siebie. Kto w takim razie jest tamten?

Opowiedziałem przebieg wypadków od samego rana. Joe drapał się z zakłopotaniem po głowie.

— Niewiarogodne — rzek! — i skąd mam teraz wiedzieć, który z was jest prawdziwy?

— Powtórzę ci naszą wczorajszą rozmowę, potem jak we śnie „wyszedłeś z siebie”.

— Tamten też nawiązał do tego. Słuchaj, a może to po prostu „drugi ty”. Możeś się rozdwoił i tam, jest twoje „ciało

astralne”, albo odwrotnie.

— Bzdura, taka rzecz może się wydarzyć tylko we śnie. Uszczypnij zresztą mnie i jego, żaden z nas nie jest zjawą. To po prostu sobowtór. Czy nie wygadałeś się przed nim z czymś niepotrzebnym ...?

— On sam był doskonale poinformowany o naszej planowanej wyprawie... a co ty możesz o niej powiedzieć?

Podąłem mu wszystkie znane szczegóły. Kręcił niepewnie głową.

— To jednak chyba jesteś ty — zdecydował wreszcie. — Ktoś kto by ciebie udawał, nie nakładałby wąsów i brody. Poza tym w tamtym jest coś obcego, dopiero teraz zaczynam sobie to uświadamiać. Skąd on jednak mógł się dowiedzieć tych wszystkich szczegółów? Nie wygadałeś się przed Nancy?

— Nie zastałem jej wczoraj w domu. A komuś ty mówił o swojej wczorajszej przygodzie z „ciałem astralnym”?

— Tylko Izie i Barbarze, ale przecież one...

— Barbara jest dla mnie dość zagadkowa; nie bawmy cię jednak teraz w dochodzenia. Najpilniejszą sprawą jest zawiadomić doktora Nemo o zaszłych wypadkach. Pociąg zatrzymuje się zaraz w Richmond; wysiądę, zatelefonuję do Doktora, a potem chwycę samolot do Miami, żeby być tam przed moim sobowtorem.

— Dobry pomysł, tylko Andrzeju drogi, uważaj! Ponieważ nie udało „im” się złapać ciebie dziś rano, to albo wycofają twego sobowtóra, albo, co prawdopodobniejsze, będą się starali znowu cię porwać, czy zlikwidować. Może kto z nich znajduje się już tu w pociągu.

Rozejrzeliśmy się podejrzliwie wokoło, ale wszyscy wyglą-

dali tak nieszkodliwie. Pociąg począł zwalniać. Uścisnąłem dłoń Joe'emu.

--- Zatelefonuję do ciebie. – powiedziałem – a żebyś wiedział, że to ja wspomnę o pieniądzach, które niby mi pożyczyles. Pa!

Zerwałem się i przeprosiłem parę siedzącą przed nami.

— Ja też tu wysiadam — powiedziała dziewczyna, podnosząc się. — Do widzenia. Andy — zwróciła się co mego sobowtóra — za parę dni się zobaczymy.

Richmond. Virginia. Wysiedliśmy. Idąc w kierunku taksówek zapytałem towarzyszkę:

— Czyś ty zamierzała tu wysiąść, czy...?

— Nie, ale obiecałam, że ci pomogę, więc wysiadłam z tobą. Jeśli mnie nie potrzebujesz, to i tak nie szkodzi bo mam tu koleżankę, u której mogę się zatrzymać dzień czy dwa. Twój sobowtór rzeczywiście identyczny z tobą; ten sam głos, nawet taka sama plamka brązowa na policzku i na wszystkie moje pytania odpowiadał bez zająknięcia, ale wolę ciebie.

— Dziękuję.

— Ty masz coś nieokreślonego, czego jemu brakuje i co mi się podoba.

— Jeszcze raz dziękuję, a jeśli chcesz pomóc, to weź mnie do swojej koleżanki, wolę zatelefonować z prywatnego mieszkania i stamtąd też ruszyć na lotnisko. Łatwiej się zorientuję, czy mnie kto nie śledzi.

Dziewczyna mimo woli rzuciła okiem za siebie.

— Dobrze, przedstawię cię za swego kuzyna. Tylko wiesz? to jest jeszcze bardzo wcześnie. Obawiam się, że będą spać.

— To chodźmy wpierw do restauracji dworcowej na śnia-

danie bo nic dotąd nie jadłem — zaproponowałem.

Rozdział VII

„EVERGLADES”

— Jeszcze nie wiem, jak się nazywasz — zwróciłem się do mej towarzyszki, gdyśmy zaczęli znęcać się nad smakowitym bekonem i jajkami.

— Lucy Grant — odparła. — Podoba ci się to imię?

Jak mi się miało nie podobać.

— Śliczne — odparłem.

Gdyśmy się posilili, Lucy pozostała w sali restauracyjnej, ja zaś udałem się do budki telefonicznej. Czas uciekał, a gdy połączyłem się z mieszkaniem Nenio nad Chesapeake Bay, okazało się, że już uciekł, bo doktor wyjechał kilka minut temu i nic miał szybko wrócić. Zatelefonowałem na lotnisko w Richmond. Samolot odlatywał o drugiej po południu. Nie było bezpośredniego połączenia z Miami, ale obliczyłem, że i tak dojadę tam przed przybyciem pociągu z moim sobowtorem.

Otwierałem drzwi budki telefonicznej, gdy nieznany typ o smutnym spojrzeniu zatarasował mi drogę. W jego ręku błysnął trzymany dyskretnie rewolwer.

— Proszę ze mną — powiedział smutnym tonem i ani słowa... w razie oporu strzelam — ostrzegł lojalnie.

Wsadził pistolet do prawej kieszeni marynarki, lecz nadal trzymał tam znacząco rękę. Raczej wątpiłem, czy zdecydowałby się strzelać na dworcu, gdzie było tylu ludzi i policja,

lecz wolałem nie przekonywać się i szedłem posłusznie. Miałem nadzieję, że Lucy, wiedziona kobiecą intuicją, wyjrzy z sali restauracyjnej, ale ani spojrzała w naszym kierunku.

Przed dworcem wsiedliśmy w czekający szary samochód. Prowadził go drab o budowie boksera i przypląszczanym nosie i o nie bardzo pasujących do całości oślich uszach. Jechaliśmy w milczeniu. Samochód skierował się w pierwszą szosę prowadzącą do Waszyngtonu. Gdy byliśmy już dobrze poza miastem, skręcił w prawo na drogę, przy której stało kilka domów w ogródkach. Zatrzymaliśmy się w cieniu drzew i zostawiając wóz, ruszyliśmy w boczną uliczkę. Ze sto metrów od rogu stał w zapuszczonym ogrodzie spory dom, w stylu kolonialnym, z oknami zamkniętymi na okiennice.

Obeszliśmy dom i zatrzymaliśmy się przed tylnymi drzwiami. Szofer zastukał trzy razy. Po paru minutach czekania i ponownym pukaniu dały się słyszeć wewnątrz, kroki. Małutki człowieczek o małpiej twarzy otworzył nam drzwi. Weszliśmy do środka na klatkę schodową, oświetloną mdlą lampką. Poprowadzono mnie na pierwsze piętro do dużego pokoju zaśnieźnie umeblowanego. Poza okiennicami okna założone były dodatkowo kocami. Lampa u sufitu rozświetlała pokój.

Dopiero teraz drab o budowie boksera zrewidował mnie w poszukiwaniu broni, a potem brutalnie zerwał mi brodę i wąsy. Mały człowieczek wyciągnął fotografię z kieszeni i porównał ją z moją osobą.

— To on, zgadza się — rzekł, po czym zwrócił się do mnie — Po co wysiadłeś w Richmond?

Nim otwarłem usta, odezwał się osobnik o smutnym spojrzeniu:

— Właśnie wsiadałem do pociągu, gdy go zobaczyłem, jak wysiadał. Ta broda i wąsy zwróciły moją uwagę i rozpoznałem go.

— Nie bądź nudny, już mi to wszystko powiedziałeś przez telefon... ale brawo, boss będzie zadowolony.

— Czy wasz boss to Hooknose? — spytałem.

— O patrzcie, jaki domyślny. Zaraz dzwonię do niego, może przesłać od ciebie pozdrowienia? — małpi człowieczek miał niemiły, piskliwy głos.

Ujął za słuchawkę telefoniczną i nakręcił jakiś numer:

— Tu Jerry — meldował się wodzowi — złapaliśmy tego bubka, co dalej?

Hooknose mówił tak głośno, że w ciszy panującej w pokoju słyszałem każde jego słowo:

— Zmasakrować go tak, jak tylko Max potrafi, ale twarz, zostawić, by go rozpoznali. Będzie Nemo wiedział, że ze mną żartów nie ma. Podrzucić ciało gdzieś blisko drogi. Żeby je szybko znaleźli. Przypilnuj, by była fotografia w **gazecie!**

— O Key, boss.

Opryszek położył słuchawkę na widełki.

— Słyszałeś, Max? — zwrócił się do boksera.

Tamten tylko skinął głową i zrobił krok w moim kierunku. Na szpetnym obliczu malowała się rozkosz.

— Nie tu — pisnął człowieczek — w piwnicy!

"Smutny" skinął, bym szedł za nim. Max zamykał pochód. A ja wiedziałem, że jeśli natychmiast nie wymyślę jakiejś drogi ratunku, jestem skończony. „Boże!” — szepnąłem i plan działania zrodził się błyskawicznie w myśli.

Gdy mój przewodnik znalazł się jedną nogą na ciemnej

klatce schodowej, szybkim ruchem przycisnąłem kontakt elektryczny po prawej stronie drzwi. W pokoju zapanowały nieprzeniknione ciemności. Z całej siły pchnąłem bandytę przede mną na schody. Stoczył się po nich z przeraźliwym hukiem. Na zakręcie musiał uderzyć łbem o ścianę i zemdleć, bo leżał bez ruchu, gdy w parę sekund później, niemal zjechawszy na nim, macałem jego prawą kieszeń w poszukiwaniu rewolweru. Znalazłem.

Bardzo w porę, bo na górze zabłysło ponownie światło i w obramowaniu drzwi ukazał się okrutny Max. W prawym ręku trzymał pistolet, lewą szukał kontaktu elektrycznego na klatce schodowej, Świetny cel, Wystrzeliłem. Odpowiedział mi jęk. Nie oglądając się więcej za siebie, przebyłem jednym skokiem resztę schodów. Przekręciłem klucz w zamku. Za drzwiami śmiała się ku mnie wolność.

Pobiegłem w kierunku głównej szosy. Na przełaj. Przeskoczyłem żywopłot i znalazłem się na sąsiedniej posesji. Czarny psiak, podrażniony takim zgwałceniem własności prywatnej, z ujadaniem przypadł do mojej łydką. Lubię małe pieski, ale nie wtedy, gdy usiłują mnie gryźć. Potraktowałem go jak piłkę futbolową. Skowycząc wylądował kilka, metrów dalej u stóp swej pani, która w bikini i papilotach wieszła właśnie bieliznę na sznurku. Na widok osobnika z rewolwerem w ręku zbladła jak to płótno, które trzymała, wydała z siebie cienki pisk i puściła się biegiem do domu.

A ja już byłem za następnym żywopłotem, w następnym ogródku, tym razem bez psa i ludzi. Jeszcze jeden skok i jestem na ulicy. Obejrzałem się — ani śladu pogoni. Schowałem rewolwer. W parę minut później minąłem auto bandytów.

Niestety zamknięte. Biegiem dalej, aż wreszcie, minawszy po drodze zdziwionych mym pośpiechem przechodniów, znalazłem się na szosie. Kuch o tej porze był duży. Na moje znaki zatrzymał się samochód wiozący starszą parę.

— Dokąd?

— Richmond, jeśli można.

— Wsiadaj!

Wysadzili mnie niemal tuż przy dworcu. Zastałem maszerującą przed nim nerwowo tam i z powrotem Lucy.

— No, jesteś wreszcie! Co się stało? Masz tu swoją walizkę.

— Dziękuję, że czekałaś.

W paru słowach opowiedziałem przygodę.

— A ja zachodziłam w głowę, co się stało. Prosiłam policjanta, by zajrzał do ustępu. Myślałam, że może tam poszedłeś i zrobiło ci się słabo. On odpowiedział, że widział cię wychodzącego ze stacji z jakimś drugim... Nie wiedziałam, co robić. Powiedziałam sobie, że czekam do ósmej, a potem jadę do koleżanki.

— Jedźmy tam od razu! Wolę być jak najdalej od tego przekłętego dworca. Tu taka masa ludzi... i ten twój policjant może się zainteresować dlaczego wróciłem bez brody i wąsów. Łapmy taksówkę!

Nie dość było jednak niespodzianek tego poranka. Chwyciłem walizkę Lucy i moją, gdy podjechał czarny „Cadillac”, z którego wyskoczył Wiktor.

— Chwała Bogu — wykrzyknął — że jesteś cały i zdrowy! Tylko kto cię tak podrapał po twarzy? A co to za panna? — A skąd ty się tu wzięłeś?

— Wsiadajcie do środka, podwieziemy was, gdzie chcecie

i jednocześnie wszystko wyjaśnię.

Usadowiliśmy się na tylnym siedzeniu, Wiktor przy kierowcy — młodą blondynką o pucołowatej twarzy. Którego przedstawił krótko:

— To jest Bill.

Poprosiłem, by zawiózł nas najpierw do koleżanki Lucy. W czasie drogi Wiktor zaczął opowiadanie:

— Dzisiaj rano zajechałem do ciebie. Zastałem drzwi do twego pokoju wyłamane i wewnątrz wszystko przewrócone do góry nogami. Twoja gosposia tyle tylko wiedziała, że miałeś wcześniej wyjechać, zaś wybijania drzwi nie sryszała... Udałem się do Barbary. Wprowadziła Izę w trans, a ta powiedziała, że widzi cię na dworcu w Richmond, że jesteś czymś bardzo zaferowany i grozi ci niebezpieczeństwo. Wobec tego całym pędem przyjechałem tutaj.

— Dziękuję ci — odparłem — choć twój przyjazd to już musztarda po obiedzie — Tu opowiedziałem swoją przygodę z historią o sobowtórce włącznie.

Dojechaliśmy pod adres wskazany przez Lucy i dziewczyna zabierała się do wyjścia, gdy Wiktor ją powstrzymał.

— Proszę chwilę poczekać — rzekł.

Po czym nachylił się i zaczął mówić do kogoś nieobecnego w owym tajemniczym języku. Musiał tam mieć nadajnik radiowy.

— Słyszałeś wszystko? — spytał najprzód.

Odpowiedział mu głos Kobry:

— Słyszałem. Dziewczyna wie już za dużo... bierz ich oboje!

— Jedź! — Wiktor wydał rozkaz kierowcy.

— Co to znaczy? — protestowałem, a Lucy, która też się

zorientowała, że dzieje się coś niedobrego, usiłowała otworzyć drzewo. Na próżno.

Samochód pomknął jak strzała. Wiktor zwrócił się do mnie z niepewną miną:

— Bardzo cię przepraszam. Jednak, ale musicie oboje jechać z nami. Zawierz mi na naszą przyjaźń, że to dla twego dobra.

Byłem wściekły.

— O co to, to nie... mam dość zamachów na moją wolność i dość tajemnic... chcę żyć jak normalny człowiek. Albo nas natychmiast wypuścicie, albo ...

Podsunałem mu pod nos rewolwer, który dotąd trzymałem w kieszeni.

— Tak byś z zimną krwią zastrzelił swego przyjaciela? - zapytał spokojnie.

— Moja krew wrze w tej chwili, a przyjaźń w tych okolicznościach uważam za skończoną.

— To strzelaj!

Zapanowało milczenie naładowane elektrycznością. Popatrzyłem na Lucy. Westchnęła:

Ja bym też nie mogła strzelić; a więc trudno, jedźmy! może przygoda okaże się ciekawa.

— O tym mogę zapewnić — potwierdził Wiktor. Odwrócił się do nas, na ustach widniał mu ciepły uśmiech.

Schowałem pistolet do kieszeni. Mogłem co prawda palnąć Wiktora kolbą po głowie i zagrozić tym samym kierowcy. ale i na to nie łatwo się było zdobyć. Zresztą i mnie korciło: co leży przed nami?

* * *

Samochód stał przed dwupiętrowym budynkiem, na którym znać było wpływy architektury hiszpańskiej. Musiał być bardzo stary: większa jego część leżała w ruinie, tylko kawałek lewego skrzydła robił wrażenie zamieszkałego. Obok wznosiły się dwie szopy sklecone niestarannie z desek i to niedawno, bo drzewo nie zdążyło jeszcze przybrać szarej barwy.

Zewsząd otaczało nas tropikalne trzęsawisko, pokryte nieprzeniknioną, bagienną roślinnością. Tu i ówdzie sterczały w górę wodne cyprysy. Znajdowaliśmy się, jak się później zorientowałem, w samym sercu „Everglades” na olbrzymim bagniska leżącym na samym cyplu półwyspu Florydy i stanowiącym coś w rodzaju parku narodowego. Uciec stąd można było tylko albo powietrzem, albo łodzią, poprzez niekończący się labirynt strumieni, kanałów i jezior.

Na nasze spotkanie wybiegła z budynku para Indian. Dna ubrana w charakterystyczną barwną pelerynkę i suknię z kilkoma spódnicami. On w długich spodniach i barwnej koszuli. Byli to „Seminole” z miejscowego rezerwatu, gdzie żyje ich jeszcze z 900 dusz. Ich przodkowie bronili niezwykle zacięcie swej wolności. W jednej z bitew z nimi zginęło aż 1500 żołnierzy amerykańskich.

Indianie powitali Wiktora z oznakami wielkiego szacunku i zaprosili nas do zrujnowanej sali, gdzie na prostym, drewnianym stole czekało przygotowane jedzenie. Spożywaliśmy je z apetytem, ale w śmiertelnym milczeniu. Po skończonym posiłku Wiktor zażądał, bym mu oddał rewolwer. Odmówiłem.

— Nie wygłupiaj się, Jędrzek! Jak nie oddasz dobrowolnie, to i tak ci zabierzemy -- mówiąc to Wiktor wskazał na towarzysza.

Dopiero teraz ujrzałem w ręku Bill'a jakiś dziwny przedmiot skierowany w moim kierunku.

— To pistolet promieniowy — objaśnił Wiktor. — Możemy cię nim pozbawić przytomności na parę godzin. Jeśli więc chcesz się dobrze przespać, to się opieraj dalej.

Nie chciałem i bez dalszej dyskusji oddałem broń.

Zaprowadzili nas na pierwsze piętro do obszernego pokoju o zakratowanych oknach. Stały tam dwa metalowe łóżka pokryte kocami, kilka krzeseł i stół, na którym leżały stare gazety.

— Na te parę godzin powinno wam tu być dość wygodnie — rzekł Wiktor, zamykając za sobą grube, dębowe drzwi. — Zabierzemy was przed wieczorem. Do widzenia i nie gniewajcie się!

Zazgrzytał klucz w masywnym zamku i pozostał w nim z drugiej strony. Pod drzwiami jednak nie było dostatecznej szpary, żeby znanym sposobem wydłubać klucz na podsuniętą gazetę i wciągnąć go do wnętrza.

Podszedłem do zakratowanego okna. Bill wyprowadził samochód z szopy, dosiadł się do niego Wiktor i... wóz zniknął, jakby go tu nigdy nic było. Rzuciłem się na skrzypiące łóżko. Dopiero teraz odczułem wielkie znużenie.

— Lucy — powiedziałem — jeśli chcesz, byśmy się stąd wydostali, wykombinuj coś sama, bo ja idę spać. Dość mam wrażeń na dzisiaj i głowa mi pęka.

Nie wiem, czy warto uciekać — odpowiedziała. Biorąc

krzesło i sadowiąc się przy oknie — Wiktor i Bill robiąc sympatyczne wrażenie i powiązani są z jakimś fantastycznym światem — żeby samochód zmienił się nagle w samolot i przefrunął w ciągu 10 minut z Virginii na Florydę. Powiedz mi wszystko, co o nich wiesz.

Mimo ogarniającej mnie senności opowiedziałem jej przebieg naszego spotkania z Kobrą i jego towarzyszami. Lucy snuła potem różne przypuszczenia, co zechcą z nami zrobić ale nie wysłuchałem ich do końca. Zasnąłem.

Obudził mnie swąd dymu. Na kamiennej posadzce pod drzwiami palił się stos starych gazet. Dziewczyna machała przy nich kocem, starając się skierować płomień na drzwi.

— Co ty robisz? — spytałem siadając. — Chcesz wywołać pożar i nas spalić?



Co ty robisz? — spytałem siadając — Chcesz wywołać
pożar?”

— Indianie odjechali łodzią, mamy wolną rękę do działania. Przepalimy te drzwi.

— Tymi gazetami?

— Zamiast krytykować porozbijałbyś wszystkie krzesła na drzazgi.

Posłuchałem. Ogień buzował, że aż ha, nie dając stosunkowo zbyt wiele dymu. Niemniej zakasaliśmy się już parę razy.

— Skąd zdobyłaś ogień?

— Wiktor zostawił mi wspaniałomyślnie torebkę, a w niej papierosy i zapalki.

— Nie widziałem, żebyś paliła.

— Tylko czasem, dla fasonu... zarumieniła się — też wiem, że w tej fryzurze wyglądam jak strach na wróble, ale wszystkie moje koleżanki tak się czeszą.

— Na pewno nic wszystkie... są między nimi z olejem w głowie i dość odważne, by się przeciwstawić bezmyślnej modzie — odpowiedziałem, dorzucając nogę stołową do ogniska.

Lucy pominęła milczeniem moją uwagę.

Wreszcie wszystko, co mogliśmy spalić, zostało spalone. Na drzwiach wyrosła czarna plama spalenizny, ale ogień nie zdołał przeżreć ich na wskroś. Kopnąłem, nie ustąpiły. Usiedliśmy zawiedzeni na skrzypiącym łóżku, gdy nagle Lucy zerwała się z niego, jakby ją co ugryzło i bez słowa wskazała na metalową ramę. Poderwałem się i ja. Z pewnym trudem wybiłem żelazną sztabę z łóżka. Nadwątlone ogniem drzwi nie wytrzymały uderzeń tego zaimprovizowanego taranu. Udało mi się zrobić otwór dość duży, aby przezeń sięgnąć ręką do

klucza, tkwiącego w zamku.

W sali jadalnej leżała moja walizka. Wyjąłem z niej nie używany dotąd pistolet gazowy.

Para indiańska zjawiła się wkrótce. Poczuli pewnie unoszącą się w powietrzu woń spalenizny, bo wyskoczywszy z łodzi pędem biegli ku budynkowi. Zaczajony przy wejściu wystrzeliłem Indianinowi prosto w twarz, dla pewności zatykając własny nos palcami. Na widok padającego męża kobieta krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Przeszkadzały jej w tym długie spódnice nałożone jedna na drugą. Dopadliśmy ją przy łodzi. Drapała i gryzła, póki nie otrzymała i ona swej porcji gazu. usypiającego. Przeciągnęliśmy oboje do budy ku związali i zakneblowali.

Teraz nastąpiło wahanie: urządzić podobną zasadzkę na Wiktora i Bill'a dla opanowania wozu, czy uciekać w łódce. licząc na to, że szczęście, czy jakiś szósty zmysł wyprowadzi nas z bagnistego labiryntu? Po rozważeniu wszystkich za i przeciw postanowiliśmy czekać.

Usadowiliśmy się więc za szopą, służącą za garaż. Zakrywały nas nieźle rosnące tu trzciny. Obluzowałem kilka desek żebyśmy w każdej chwili mogli się dostać do wnętrza szopy. Słońce chyliło się już dobrze ku zachodowi, gdy samochód zmaterializował się znikąd przed domem. Tym razem poza Wiktorem i Bill'em przybył też Kobra. Rozpoznałem go po głosie.

— Tu się coś paliło — stwierdził.

— A gdzie nasi Seminole? — spytał Wiktor.

— Mówiłem ci, nie trzeba było zostawiać ich samych. Andra to sprytna bestia... na pewno uciekł z dziewczyną, a Indian

znajdziemy powiązanych — dostałem od Kobry niezasłużony kredyt.

Bill zajął się wprowadzeniem wozu do szopy, a Kobra i Wiktor poskoczyli do wnętrza budynku.

— Rzeczywiście uciekli! — dobiegł przez okno głos Wiktora.

Zaalarmowany Bill popędził do domu. Na to tylko czekaliśmy. Rozsunąłem deski w tyle szopy i już byliśmy w środku. Bill zostawił drzwi samochodu otwarte. Zasiadłem przy kierownicy, Lucy przy mnie. Teraz nadszedł decydujący moment; serca biły nam mocno: czy obserwacje, poczynione w czasie poprzedniego lotu, oraz kilka objaśniających uwag Wiktora wystarczą, by uruchomić i pilotować maszynę?

W zdenerwowaniu, zamiast najprzód wyjechać z garażu — do czego służył jeden z pedałów — nacisnąłem od razu lewarek do lotu wzwyż. Wóz wyleciał w górę, rozłupując na dwie połowy dach szopy. Na wysokości trzystu metrów ponad ziemią uniewidzialniłem nasz wehikuł, żeby niecodzienny widok fruującego samochodu nie sprowadził nam na kark myśliwców z pobliskiej bazy.

Lucy, znająca dobrze topografię Florydy, służyła za przewodniczkę. Znalazłszy się nad drogą idącą wzdłuż „Tamiani Tanal”, wczekaliśmy na krótką przerwę w ruchu i opuściliśmy się na szosę. Wóz uwidocznił się i udawał znowu najzwyczajniejszy samochód.

— Mówiłaś, że nie warto uciekać, bo ciekawa jesteś, co będzie dalej, czemu potem zmieniłaś zdanie? — spytałem moją towarzyszkę.

— Przygoda nie skończona! — zaśmiała się — Trzeba im

było pokazać, że mamy głowę na karku i potrafimy ich wystrychnąć na dudka, ale oni na pewno nie dadzą za wygraną.

Przysunęła się ku mnie.

— Strasznie się cieszę, że się z tobą zetknęłam — rzekła ciepło, — takie nudne życie prowadziłam dotąd. Tylko w kinie czasem można było przeżyć trochę dreszczyku, lub w ciekawszej książce, ale to wszystko namiastka — westchnęła.

— I w monotonii codziennego życia można odkryć głęboki sens, poezję, a nawet przygodę — odpowiedziałem — ale to sztuka nieznaną większości śmiertelników.

— Zdobyłeś ją?

— Nie... ale przeżywałem już momenty, szczególnie wtedy, gdy czułem się bliżej Boga, kiedy ta szarość codzienna nabierała niezwykłych blasków.

Odsunęła się.

— Toś ty taki pobożny?

— Czy „taki”, nie wiem, ale jestem człowiekiem religijnym. A ty nie?

— Oczywiście wierzę w Boga, spełniam wobec Niego swoje obowiązki, ale lak na co dzień Mu się nie uprzykrzam... to taki dla mnie starszy pan, bardzo poważny i trochę groźny, z którym się lepiej za często nie spotykać.

— Pojęcie na poziomie dziesięciolatki.

— A ty jesteś nudny jak stary profesor — odparła gniewnie.

Rozmowa urwała się.

Za godzinę byliśmy w Miami.

ROZDZIAŁ VIII

ZAMACH I WIDZIADŁO

Było już zupełnie ciemno na dworze, gdy wstawialiśmy latający samochód do garażu, przy domku należącym do rodziny Lucy. W minutę później dziewczyna tonęła w objęciach swej matki, młodej jeszcze i przystojnej kobiety. Panią Stellę Grant znałem dobrze, bo żyła w wielkiej przyjaźni z moim wujem i nieraz go odwiedzała. Przedstawianie mnie było więc zbędne, natomiast konieczne były wyjaśnienia. Zaczęła Lucy;

— Mamo, jeśli pozwolisz, zabiorę Andrzeja do nas na kolację i potem ustalimy, co dalej robić. Zaszły bowiem różne komplikacje... mieliśmy po drodze z Waszyngtonu przygody, w które trudno ci będzie uwierzyć.

— Czy to, że zrobiłaś z siebie czupiradło, to przyczyna, czy skutek tych przygód?

To nie ma nic do rzeczy. Wiem, że wyglądam wiedźmowato bo taka teraz moda; już mi Andrzej perorę prawił. Jeśli jednak

chcecie, zmienię się z powrotem w staroświecką pannę, wzorową i nieciekawą.

Przy kolacji wtajemniczyliśmy panią Stellę w wypadki dnia. Słuchała z uwagą, lecz po ustach snuł jej się uśmiech niedowierzania. Pełną natomiast wiarę znaleźliśmy w innym słuchaczu — Marku, dwunastoletnim bracie Lucy. W połowie posiłku kędzierzawy rudzielec nie wytrzymał naporu ciekawości i pobiegł do garażu.

— Mamo! — zawołał, wpadając z powrotem jak bomba do jadalni — tam naprawdę stoi niewidzialny samochód... nic, a nic nie widać, ale czuje się jego kształt pod ręką! — ja chyba będę musiała dotknąć, by uwierzyć... — odpowiedziała pani Grant — na razie zabierajcie się do deseru!

Kiedy zajadaliśmy kompot z grapefruita, siedziała w zamyśleniu, wreszcie rzekła:

— Niech lepiej Andrzej zanocuje u nas, bo czy to bandyci, czy ów Wiktor i Kobra, będą go przede wszystkim szukać u wuja, którego nic powiadamałabym o całej sytuacji. Nie wiedząc o niczym, z niczym się nie zdradzi, a my stąd będziemy z łatwością obserwować rozwój wypadków. W ogóle możesz tu u nas pobyć dłużej. Miejsca wolnego dość, bo mój mąż i starszy syn wyjechali do Paryża na kongres lekarski.

— Dziękuję bardzo, boję się jednak, że mogę was narazić swoją obecnością. Już raz przeze mnie Lucy została wmieszana w niebezpieczną przygodę.

— Ależ, Andy, ja kocham przygody! — wykrzyknęła Lucy.

— Wiem, że je lubisz, — odpowiedziała jej matka — lecz chyba tylko takie, co się dobrze kończą, a do tego niezbędna jest roztropność. Czy uważasz — zwróciła się do mnie —

że ktoś z waszych prześladowców może się domyśleć twej obecności tutaj?

— Prawdopodobieństwo jest niewielkie: Wiktor tylko tyle wie o Lucy, że jej Lucy na imię ; bandyci ją ze mną widzieli, ale nie wiedzą, kto ona jest; jedynie mój sobowtór ją zna... Z jaką grupą jest związany, nie wiadomo, a wątpię, by się zaraz miał domyślić, że się tu ukrywam.

Pozostałem więc na noc w domu państwa Grant. Spałem jak zabity. Zbudziła mnie Lucy koło 11 rano. Niebieski szlafroczek zarzucony na piżamę wskazywał, że i ona dopiero co wstała.

— Najnowsze wiadomości — oznajmiła — w nocy nikt się do nas nie włamał, samochodu nie ukradli, a sobowtór przyjechał. Możesz go obejrzeć, bo się rozłożył na leżaku w cieniu palmy i popija sok pomarańczowy. Marek śledził go z tarasu na szczycie domu przez lornetkę.

Minęło kilka dni. Mieszkałem nadal w domu Lucy. Nie wychodziłem na zewnątrz, a pani Stella nie wypuszczała też córki na miasto, bojąc się, by jej ewentualnie nie rozpoznał ktoś z jednej, czy drugiej grupy naszych przeciwników, mogli bowiem obserwować dom wuja. Marek pełnił rolę głównego detektywa i wydawało mu się, że widział podejrzanych osobników kręcących się w okolicy.

Telefnowałem parokrotnie do Joe'go, który zawiadomił Doktora Nemo o zaszłych wypadkach. Ten na razie kazał nam czekać.

Pani Stella poszła któregoś dnia z wizytą do mego wuja. Wypytywała się o mego sobowtóra, w jakim nastroju przyjechał. Jak tam poszły studia itp. O ile wuj nic nie powiedział, co by rzuciło jakieś nowe światło na sytuację, o tyle jego gosposia Andzia udzieliła obfitszych wiadomości.

— Proszę pani — mówiła ze łzami w oczach — jak ten pan Andrzej się zmienił. Dawniej zawsze taki wesoły, przyszedł do kuchni, zażartował, zapytał się, co będzie na obiad czy na kolację; teraz strasznie poważny i milczący. Jest grzeczny, uprzejmy, niby uśmiecha się czasem, ale jakoś niemrawo ... to nie ten sam ...

— Może się nieszczęśliwie zakochał? — podsunęła pani Stella.

— O nie, pani, ja wiem ... to by się zamyślał, wzdychał i na pewno by mi się zwierzył, bo u niego co w sercu, to i na języku.

Czułem wdzięczność dla Andzi za te wynurzenia, które potwierdzały identyczność mojej osoby, jeśliby która z pań miała jeszcze jakie wątpliwości.

Wreszcie znudziło nam się z Lucy to ciągle siedzenie w domu. Postanowiliśmy pójść wieczorem do kina. Dziewczyna zmieniła znacznie wygląd, gdyż pani Stella rozprawiła się z jej nowoczesną fryzurą. Ja już parę dni wcześniej ufarbowałam domowym sposobem włosy na czarno, brwi także i przykleiłem plaster na prawy policzek.

Wyruszyliśmy po kolacji, gdy na dworze robiło się ciemno. Nie doszliśmy jeszcze do furtki ogrodowej, gdy od strony sąsiedniego domu doszedł głos Andzi:

— Zostawię wam orange-juice w refrydżerejtorze, to się napijecie po powrocie, bo strasznie ciepła noc.

Usunęliśmy się za rozłożysty krzak. Ulica szedł wuj z moim sobowtórem. Rozmawiając minęli naszą furtkę. Parę kroków za nimi szedł barczysty drab, który wyrósł nagle spod ziemi w każdym razie nie zauważyliśmy przedtem jego obecności na pustej ulicy, oświetlonej skąpym światłem latarni.

— I oni pewnie wybrali się do kina — szepnęła Lucy.

— Chodźmy za nimi — odszepnąłem.

Przeczekaliśmy chwilę i poszliśmy. Wuj i sobowtór skręcili u lewą przecznicę, drab za nimi. Doszedłszy do rogu ujrzeliśmy niespodzianie rozgrywającą się przed nami dramatyczną scenę. Barczysty osobnik przyśpieszył kroku, jakby chciał ich minąć. Kiedy się prawie zrównali, w jego ręku błysnął nóż, skierowany w plecy mego drugiego ja. Padł cios. Lucy krzyknęła. Tymczasem mój sobowtór, zamiast paść na ziemię bez życia, odwrócił się spokojnie, popatrzył na swego niedoszęłego mordercę i wymierzył mu błyskawiczny cios w szczękę. Złoczyńca padł na chodnik. Z ręki wysunął mu się nóż.

Wuj, oszołomiony wypadkiem, stał patrząc niepewnie to na swego niby — siostrzeńca, to na napastnika.

— Ależ on chciał cię zamordować! — wykrzyknął wreszcie.

— Tak wygląda — przyświadczył sobowtór,

— To wołajmy policję!

Sobowtór wziął go silnie za ramię.

— Zostawmy go — rzekł — dostał nauczkę, to mu wystarczy.

Wuj popatrzał ku nam, stojącym na rogu, jakby oczekując od nas poparcia jego propozycji, najwłaściwszej chyba w podobnym wypadku. Jego towarzysz pociągnął go jednak

za sobą. Coś tam jeszcze żywo dyskutowali, co już nie doszło naszych uszu. Zatrzymaliśmy się z Lucy nad leżącym.

— Poznajesz go? — spytała.

— Nie, ale sądząc po antypatycznym oblicza to na pewno jeden ze zbirów Hookenose'a ... zresztą trudno mi uwierzyć, żeby Kobra, lub Wiktor nasyłali na mnie morderców.

— To ten nóż by! przeznaczony dla ciebie... brrrr — wstrząsnęła się — chodźmy z powrotem, odechciało mi się kina!

Podniosłem nóż z chodnika. Ani śladu krwi, tylko ostrze — stępione ostrze.

— Musi nosić pancierz pod koszulą — stwierdziła Lucy.

— I mnie by się przydał — dodałem — gra zaczyna się za-
ostrzać.

— Co z nim? — wskazała na leżącego.

— Chcesz go może zabrać do domu? — zaśmiałem się —
Zostawmy go, niedługo oprzytomnieje. A my swoją drogą
chodźmy do kina, potrzeba nam rozrywki.

Nie oponowała. Przycisnęła się co mego ramienia i po-
wiedziała: już byś nie żył.

— Mała strata dla świata.

— Nie mów tak!

Szliśmy w milczeniu, póki nie przerwała go Lucy:

— Jak to robisz, Andrzeju, że zachowujesz tyle spokoju?
Chcieli cię zamordować w Richmond i tutaj i pewnie znowu
będą, próbować, a po tobie jakoś nie widać, żebyś się tym
zbyttno przejmował.

— O, nieraz mam duszę na ramieniu — zaprotestowałem
w imię prawdy — lecz to nie powód, by mieć oczy w słup i

szczękać zębami.

— Nie mówię, że nie odczuwasz strachu, ale jest w tobie wiele spokoju i... chyba wiem skąd się bierze?

Zatrzymaliśmy się na przystanku. Autobus, który miał nas zabrać do centrum miasta, nie nadchodził.

Lucy ciągnęła dalej:

— Powiedz mi, jak ty sobie wyobrażasz Boga?

— Starszy pan z długą brodą siedzi na tronie, a wokół aniołowie grają na skrzypcach i święci śpiewają hymny i wszyscy się potwornie nudzą.

— Nie żartuj! To raczej mój obraz.

— I ja dawniej taki miałem, ale teraz rozumiem, że Bóg to Kosmiczna Inteligencja, przenikająca wszystko i utrzymująca wszystko w bycie, to niewyczerpalna Energia, która nieustannie buduje, harmonizuje, prowadzi. Dla mnie... Bóg jest i w tym ugwieżdżonym niebie ponad nami i w twoim uśmiechu i w tym, że mnie troszkę lubisz i że ja również cię lubię i w tej latarni ulicznej, że nam świeci i w tamtym nieznanym przechodniu po drugiej stronic ulicy, którego Bóg przecież zna, kocha i chce, żeby był szczęśliwy.

— Chciałabym tak to odczuwać!

Nadjechał autobus. Wsiedliśmy i jechaliśmy w milczeniu.

Urządzenie klimatyzujące popsuło się. Było bardzo gorąco i nie mogłem zasnąć, choć dochodziła północ. Przez ścianę słyszałem, że i Lucy wierci się na łóżku.

Czułem pragnienie, postanowiłem więc pójść po oranżadę do kuchni. Owijałem się właśnie w prześcieradło, niby w togę

rzymską, gdy po plecach powiał przenikliwy chłód. Obejrzałem się: w drzwiach pokoju, otwartych dla przewiewu, stał doktor Nemo. Jak się tu dostał?

Przysunął się ku mnie. Przysunął, a nie podszedł, nie widziałem bowiem ruchu nóg. Serce zaczęło mi bić młotem w piersi. To on, czy zjawa? Może go zamordowali i jego duch przyszedł pożegnać się, przed odejściem w wieczność?

— Jak się masz? — usłyszałem.

Doktor uśmiechał się na widok mego zmieszania.

— Witam! — wykrztusiłem — Co za niespodzianka!

— Przyszedłem w ten sposób dla uniknięcia czyjejkolwiek obserwacji. Jutro w nocy... — tu opisał dokładnie miejsc. — będziemy czekali na ciebie z jachtem. Ruszamy na Antyle. A co tu słyszać nowego?

W krótkich zdaniach złożyłem sprawozdanie.

— Grozi ci poważne niebezpieczeństwo — przytwierdził — tym lepiej, że jutro ruszamy. Żegnaj! Do zobaczenia!

— Chwileczkę! — zabrzmiał kobiecy głosik i Lucy ukazała się we drzwiach — Słyszałam całą rozmowę. Domyślam się, że to doktor Nemo. Bardzo proszę i mnie zabrać na tę wyprawę.

— To zależy od Andrzeja — odparł — darujcie, muszę już iść, nie mogę dłużej, bo ...

Nie dokończył i zniknął.

— Och! — pisnęła Lucy — duch! Ja myślałam, że on prawdziwy ... fiu ... nogi się pode mną trzęsą.

Usiadła na łóżku. I ja czułem się nieswojo, chociaż powinienem był już przyzwyczaić się do tych niezwykłych zjawisk.

— Widocznie nic tylko Joe potrafi wychodzić z siebie.

Oj, Lucy, czy to wszystko prawda, czy mi się tylko śni?

— Tamto? Nie wiem. Ja w każdym razie jestem prawdziwa, z ciała i krwi, Andrzeju. A zabierzesz mnie na wyprawę?

Jeśli o mnie chodziło, to na pewno bym ją zabrał, ale pani Stella sprzeciwiła się temu stanowczo. Zamach na niego sobowtóra przestraszył ją. Nic chciała swej córki mieszać w awanturę, która groziła nie wiadomo jakimi konsekwencjami. Zdecydowała, że gdy następnej nocy odjadę, na zamierzoną wyprawę na Antyle, uda się z obojgiem dzieci na dawno planowane wakacje do znajomych w Sainte Adele pod Montrealem. Musiałem przyznać, że miała rację, ale było im trochę żal żegnać się z Lucy, którą bardzo polubiłem.

Pożegnalną kolację spożywałem w smutnym nastroju. Przez tych kilka ostatnich dni miałem okazję, żyć w serdecznej atmosferze rodzinnej, której mi nie dawał w pełni starokawalerski dom wuja, ani tym bardziej mieszkanie na stacji w Waszyngtonie. Udawałem się na wyprawę w gronie, które mnie interesowało, lecz i odpychało zarazem powiązaniem z jakimś niesamowitym światem.

Podzieliłem się tą ostatnią myślą z obecnymi.

— Rozumiem cię — odpowiedziała pani Stella — lecz zdaje się, że kontakt z doktorem Nemo, to jedyny sposób rozwiązania wreszcie zagadki tych dwóch lat, wymazanych, z twojej pamięci. Jeśli jej nic rozwikłasz, nigdy nie poczujesz się w pełni sobą.

— To prawda — przyznałem. — Ponadto świat zjawisk pozazmysłowych, którym interesują się twoi przyjaciele, jest niezwykle ciekawy. I ja nie sądzę, żeby w nim kryto się rozwiązanie wszystkich problemów ludzkich, niemniej jest to

dziedzina, którą należy zgłębić. Szkoda, że dotąd stanowiła ona jedynie domenę różnych ciemnych sił; czas najwyższy wprowadzić w nią światło badań naukowych. Bez tego człowiek pozostanie ową „istotą nieznaną”, jak to słusznie zauważył Carrel.

— Patrz, jaką mamy mądrą matkę, — wtrącił dumnie Marek — a co mama myśli o latających talerzykach?

— Nie wierzyłam w ich istnienie, póki się moja córka nie przejechała latającym samochodem... i to jest tajemnica, którą trzeba odsłonić.

— A ty mi nie pozwalasz wziąć udziału w jej badaniu — odezwała się z wymówką Lucy — czy tylko Andrzej ma nadstawiać karku?

Zamierzałem pojechać samochodem Kobry na miejsce spotkania z Nemo. Jeszcze przed jego zjawieniem się omówiłem to przez Joe'go. Gdy jednak udaliśmy się do garażu, niewidzialny wóz stał się chyba na dodatek ciałem przenikliwym: nasze ręce natrafiły na pustkę. Samochód znajdował się tam jeszcze ubiegłego wieczora. Kobra, albo ktoś z jego grona, zabrał go ostatniej nocy. A więc moja kryjówka była odkryta! Czas najwyższy zniknąć z horyzontu!

Pojechaliśmy samochodem państwa Grant. Noc była piękna, gwiazdzista. Umówione miejsce — dzika plaża z dala od osiedli ludzkich. Dotarliśmy do niej bez przygód. Na morzu majaczyła sylwetka jachtu. Na sygnał latarką oderwała się od niego łódź i płynęła ku brzegowi.

Dopływała już do plaży, gdy od strony lądu usłyszeliśmy

BRAK W KSIĄŻCE stron 94-95

łom rękę do kieszeni i ująłem pistolet gazowy. Lucy skierowała światło latarki prosto w twarz wysiadającej postaci. Była to... Nancy.

— To i ty jedziesz? — spytałem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że i ją Nemo zaprosi.

— Tak — odparła krótko.

Przedstawiłem ją pani Stelli, Lucy i Markowi.

— Znani cię z opowiadań Andrzeja — powiedziała Lucy na powitanie, przyglądając się ciekawie nowoprzybyłej.

Tymczasem łódka dobiła brzegu. Jej załogę stanowili Nemo i Joe.

— To i ty tu jesteś? — zawołał Doktor na widok Nancy.

A więc nie zaprosił jej i będzie myślał, że ja to zrobiłem ...

Skąd się dziewczyna dowiedziała o miejscu i czasie spotkania?

Nenio był niezmiernie rozczarowany, gdy usłyszał, że znikł samochód Kobry. Przywitał się z roztargnieniem z panią Stellą i Markiem, ale znalazł uśmiech dla Lucy i spytał się, czy jedzie z nami. Usłyszawszy odmowną odpowiedź poruszył tylko głową w nieokreślony sposób i zaraz naglił, by członkowie wyprawy siadali do łodzi.

Pożegnałem się serdecznie z panią Grant, dziękując za gościnę, ucałowałem Lucy i Marka.

— Co zrobić z samochodem Nancy? — spytała pani Stella.

— Niech stoi! — odparła ciemnowłosa dziewczyna — Można by najwyżej dać znać policji, bo kradziony.

Zszedłem ze skarpy na plażę, obejrzałem się jeszcze raz

na trzy postacie, które tam zostały. Machnąłem ręką. Lucy nie wytrzymała, podbiegła i zawiesiła mi się na szyi, wyciskając gorący pocałunek.

— Wracaj szczęśliwie! — szepnęła.

— A wy zaraz jedźcie do Montrealu, bo się o was trochę boję! Za dużo wiecie.

Oderwała się ode mnie i poszła smutnie z powrotem. I mnie coś ścisnęło za serce. Nie oglądając się więcej, wsiałem do łódki.

Na pokładzie jachtu spotkałem Barbarę i Izę. Poza nami żadnej załogi nie było. Nemo uważał, że damy sobie sami radę z żegluga. Gdy weszliśmy do kajuty-salonu, zwrócił się do Nancy:

— Skąd wiesz o naszej wyprawie i kto cię zaprosił? — głos jego brzmiał sucho.

-- Skąd wiem, nie powiem. Nikt mnie nie zaprosi, lecz muszę jechać.

-- To się jeszcze okaże, czy musisz; zaraz cię odstawimy na brzeg.

— Nic zrobisz tego.

Rzeczywiście nie wykonał swej groźby. Powiedział mi później, gdy znaleźliśmy się sami:

— Złości mnie jej nachalność, ale może jest ona kluczem do rozwiązania zagadki Kobry; dobrze, że mamy ten klucz ze sobą.

— Ja bym ją raczej uważał za bombę zegarową, która w każdej chwili może wybuchnąć — odparłem.

Rozdział IX

POGWARKI

Podróż przebiegała przyjemnie. Zatrzymaliśmy się dwa dni w Hawanie na Kubie, gdzie rządził jeszcze podówczas dyktator Battista. Potem przepłynęliśmy Kanał Jukatan i skierowaliśmy się ku Jamajce. Pogoda sprzyjała. Nenio ułożył podział obowiązków, które spełnialiśmy ochoczo. Wolny czas wykorzystywaliśmy przede wszystkim na wyciąganie z Doktora jak najwięcej wiadomości, których posiada mnóstwo.

Zapytałem, go kiedyś, co naprowadziło go na zainteresowanie się sprawami niezwykłymi.

— Sen — odpowiedział. — Śniło mi się jako małemu chłopcu, że bawię się nagusieńki nad brzegiem błękitnego morza. Nagle padł na mnie cień wielkiego mężczyzny. Podniosłem oczy. Od pasa po kostki osłaniała go złocista materia. Na obnażonej piersi zwieszał mu się złoty łańcuch z emblematem słońca, rzeźbionym w kości słoniowej. Wiedziałem, że to mój ojciec, choć mój prawdziwy rodzic wcale nie był do niego podobny. Kilkanaście kroków za tym mężczyzną stał na piasku autentyczny, złoty dysk, otwarty. Muszę przy tym nadmienić, że w tym czasie nikt jeszcze nie mówił o latających talerzykach. Wsiedliśmy do dysku, który uniósł nas w głąb lądu. ponad piękną krainę uprawną, pociętą kanałami, w kierunku olbrzymiego miasta, nad którym górował swego rodzaju Akropol, usiany świątyniami i pałacami zbudowanymi z białych, czerwonych i czarnych kamieni z mnóstwem złotych ozdób. Zanim wylądowaliśmy, obudziłem się...

— Zawsze się człowiek budzi w nieodpowiednim momencie — stwierdziła pesymistycznie Barbara.

— Nie prawda, bo czasem jest szczęśliwy, że się przebudził, — poprawiłem ją — ale nie przeszkadzajmy!

— Wyobraźcie sobie moje zdumienie, — ciągnął dalej Nemo — gdy w kilkanaście lat później czytając „Dialogi” Platona natrafiłem na opis legendarnej Atlantydy: zgadzał się jota w jotę z obrazem krainy i miasta z owego marzenia sennego. Odtąd zacząłem szperać, badać, szukać, natrafiać na coraz dziwniejsze sprawy .

— Doktor przypomniał sobie scenę, przeżyta rzeczywistość w jednym z poprzednich „wcieleń” — wierząca w „wędrówkę dusz” Barbara nie mogła się powstrzymać od uwagi.

Otwierałem już usta, by zaprotestować, lecz ubiegł mnie Nemo:

— To jedno z tłumaczeń, — przyznał — lecz są też psychologowie, którzy podobne zjawiska przypisują raczej istnieniu jakiejś wspólnej pamięci rodzaju ludzkiego, do której dorzucamy wszyscy swoje przeżycia. W specjalnych warunkach staje się ona dostępna pewnym jednostkom.

— Ja zaś słyszałem, — dorzucił Joe — że jest to pamięć „odziedziczona”. Gdy mi się śni, że goni mnie lew, atakują ogromne węże lub, że spadam z wysokiego drzewa, pod którym czatuje dinozaur, to po prostu odnawiam aktualne przeżycia mojego pra-pra-dziada. Niedawno ktoś, zwiedzający po raz pierwszy jeden z pałaców we Włoszech, wykrzyknął w jednej z komnat: „Byłem już tutaj! ... tam we framudze okna, pamiętam, wyróżnałem swój inicjał!” Okazało się, że był tam rzeczywistość inicjał, ale wyryty przez jego dziadka:

kilkadziesiąt lat temu.

— Ciekawe to, ale odbieглиśmy od opowiadania Doktora — zauważyła Iza.

— Zaintrygowany historią Atlantydy — mówił dalej Nemo — przeczytałem przede wszystkim klasyczną pracę Donnelly’ego, potem książki Bellamy’ego. Ten ostatni tłumaczy katastrofę Atlantydy złapaniem przez ziemię księżyca, który przedtem był niezależną planetą. Ponadto łączy ten autor zatonienie Atlantydy z ogólnym potopem.

— Tym z Biblii?

— Tak. Zauważcie, że i Biblia i Plato podają niemal identyczny powód gniewu nieba i ukarania ludzi. W Księdze Rodzaju tajemniczy „synowie boscy” zaczęli brać „córki ludzkie” za żony. Z tego związku powstało pokolenie gigantów, ale też człowiek uległ deprawacji. U Platona potomkowie wózka Posejdona, wysoko cywilizowani władcy Atlantydy, zaczęli się żenić z barbarzyńskimi dziewczętami z podbitych ludów, co spowodowało obniżenie obyczajów, bezbożność i wreszcie karę.

— Co to znaczy, że ziemia złapała księżyc? — spytała Barbara niezbyt mocna w astronomii.

— Według austriackiego uczonego Hoerbigera nasz obecny satelita był niegdyś planetą o kapryśnej orbicie. Jakies 11- tysięcy lat temu zbliżył się zanadto do ziemi i jej siła grawitacyjna przytrzymała go na zawsze. Zanim jednak ustalił się w tej nowej orbicie, spowodował straszliwą katastrofę: nadmierne wzniesienie się wód, wybuchy wulkanów, zaburzenia klimatyczne, przesunięcie się osi ziemskiej. Wtedy to Przerwały się „Słupy Herkulesa”, powstała cieśnina Gibraltarska.

ska. Ocean wdarł się między Europę i Afrykę, tworząc Morze Śródziemne i grzebiąc na jego dnie niejedną cywilizację. I w innych częściach naszego globu ludzkość i jej dorobek uległy zagładzie. Prawdopodobnie nieliczni tylko ludzie, jak Noe i jego rodzina, uniknęli śmierci.

— Hipoteza Hoerbigera — przerwał Doktorowi Joe — Opiera się na jego teorii „łodu kosmicznego”, którą współcześni astronomowie zdecydowanie odrzucają.

— Niemniej na ogół przyjmują sam fakt złapania księżycy, tylko przesuwają to wydarzenie w „bezpieczną” przeszłość kilkuset milionów lat — odparł Nemo. — Może dowiemy się niedługo, jak to było naprawdę, gdy człowiek wyląduje na księżycu. Jeśli pokrywa go gruba warstwa pyłu kosmicznego, nie ma śladów aktualnej działalności wulkanicznej, a mniejsze szczegóły terenowe dawno są zatarte, atlantolodzy będą musieli poszukać innej przyczyny zatopienia mitycznego kontynentu.

— Jeśli prawdą jest sen Doktora — wtrąciłem swoją uwagę — to wielu Atlantów powinno było się ocalić na latających dyskach. Mogli nawet szukać schronienia na innych planetach.

Nenio przytaknął:

— Podania niemal wszystkich ludów zawierają pamięć podboju przestrzeni powietrznej przez, człowieka. Dość wspomnieć Faetona. Ikara z legend greckich, latające dywaniki z bajek arabskich i perskich, różne gryfy, miotły czarownic, fruujące smoki. Wreszcie, co mnie najwięcej uderza, stare poematy hinduskie opisują "winiany", statki powietrzne, dziwnie podobne do współczesnych latających dysków o któ-

rych coraz głośniej.

— Czy raczej te mity -- odezwał się Joe z powątpiewaniem w głosie — nie są po prostu wyrazem odwiecznej tęsknoty człowieka do wznoszenia w powietrze, a nie mglistym wspomnieniem rzeczywistych osiągnięć?

— Może i tak, — przyznał Nemo — wiesz jednak, że dzisiaj uczeni coraz poważniej spoglądają na legendy, doszukując się w nich zniekształconych co prawda, lecz niemniej rzeczywistych śladów wydarzeń historycznych. Spotkało ich bowiem sporo niespodzianek. Tak na przykład pieśni sanskryckie opiewały zdobycie przez boga Indrę na czele Ariów siedmiu wspaniałych miast w dorzeczu Indusu. Na tę legendę uczeni wzruszyli ramionami. Wszak wiedzieli, że w czasach inwazji Ariów na półwysep indyjski zamieszkiwały go jedynie prymitywne plemiona Drawidów. A tu nagle w latach dwudziestych naszego stulecia Sir John Marshall z kolegami odkrywa słynne już obecnie Mohendżodaro i Harappę — ogromne miasta o prostych ulicach, wielkich domach i spichrzach zbudowanych z cegieł i nieomal nowoczesnych urządzeniach higienicznych, miasta wyraźnie zdobyte w walce, współczesne kulturze sumeryjskiej z nad Eufratu i Tygrysu, istniejącej 3 do 2 tysięcy lat przed Chrystusem.

— Ale latających talerzyków w nich nie odnaleziono?

— Nie, ani ich rysunków, lecz są to już cywilizacje powstałe po potopie.

Zamyślił się wszyscy nad przeszłością naszej ziemi. Słońce prażyło mocno, ale lekki powiew i ruch jachtu łagodziły upał. Opaliliśmy się zresztą wszyscy na brąz tak, że nam już promienie słońca nie szkodziły. Patrzałem na bezkresne mo-

rze, zastanawiając się, ile w sobie kryje tajemnic przeszłości. Wznosiło się ono przecież ponad terenami, będącymi niegdyś jedną wielką doliną, która się zapadła. Wystają tylko ponad powierzchnię wód dawne szczyty gór, a dzisiejsze wyspy.

Przemknęła nad nami z szumem eskadra amerykańskich odrzutowców. Ocknęliśmy się z zadumy. Żądny dalszej wiedzy Joe zwrócił się do Nemo:

— Mówiliśmy dotąd o prehistorii... co natomiast naprowadziło pana na wiedzę tajemną, której wspaniały przykład dał pan ukazując się Andrzejowi, a przedtem mnie i Barbarze?

— Uwierzywszy w istnienie Atlantydy zacząłem się zastanawiać, czy nie przetrwało coś z tamtejszej wiedzy do naszych czasów. Wiele tajnych i półtajnych związków głosi, że przechowują te przedhistoryczne sekrety, przekazywane przez tysiąclecia nielicznej grupie „wtajemniczonych”. Do nich więc skierowałem kroki. Do iluż najdziwaczniejszych stowarzyszeń nie dotarłem! Nieraz ledwo uszedłem z życiem, a i teraz nie wiem, czy nie spotka mnie straszliwa zemsta tych, co mnie mają, że ich zdradziłem.

Westchnął ciężko, zamyślił się. Twarz jego jakby nagie postarzała. Współczułem mu. Żyć tak z groźbą śmierci za plecami... a może tylko dramatyzował?

Wyprostował się. Wstrząsnął ramionami, jakby strząsając :z nich niewidzialny ciężar i mówił dalej:

— Za tajemnymi formułami i obrzędami kryła się najczęściej pustka, nabieranie naiwnych, a nawet przewrotność. Rozczarowany, skierowałem swe poszukiwania ku ludom pierwotnym. Przemierzałem Afrykę, wyspy Pacyfiku, Indie, Tybet. Znalazłem się tam. o wiele bliżej prawdziwych

tajemnic przekazywanych przez wieki z ojca na syna. Byłem świadkiem dziwnych zjawisk, lecz do sekretu ich powstania nie chciano mnie dopuścić. Dopiero na Hawajach pokochał mnie jak syna i adoptował czarownik, czyli t.zw. tam „kahuna”. Od niego nauczyłem się wiele; między innymi sposobu owego ukazywania się czy, jak kto woli, podróży w ciele astralnym. Poznałem niestety tylko technikę, sama istota zjawiska kryje się nadal przede mną. Podobnie jak wielu telepatów, czy jasnowidzów nie ma najmniejszego pojęcia, jak się to dzieje, że widzą na odległość, czy przepowiadają przyszłość.

— To prawda, — przytaknęła Iza — podobnie ma się ze mną.

— I ze mną — dodał Joe.

— Łąd przed nami! — zawołała od koła sterowego Nancy, pełniąca właśnie obowiązki sterniczki. - To już Jamajka! — stwierdził Nemo, zrywając się.

Opływaliśmy tę wyspę od południa. Ponieważ zaczynało być skąpo z wodą, a także stęskniliśmy się za świeżymi owocami, Nemo postanowił zatrzymać się w Port Royal, pamiętnym z tego, że w roku 1962 w ciągu dwóch minut zapadł się częściowo w morze. To zabytkowe miasteczko, które jak feniks podniosło się z tej i następnych katastrof: trzęsienia ziemi, pożaru i huraganu, stanowiło dla nas wygodną przystań, leży bowiem z dala od lądu, na końcu bardzo długiego, piaszczystego półwyspu, wchodzącego głęboko w morze.

Gdy przybyliśmy do moła, Nenio rozporządził:

— Nancy i Andrzej niech zostaną na jachcie, reszta za mną! — a przed samym opuszczeniem jachtu szepnął mi do ucha: —

Nie chcę, żeby Nancy miała okazję w mieście przesać wiadomość, gdzie jesteśmy. Pilnuj jej!

Dziewczyna nie pokazała po sobie, czy ją rozkaz Doktora obszedł, czy nie. Usiadła wygodnie na składanym fotelu i patrzyła na oliwkowe morze. Rozciągnąłem się obok na leżaku. Oczy moje błędziły po prawie pustyni porcie i skąpanym w słońcu, sennym miasteczku, które swą dawną wielkość przekazało niedalekiemu Kingston, obecnej stolicy Jamajki.

Wobec Nancy byłem źle usposobiony. Drażniła mnie nie tylko jej dwuznaczna rola, lecz przede wszystkim dziwny chłód, jaki wiał od niej. Ponieważ Joe nie odstępował na krok Izy, ja z samej konieczności grawitowałem ku Nancy. Równie jednak mógłbym starać się nawiązać żywszy kontakt ze słupem telegraficznym. Była grzeczna, lecz pełna rezerwy; lakoniczna w słowach, nie okazywała niczym, że mnie choć trochę lubi i czuje się dobrze w moim towarzystwie. Jakaż inna od ciepłej, dziewczęcej Lucy!

— Gdy byłaś u steru, — odezwałem się żeby przerwać ciążące mi milczenie — prowadziliśmy z Doktorem rozmowę o zjawiskach pozazmysłowych. Nemo, chociaż potrafi niejedno z nich wywołać, nie rozumie ich istoty. Może twój geniusz — powiedziałem nie bez złośliwości — potrafi rozświetlić mrok naszej niewiedzy?

Niezrażona nutą szyderstwa zaczęła:

— I ja nie dam ci pełnego rozwiązania tych zagadnień, gdyż żadna ze znanych mi teorii nie tłumaczy całości zjawisk. Najbliższą prawdy wydaje się być hipoteza głosząca, że obok znanych form energii jak mechaniczna, cieplna, świetlna, elektryczna, istnieje jeszcze inny typ energii nie

odkryty, czy ignorowany przez oficjalną naukę. Hindusi zwa ją PRANA, Polinezyjczycy MANA. W naszym zachodnim świecie podejrzewał jej istnienie Hpokrates (w 5 w. przed Chr.), Paracelsus (w. 16) nazywaj ją MUNIĄ, Heimont (w. 37) — MAGNALE MAGNUM, słynny Mesmer (w. 18) FLUIDEM MAGNETYCZNYM lub MAGNETYZMEM ZWIERZĘCYM, Baron von Reichenbach (w. 19) nadał jej imię ODYL,.. współczesny nam dr Reich używał nazwy ORGONU. Stosowane też bywają inne określenia jak: ENERGIA KOSMICZNA, ASTRAL, ETEROID, PSYCHON. To ostatnie jest może o tyle najwłaściwsze, że ta energia jest ściśle związana z procesami psychicznymi i może być bezpośrednio kierowana myślą ludzką.

Nancy mówiła monotonnym, profesorskim tonem, jakby recytowała wyuczoną lekcję.

— Wszechświat — ciągnęła dalej — jest przeniknięty tą energią. Każdy żywy organizm, z ludzkim włącznie, czerpie ją z otoczenia i kondensuje w sobie, tworząc jakby drugie, niewidzialne ciało, zwane często ciałem astralnym lub eterycznym. Osoby wyjątkowo wrażliwe psychicznie widzą nieraz wokół ludzi pole tej energii w postaci tzw. aury. Po jej kształcie i barwie poznają stan zdrowotny i psychiczny danej jednostki. Inni posiadają tak wyczulony zmysł dotyku, że wyczuwają charakterystyczne cechy „aury” zbliżając dłoń do powierzchni ciała.

— To ja, — mruknąłem w pół co siebie — odczuwani raz jakby szczypanie, łub delikatne szpileczki, to znowu jakby słaby prąd elektryczny.

— Ta energia z jednej strony jest zależna od ludzkiej myśli, z drugiej zaś stanowi podstawę wszelkich procesów

życiowych. Gdy więc myślenie danego człowieka jest proste, pogodne i prawe, pole tej energii odznacza się harmonią, która z kolej daje nam zdrowie. Umysł egoistyczny, pełen nienawiści, strachów, złych pragnień, wprowadza dysonans, który otwiera bramę wszelkim słabościom i chorobom ciała.

Pomyślałem sobie, że wpływ psychiki na zdrowie jest dziś powszechnie znany i nie trzeba tego tłumaczyć jakąś energią kosmiczną. Nie przerywałem jednak wywodów Nancy, która przeszła teraz do stwierdzenia, że owa energia jest odpowiedzialna przynajmniej za większość, jeśli nie za wszystkie zjawiska tzw. pozazmysłowe.

— I tak krajowcy na Hawajach — mówiła — czy na Fidżi spacerujący bezkarnie po ledwo co zastygłej lawie lub gorących kamieniach, tworzą z tej energii dla swych stóp ochronny ekran. Różne zjawy, które nawet udało się fotografować na seansach spirytystycznych, nie pochodzą od duchów, lecz są skutkiem „kondensowania się” tej energii pod wpływem medium, zachodzi wtedy tzw. materializacja. Gdy doktor Nemo ukazywał się tobie, jego ciało leżało nieruchomo na łóżku, a tylko jego myśl formowała przed tobą swą „astralną” podobiznę. To samo działo się, gdy Joe „wychodził” z siebie. A poruszanie przedmiotów na odległość?

Tu umysł tworzy sobie z tej energii jakby ramię plastikowe, które może do woli rozciągać.

— Brzmi fascynująco... lecz jeśli wszyscy posiadamy tę energię, dlaczego nic wszyscy możemy, na przykład, przygotować sobie śniadanie i przynieść je do łóżka, bez potrzeby wstawania z niego?

— Myśli przeciętnego człowieka są tak rozproszone, że

umysł jego nie jest w stanie skoncentrować się dostatecznie, żeby kierować dowolnie tą energią. Trzeba na to albo ludzi niezwykle uzdolnionych w tym kierunku, albo takich, którzy zdobyli prawdziwe panowanie nad sobą, jak jogowie lub święci. Zaprowadź w sobie jedność, harmonię i ład, a i ty potrafisz...

Nie dokończyła, bo oboje ujrzeliśmy Doktora i resztę towarzyszy pośpiesznie idących przez moło w kierunku jachtu, Joe raz po raz oglądał się niespokojnie.

Nancy powstała i, zanim jeszcze znaleźli się na pokładzie, uruchomiła motor.

— Co się stało? — spytałem przybywających.

— Wyobraź sobie, spotkaliśmy Hooknose'a. To my specjalnie nadajemy drogi, żeby zmylić przeciwnika, a ten musiał właśnie tu przyjechać ... co za pech!

— Czekał na nas?

— Wątpię, bo skąd mógł wiedzieć... to przypadek.

— Jaką miał minę, gdy was zobaczył?

— Chyba nas nie widział; to myśmy go zauważyli.

Szybciej Nancy!

Rozdział X

CZYN NANCY

Dalsza podróż miała przebieg spokojny. Nie wpadliśmy na inny statek, nie spotkał nas huragan, omijały burze. Jedyne, co nas trochę zaniepokoiło, to że parokrotnie zauważyliśmy wystający z morza peryskop łodzi podwodnej.

-- Hooknose nas śledzi! — wykrzyknęła Barbara, gdyśmy po raz pierwszy stwierdzili obecność peryskopu.

-- Głupstwo! uspokoił ją Nemo — Nikt dziś nie posiada prywatnie łodzi podwodnych... to marynarka wojenna któregoś z okolicznych krajów przeprowadza ćwiczenia.

Dotarliśmy wreszcie do celu — niewielka zatoka otoczona dżunglą, na jej lewym ramieniu biała, popękana skała, wystająca prostopadle z morza. Właśnie tu przed laty rozegrał się mały dramat: dałem nurka z jachtu, opanowanego przez bandytów i płynąłem co sił ku skale, goniony strzałami; wtem wszystko pokryła ciemność i nie mam pojęcia, co się stało dalej.

Nemo sądził, że znajduje się gdzieś tutaj podwodne przejście, które wtedy przypadkowo odkryłem, prowadzące do tajnego laboratorium Nary, brata Kobry... jeśli takie naprawdę istniało.

Założywszy przyrządy do nurkowania, pogrążyliśmy się z Doktorem w fałach. Odkryliśmy wkrótce pod skałą olbrzymią grotę i schody kamienne prowadzące w górę do następnej groty, położonej nad pierwszą. Było tu jasno, dzięki szczelinom w ścianie zewnętrznej. Wychyliłem się przez jeden z większych otworów i obwieściłem odkrycie naszym towarzyszom, pozostałym na jachcie.

Grotę pokrywały bogate płaskorzeźby. Obok dziewczynki z papużką w ręku zauważyłem szparę. Znajdowały się tam

kamienne drzwi, które otworzyliśmy bez trudności. Prowadziły do długiego korytarza i komnat, wykutych po jego obu stronach. Stały w nich drewniane, proste sprzęty, w kątach gniły szmaty. Wiało od tego wszystkiego stęchlizną i opuszczeniem. Korytarz przechodził na końcu w obszerną pieczarę. Jej środek zajmował stół, wokół niego walało się kilka stołków. Drzewo było jeszcze w dobrym stanie, nie spróchniałe, ani nie przegnite od wilgoci.

— Czy przypominasz sobie cośkolwiek? — spytał Nemo.

Pokręciłem przecząco głową.

— I tak — dodał Nemo — odkryliśmy przynajmniej częściowo tajemnicę twego zniknięcia: dostałeś się tutaj i zatrzymano cię...

— Ale kto i po co?

Wzruszył ramionami gestem niewiedzy i podszedł do drewnianych drzwi, zamykających dalsze przejście w głąb skały. Wyrwał je ktoś z zardzewiałych zawiasów i przystawił prowizorycznie. Odsunęliśmy je. Za nimi kamienne schody prowadziły w dół w kompletną ciemność. Zapaliliśmy latarki. Na pięćdziesiątym stopniu schody skończyły się. Staliśmy teraz w kolosalnej grocie, pełnej stalaktytów i stalagmitów. Ich wielkość świadczyła o geologicznej starożytności miejsca. Lewą część groty zalewało podziemne jezioro.

Nasze zjawienie się poruszyło chmary nietoperzy, które teraz niespokojnie latały nam nad głowami. Światło latarek krążyło po grocie badając każdy kąt. Widniało kilka dalszych przejść.

Nagle Nemo wskazał na dno groty. Było miękkie, pokryte odchodami nietoperzy. Wyraźne ślady stóp ludzkich pro-

wadziły w różnych kierunkach.

— Świeże ślady — zawyrokowałem.

— Trudno orzec, jak świeże, — odparł Nemo — tutaj po latach odcisk stopy może wyglądać, jakby był zrobiony wczoraj.

Spośród różnych śladów wybraliśmy te, które pokrywały inne. Prowadziły brzegiem jeziora w głąb groty. Spod gumowych kostiumów do nurkowania wyciągnęliśmy pistolety. Czego oczekiwaliśmy? Komnaty na górze były opuszczone. Ktoś tam kiedyś mieszkał, lecz się wyniósł. Tym bardziej tutaj nie należało się nikogo spodziewać. A jednak obu nam zdawało się, że otacza nas jakieś nieuchwytnie niebezpieczeństwo. Poszliśmy ostrożnie, śledząc podejrzliwie kamienne figury, które zdawały się poruszać złowróźnie w świetle latarek.

Ślady męskich trzewików doprowadziły nas do przeciwległej ściany groty. Wahaliśmy się właśnie, czy zapuścić się w czeluść wąskiego chodnika, gdy za naszymi plecami rozległy się głosy i rozbłyły światła kilku mocnych latarek. Ktoś nadchodził od strony górnych komnat. Zgasiliśmy natychmiast nasze lampki, lecz dostrzeżono nas. Oślepieni skierowanymi na nas reflektorami, uskoczyliśmy za kamienne słupy.

Jednocześnie grota rozbrzmiała hukami wystrzałów, świstały kule wysyłane z pistoletów maszynowych, krzesząc iskry na kamiennych słupach. Echo w grocie było tak silne, że mogło się wydawać, iż cała armia ruszyła do ataku.

Palba trwała z pięć minut, po czym ustąpiła miejsca złowrogiej ciszy. Ozwał się w niej głos Hooknose'a:

— Richie i Andrew! — krzyczał — Wiem, że tam jesteście.

Podnieście ręce do góry i wychodźcie!

Zamiast odpowiedzi Nemo spoza osłony kamiennego słupa wycelował w szukające nas światła. Uczyniłem to samo. Padły dwa strzały. Odpowiedział im okrzyk bólu. Jedna latarka upadła na ziemię. Inne zgasły natychmiast. Beładna strzelanina rozpętała się na nowo. Nie wiele co mogli nam zrobić w tym ciemnym labiryncie, lecz po błyskach wystrzałów poznaliśmy, że zbliżają się do nas. Jedyna dla nas droga odwrotu w kamienny chodnik za naszymi plecami. Ale i w nim mogła czyhać niejedna pułapka.

Przyszła mi lepsza myśl do głowy.

— Załóżmy maski i przepłyńmy im na tyły pod wodą — szepnąłem do Nemo.

Pochowaliśmy pistolety i zanurzyliśmy się w lodowate wody jeziora. Lampa postrzelonego bandyty leżąca na ziemi umożliwiała zachowanie kierunku.

Gdy wyłanialiśmy się ostrożnie w pobliżu schodów, zauważył nas Hooknose. Wódz gangsterów trzymał się na tyłach, z dala od pola bitwy. Oślepieni silnym światłem jego reflektorka i zagrożeni pistoletem maszynowym musieliśmy się poddać.

Zaprowadzono nas do górnej komnaty. Hooknose, nie wypuszczając z rąk pistoletu, zasiadł wygodnie na stołku.

Jego ludzie rozstawili się za nim półksiężycem. Nas postawiono naprzeciw pod ścianą. Mierzyliśmy się spojrzeniami.

— Coście tu znaleźli? — spytał wreszcie arcygangster.

— Nic. Ktoś tu był, lecz się wyniósł.

— Psiakrew! — zaklął Hooknose. — Nie warto było włączyć się za wami w łodzi podwodnej. Cierpię na klaustrofobię i

każde zanurzenie przyprawia mnie o chorobę.

— Skąd wiedziałeś o naszej wyprawie? — spytał go Nenio.

— Już w Hawanie zauważył was mój agent, potem zgubiliście się nam i dopiero w Port Royal jeden z celników powiadomił mnie o waszej krótkiej wizycie. Stamtąd już płynęliśmy za wami cały czas. Kogo spodziewaliście się tu zastać?

— To był strzał na ślepo. — odpowiedział Nenio — nie mam pojęcia, kto mógł zajmować te pomieszczenia.

— Nie bujaj!... Nie szukałbyś, nie wiedząc. Gadaj! Bo mamy środki, by upłynnić twą wymowę.

Tak mile rozwijającą się rozmowę przerwał odgłos stóp, biegnących po korytarzu. Na salę wpadła Nancy, ociekając wodą, a za nią dwaj niemniej mokrzy bandyci.

— Wyrwała się nam!

Hooknose ruchem pistoletu nakazał jej, by stanęła obok nas.

— Co z innymi? — spytałem ją.

— Pod strażą na jachcie. Wyrwałam się, żeby sprawdzić, co się stało z wami:

Gdy skończyła Hooknose podjął przerwany wątek:

— Los twych przyjaciół — zwracał się nadal tylko do Doktora — zależy od ciebie ...

Przesunął nagle wzrok na mnie. Wyczytałem w nim coś, od czego aż mnie ciarki przeszły.

— Chciałem ci udowodnić, Richie, że ze mną żartów nie ma i kazałem zlikwidować tego tutaj... — wskazał mnie końcem lufy — lecz okazał się sprytniejszy niż wygląda... Coś ty nosił wtedy? Stalową koszulkę?

Nie odpowiedziałem. Wzruszył ramionami.

— Obojętne zresztą... kogo skazałem na śmierć musi zginąć.

— Nie bądź idiotą: — zawołał pośpiesznie Nemo. — On ci tak samo potrzebny, jak ja i inni... bez niego byśmy tu nie dotarli i...

— Wieleśmy tu zobaczyli! A on się na nic nie przyda bo ma amnezję. Już to zbadałem... No, Andrew, masz dwie minuty na rachunek sumienia i żal doskonały... cha, cha, cha... boś ty podobno gorliwy katolik.

Byłem przekonany, że nie żartuje. Wypadki w Richmond i nóż w plecy mego sobowtóra stanowiły wymowny dowód, że już wtedy postanowił ze mną skończyć. Jakoś jednak moje grzechy nie chciały przychodzić mi na myśl, natomiast głowa gorączkowo szukała sposobów ratunku. Gdybym mu powiedział, że tylko udawałem amnezję, że coś wiem bardzo ważnego, że... Otworzyłem usta, lecz nie mogłem wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. A on powoli podnosił lufę pistoletu.

Nemo, błady jak ściana, wyrzucił:

— Odpowiesz za to! Dobrze, powiem już po co tu przybyliśmy.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, Hooknose spyta mnie:

— Gdzie wolisz? W brzuch? W serce? W głowę?

Sadysta.

Przywarłem oczyma do jego palców. O, Boże! Zaraz przycisnie cyngiel!

Przycisnął. Lufa plunęła ogniem.

Ktoś jednak był o ułamek sekundy szybszy od niego. Zanim pierwszy pocisk mógł mnie dosięgnąć, zasłoniła mnie Nancy. Cała seria poszła w jej ciało... lecz jednocześnie z jej

palców trysnęły ku gangsterom zielone, oślepiające promienie. Błysk, trzask, kurz, który na moment wszystko zasłonił. Gdy opadł, w komnacie byliśmy tylko: Nemo i ja.

— Co się stało? Gdzie Nancy?

— Rozsypali się w proch.

Ochłonawszy z wrażenia skierowaliśmy się z powrotem do jachtu. Myśleliśmy, że czeka nas jeszcze ciężkie zadanie uwolnienia towarzyszy, tymczasem okazało się, iż na widowni wydarzeń pojawiły się nowe siły, a mianowicie trzy amerykańskie ścigacze. Marynarze okupowali już łódź podwodną, Hooknos'a. Gdy jednak wyłoniliśmy się z fal morskich i wdrapaliśmy się na pokład jachtu, natychmiast nas aresztowano.

* * *

W bazie amerykańskiej Guantanamo na Kubie, gdzie cała nasza gromadka znalazła się pod kluczem, wyższy urzędnik F.B.I. wyjaśnił nam sytuację.

Okazało się, że po moim odnalezieniu się w dżungli mój Wypadek zainteresował władze amerykańskie. Odkryto podwodną grootę i skalne mieszkanie. Nie było tam już nikogo, ale znalezione stosy drukowanej propagandy komunistycznej niedwuznacznie świadczyły, że była to tajna baza działalności wywrotowej.

— Ty, młody człowieku, — mówił do mnie urzędnik — myślałeś, że zamydlisz nam oczy swą niezwykłą historyjką. Tymczasem przez dwa lata odbywałeś przeszkolenie w tej bazie, czy jakimś innym ośrodku, może nawet w Moskwie...

Nie aresztowaliśmy cię od razu. Chodziło o odkrycie twoich kontaktów. No i mamy: niewinna na pozór organizacja szanownego Doktora urządza sobie „rendez-vous” z bandą Hooknose’a, którego od dawna mieliśmy na oku. Nawet teraz nie chcecie wydać, którzy umknął. Mieliśmy obstawione wszystkie przejścia w grotach. I znowu bajeczki o rozwianiu się w powietrzu. Może to i wygodna metoda udawać wariatów, ale to was nie zaprowadzi na wolność... nie łudźcie się!

— Przecież wiecie, że doszło do walki w grocie. — tłumaczył spokojnie Nemo, — znaleźliście trupa jednego z gangsterów.

— Wewnętrzne porachunki bandyckie mało nas obchodzą. Nie zmieniają faktu, że zasłaniacie sposób ucieczki Hooknose’a.

Od tego samego urzędnika dowiedzieliśmy się, że obława na nas była poważną operacją, w której obok policji wzięły udział lotnictwo i marynarka wojenna. Samoloty śledziły nasze ruchy, wykryły też łódź podwodną. Była to niemiecka U-boot, która w czasie ostatniej wojny miała na Florydzie tajną bazę, zaopatrywaną z lądu przez Hooknose’a. Kiedy zwycięstwo przechyliło się zdecydowanie na stronę aliantów, gangster zdradził swych klientów, wymordowawszy załogę. Używał potem łodzi do celów przemytniczych.

Martwiła nas bardzo ta nieprzyjemna sytuacja. Tylko Nemo śmiał się z oskarżeń, twierdząc, że nie są oparte na żadnym materiale dowodowym. Aresztując nas — twierdził — F.B.I. postawiło się samo w głupiej petycji. Słowa jego pocieszyły nas nieco, niemniej myśleliśmy: „Nemo, milioner, łatwo wykręci się z opałów, lecz czyż z równą łatwością uda się to nam, zwykłym zjadaczom chleba?”

W czwartym dniu naszego pobytu w Guantanamo wsadzono nas w samolot. Miał nas zawieźć do Waszyngtonu na dalsze badania.

Podczas gdy reszta naszego towarzystwa rozmawiała, pograżyłem się w myślach. Wracałem w nich stale, do wydarzeń w grocie. Czyn Nancy wywarł na mnie niezatarte wrażenie. Ocaliła mi życie kosztem swojego. Jaki był motyw jej bohater-skiego postępuku? Miłość? Czemu mi jej nigdy nie okazała? Czemu zareagowała dopiero w ostatniej chwili? Czemu niszcząc gangsterów, unicestwiła też swoje ciało? Zawierało ono widocznie tajemnice, których nie wolno było odsłonić nawet po śmierci.

Tajemnice, tajemnice, tajemniej... Ileż ich się namnożyło przez ostatni rok, a żadnej nie rozwiązałem w pełni. Biedna Nancy... czułem spóźnione wyrzuty sumienia za swoją nieufność wobec niej i okazywaną ostatnio niechęć.

Jeszcze jeden aspekt wydarzeń męczył mnie głęboko. Nieraz już stawiałem czoło, niebezpieczeństwu, ale chyba nigdy śmierć nie była tak bliska. Gdyby nie Nancy, już bym był trupem. Ktoś zwany Andrzejem nie miałby już nic wspólnego z tym widzialnym światem... i czy ten świat straciłby na tym cośkolwiek? Nie popełniałem wielkich grzechów, starałem się żyć uczciwie, byłem człowiekiem religijnym, ale czy działałem coś naprawdę dobrego? Czy nie szedłem przez życie raczej popychany wypadkami, niż świadomie twórczy?

Nancy niedawno mówiła o rozproszeniu, które nie pozwala nam rozwinąć pełni możliwości ukrytych w ludzkiej naturze... I ja widziałem teraz, swoje kapitały rozmieniane na drobną monetę przez brak jakiegś naprawdę centralnej idei,

która by zmobilizowała wszystkie siły, uczyniła ze mnie Człowieka przez duże C.

Te niewesołe myśli zaczęła coraz bardziej przerywać ożywiona dyskusja, tocząca się między zawsze sceptycznym Joe'em i nieuleczalnie entuzjastycznym Doktorem.

Joe twierdził, że istnienie Atlantydy jest hipotezą bez pokrycia, bo archeologia nie dostarczyła na to żadnych dowodów.

— O, znalazłyby się, ale zaczerpnijmy je z innego źródła — mówił z zapałem Nemo. — Powiedz mi, skąd w starożytności Aristarchus z Samos dowiedział się, że ziemia jest kulą krążącą wokół słońca i to samo twierdzili Chaldejczycy, jak pisze o tym Diodorus Siculus? Skąd wiedza poety Owidiusza o biegunach ziemskich i jego twierdzenie, że nasz glob winien znajdować się w orbicie bliższej słońca, lecz wypadł z niej dzięki skrzywieniu się osi ziemskiej? Nie wiem, czy to twierdzenie jest słuszne, ale musiało się opierać na jakiejś znajomości przestrzeni i praw w mej rządzących. A czy wiesz, że już Demokryt i Epikur głosili, iż powstawanie światów powodowane jest koncentracją atomów, a Filo Aleksandryjski dodaje, że te same światy mogą się z powrotem rozpaść na atomy i na nowo połączyć? A skąd Herodot, Plato, Strabo, Seneka i Plutarch wiedzieli o istnieniu kontynentu amerykańskiego, a Aelian dodał do ich opisów fakt istnienia Oceanu Spokojnego?

— Mieli dostęp do jakiejś tajemnej wiedzy...

— Przewyższającej wiedzę ich czasów, a więc pochodzącą skąd? Powiedz mi też, co się stało z traktatami trygonometrii, geometrii i astronomii, bez których niemożliwa byłaby budowa piramid, wiedza o odległości ziemi od słońca? Co

się stało z teleskopami, przez które człowiek starożytności dojrzał malutkie księżyce Marsa? Archeologia nie znalazła teleskopów, nie odkryła tych traktatów w papirusach, czy na glinianych tabliczkach, bo zaginęły w falach Atlantyku, ale przez dłuższy jeszcze czas uratowana garstka nosiła tę wiedzę w pamięci.

— Albo — wtrąciłem się — wiedza ta przyszła spoza naszej planety od istot odwiedzających ją w latających dyskach.

— Z których właśnie jeden towarzyszy nam już od pięciu minut — stwierdziła spokojnie Iza, jakby to było najnormalniejszym zjawiskiem w świecie.

— Gdzie? Co? — Rzuciliśmy się wszyscy do iluminatorów.

— A tam dalej jeszcze drugi i trzeci, a za nimi olbrzymie cygaro.

To były ostatnie słowa, bo zaraz po nich zaczęło nam się wirować w oczach i ogarnęła nas ciemność.

CZEŚĆ DRUGA

LUNA

Rozdział I

POD KOPUŁĄ

Powrót do przytomności i światła nastąpił w nieznanym pokoju. Leżałem na tapczanie, oddychałem równo, czułem się doskonale fizycznie, umysł pracował jasno, a w duszy panowała dziwna lekkość.

Usiadłem. Nie miałem nic na sobie z wyjątkiem błękitnej materii przepasującej biodra. Na lewym ręku ujrzałem bransoletę ze złota, pokrytą dziwnymi znakami. Po mojej prawej stronie stał drugi tapczan, przykryty wzorzystą makatą. Spała na nim Iza, przybrana w purpurowy sarong w białe kwiaty. Ściany pokoju nie miały drzwi. Sufit świecił łagodnym światłem. Podłogę pokrywał puszysty dywan zielonej barwy.

— Iza! — powiedziałem półgłosem.

Na dźwięk mych słów otworzyła oczy i rozejrzała się wokoło ze zdumieniem.

— Co się stało? Gdzie jesteśmy?

— Tyle wiem, co i ty — odparłem.

— Czyli nic — uśmiechnęła się i usiadła, spuściwszy bose nogi na dywan.

Zastanawialiśmy się dalej nad dziwną sytuacją, gdy biała ściana rozsunęła się. W przejściu ukazała się... Nancy.

A więc umarłem, pomyślałem zdumiony, bo inaczej wyobrażałem sobie niebo — bardziej duchowo.

Przybrana w złocisty sarong, Nancy przyglądała nam się filuternie, bawiąc się naszym zdziwieniem. Biły od niej; natu-

ralność i ciepło. To była ta sama Nancy, którą znałem kiedyś, zanim stała się istotą genialną.

— Jak się macie? — rzekła wreszcie — Na pewno jesteście głodni, chodźcie na posiłek.

Zerwałem się z tapczanu. Byłem jakoś tak lekki, że mój ruch zaniósł mnie dalej, niż się spodziewałem. Przytrzymała mnie Nancy.

— Uważaj! — ostrzegła — Musisz nabrać spokojnych, płynnych ruchów. Pole grawitacyjne jest tu nieco słabsze niż to, do którego jesteście przyzwyczajeni.

— Czy to naprawdę ty, czy mi się śnisz? Przecież zginęłaś tam w grocie.

— To dotąd jeszcze nie wiesz? Co za ciemna istota z ciebie? To nic byłem ja, lecz mój robot, zdalnie kierowany.

— To i mój sobowtór jest na pewno robotem! — wykrzyknąłem w nagłym olśnieniu — a Iza?

— Najprawdziwsza, z krwi i kości.

Nancy uścisnęła Izę.

— Spotykamy się właściwie po raz pierwszy, — rzekła — bo tamta Nancy, to maszyna. Lecz żeście nie odgadli...

— Czułem, że coś jest nie w porządku, ale trudno było wpaść na tak nieprawdopodobne rozwiązanie zagadki, tym bardziej że czasami stawałaś się sobą, choć na krótko.

— To wtedy, gdy sama mogłam kierować swym robotem; rzadko mi na to pozwalali.

— Kto są ci oni i gdzie jesteście?

— Chodźcie za mną! Sami się przekonacie.

Po przejściu kilku korytarzy i sal, zastawionych maszyną, znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni zarosłej tropikalną

roślinnością. Nad nami rozciągało się niebo, czarne jak atrament, pokryte gwiazdami. Gdzieś w połowie nieba księżyc w pierwszej kwadrze, olbrzymi, niebieskawy, jakiś



— To ziemia! — wykrzyknęła Iza — A my jesteśmy na księżycu!”

inny. W tym ślicznym ogrodzie ... oddychając swobodnie?

— To ziemia! — wykrzyknęła Iza, — a my jesteśmy na księżycu!

Szybkim krokiem poszedłem po ścieżce miękkiego piasku do skraju ogrodu. Rozpościerała się przede mną pustynia, upstrzona jakby lejami od bomb i pokryta głazami. Świeciła popielatym światłem, odbitym od ziemi, surowa, groźna, nieprzyjazna.

— Ani śladu wielkich księżycowych kraterów, tylko to pobojuwisko — zrobiłem uwagę.

— Znajdujemy się w jednym z nich, ale jego brzegów stąd nie widać, bo horyzont jest ciaśniejszy — wyjaśniła Nancy, która wraz z Izą poszła za mną — a oddychamy swobodnie, bo znajdujemy się pod kopułą.

Podniosłem głowę.

— Nie widać jej.

— Bo jest to tylko pole, wypychające ze swego zasięgu wszelką materię. Na wewnątrz utrzymuje powietrze i ciepło, od zewnątrz chroni nas od bombardowania meteorytów z przestrzeni.

— Co je tworzy?

— Meteoryty?

— Nie, pole.

— Specjalne przyrządy, lecz nie znam zasady ich działania. Tu cała technika oparta jest na wytwarzaniu sztucznych pól grawitacyjnych lub antygravitacyjnych ...

— Kto są ci „oni”?

— Znasz już Kobrę i znasz ją — wskazała na Izę — ludzie, tacy jak i my. Ich przodkowie opanowali przestrzeń przed po-

topem.

— To Iza ...?

— Urodziła się na Wenus i dopiero niedawno wysłano ją na ziemię, odbierając pamięć. Jej prawdziwe imię: Lena.

Iza przyjęła spokojnie rewelacyjną wiadomość.

— Rozumiem teraz, — rzekła — dlaczego tak obco czułam się zawsze na ziemi... lecz powiedz nam Nancy, gdzie jest Doktor Nemo, Barbara i Joe?

— Znajdują się tutaj, ale śpią w Specjalnych inkubatorach, które usuną z nich wszelkie fizyczne defekty, dadzą pełnię zdrowia i odmłodzą. Za jakiś miesiąc ich zobaczymy.

Ty już, Andrzej, raz przeszedłeś przez taki „poprawiacz” ...

Przerwał jej delikatny dźwięk, wydobywający się z naszych bransoletek.

— Chodźmy! — powiedziała — Wzywają na posiłek.

W pomieszczeniu, służącym za jadalnię, spotkaliśmy Kobrę, Wiktora i Dorotę, przybranych w szaty podobne do naszych. Czekał tam też na nas młody, wspaniale zbudowany mężczyzna, o kruczonych, falistych włosach. Podszedł żywo do Izy.

— Ty mnie nie pamiętasz — wyrzekł w owym obcym, melodyjnym języku — lecz jestem twoim bratem, nazywam się Pali.

Dziewczyna wpatrywała się weń długo z takim natężeniem, jakby go chciała przeniknąć na wskroś. Wreszcie uśmiechnęła się i wyciągnęła ramiona.

— Nie pamiętam, ale ci wierzę.

Padli sobie w objęcia.

— Siadajmy do stołu! — zarządził Kobra — Wiem, że oboje jesteście pełni pytań. Szkoda, że nic możemy wam po prostu

zwrócić pamięci. Niestety nie mamy w tej bazie odpowiednich aparatów. Niemniej mogę wam wiele wyjaśnić.

Usiedliśmy wokół stołu. W czasie posiłku Kobra rozpoczęła fascynujące opowiadanie.

— Naszą ojczyznę — mówił — jest planeta Wenus. Na ziemi przybywamy w latających dyskach. Nie chcemy na razie nawiązać bezpośredniego i otwartego kontaktu, lecz potajemnie obserwujemy wasz postęp techniczny, przyswajamy sobie niektóre wasze pomysły, zdarza się, że zabieramy ze sobą pewne jednostki. Ty, Andrzej, odkryłeś przypadkiem naszą kryjówkę na jednej z wysp karaibskich. Porwaliśmy cię na Wenus. Przeżyłeś tam niejedną przygodę. Zostałbyś na pewno z nami na zawsze, gdyby nie to, że naraziłeś się gubernatorowi naszej planety. Odebrał ci więc pamięć okresu spędzonego na Wenus i odesłał na ziemię.

— Jaką to zbrodnię popełniłem?

— Nie zbrodnię. Przekroczyłeś punkt prawa, który osobiście uważam za przestarzały i idiotyczny... jednak mój

brat Nara, nie żaden uczony-szaleniec, jak wam powiedziałem, lecz Jego Dostojność sam gubernator, przestrzega prawa aż do najmniej sensownego paragrafu.

— Nakłamałeś nam zdrowo, gdyśmy się spotkali nad „Goo sepond'em”, — stwierdziłem z wyrzutem — lecz mniejsza o to. Powiedz teraz, jak do tego wszystkiego pasują Iza, Barbara, Wiktor?

— Wiktora porwaliśmy kiedyś z ziemi i pracuje obecnie dla nas dobrowolnie. Iza to Wenusjanka, moja siostrzenica, która tak jak ty naraziła się Narze i spotkał ją też los podobny. Nasi agenci umieścili ją po odebraniu pamięci pod opieką Barbary,

której „dychy” nakazały nam wierną służbę... Ciebie pozostawiono w dżungli na wyspie. Gdy Nara przeprowadzaj tę niecną operację, nie byłem o niej powiadomiony.

Kiedy dowiedziałem się o wszystkim, ogarnęło mnie oburzenie, lecz widząc, że się wam nieźle powodzi, nic na razie nie przedsięwziąłem.

— Jak to „widząc”?

— Mogliśmy was stąd stale obserwować dzięki mikroskopijnym aparacikom umieszczonym — tu zawahał się na sekundę — gdzieś w waszych ciałach.

— To dlatego znaleźcie wszystkie nasze ruchy i plany!

— Tak. Dopiero, gdy zauważyliśmy, że policja stale cię obserwuje i jakieś podejrzanе typy krążą wokół ciebie, zaniepokoiłem się. Przypadkowo porwano w tym czasie Nancy i zastąpiono robotem. Ponieważ przyjaźniliście się przedtem i często przebywałeś w jej towarzystwie, dodaliśmy jej sobotórowi zadanie strzeżenia ciebie. W dniu, w którym spotkałiśmy się nad „Goosepond'em” wylądowałem w dysku w pobliskim lesie. Po rozmowie z wami zdecydowałem się w tajemnicy przed Narą zabrać was na razie tutaj na księżyc, gdzie jestem dowódcą bazy i kierownikiem pewnych prac. Przygotowaliśmy twojego robota, by cię zastąpił na ziemi. Chciałem, by Nara sądził, że nadal tam przebywasz.

— Czy i ja mam swego robota? — przerwała mu Iza.

— Dotąd nie. Każdy przybysz z ziemi, przechodząc przez „korektor”, przekazuje jednocześnie całą zawartość swej pamięci specjalnym rejestratorom. Zebrany w ten sposób materiał przydaje się później, szczególnie przy produkcji robotów. Ty jednak jako Wenuzjanka nigdy przez to nie przeszłaś. Do-

piero teraz będzie można sporządzić twego sobowtóra, jeśli się to okaże konieczne. Lecz wracajmy do ciebie Andra. W dniu twego wyjazdu z Waszyngtonu wypuściliśmy twojego sobowtóra na stację kolejową, a Wiktor z drugim agentem pojechał po ciebie do mieszkania. Z wachałeś coś i czmychnąłeś. Po Wiktorze, zdaje się, przyszedli tam bandyci Hooknose'a i rozczarowani twą nieobecnością zdemolowali pokój. Wiktor złapał cię w Richmond, ale uciekłeś później z Lucy. Czekałem nowej okazji. Nadarzyła się, gdy wyruszyliście na Antyle. Postanowiłem porwać całe wasze towarzystwo, które już za wiele wiedziało. Tymczasem stanęło nam coś na przeszkodzie i zabraliśmy was dopiero z samolotu. Wszystko odbyło się w powietrzu. Lotnictwo i policja — zaśmiał się — dotąd zachodziło w głowę, co się z wami stało. Piloci i urzędnicy F.B.I, co was wieźli, pamiętają tylko, że naraz stracili przytomność, a gdy doszli do siebie, samolot leciał spokojnie dalej, ale po was ani śladu.

* * *

Iza spędzała teraz prawie cały czas ze swoim odnalezionym bratem, mnie natomiast nie odstępowała Nancy. Dzięki niej obejrzałem dokładnie bazę księżycową, a przynajmniej to wszystko, co nam pozwolono obejrzeć. Zaczęliśmy zwiedzanie od wielkiej sali, gdzie w poprawiaczach trzymano naszych przyjaciół. Stamtąd przeszliśmy do działu robotów.

— Kryje się tutaj — stwierdziła z powagą Nancy — największy spisek, jaki zawiązano w historii ludzkości. Nasze roboty i wiele innych, które spacerują nierozpoznane pośród ludzi na ziemi, to dopiero początek... próba ... Raz po raz Kobra

ze sztabem swych uczonych wykrywa w nich różne braki, poprawia, udoskonala i wymienia swoje modele, zdalnie kierowane z tutejszej bazy.

— O jaki spisek chodzi?

— Kobra ma szatański plan! Na miejsce szefów państw zamierza po podstawiać swoje roboty i uchwycić w ten sposób całą władzę na ziemi.

— Niewiarogodne!

— A jednak prawdziwe. Sama widziałam gotowe sobowtóry kilkunastu najważniejszych postaci z areny politycznej świata.

Weszliśmy do sali, gdzie w kilkunastu rzędach stały szafy metalowe z mnóstwem przełączników, lampek, tarcz i ekranów, przypominających telewizyjne.

— To mózgi elektronowe robotów — wyjaśniła dziewczyna. — Tutaj przychodzą z ziemi wrażenia optyczne, dźwiękowe it.p. Te maszyny je rozpracowują i ślą z powrotem impulsy kierujące działaniem robotów.

— To i ekwiwalent mojej „łepetyny” tu się znajduje! — wykrzyknąłem.

— Tak. Ten jednak mózg „indywidualny”, zawierający charakterystyczne cechy twego myślenia, zachowania, pamięci i specjalnych zadań, które masz dokonać na ziemi z woli twych twórców, jest połączony z mózgiem wspólnym. Zajmuje on kilka następnych sal, a zawiera niemal całą wiedzę dostępną człowiekowi w obecnych czasach. Z tego wspólnego mózgu mogą czerpać wiedzę w razie potrzeby mózgi indywidualne.

— Teraz rozumiem geniusz twego sobowtóra!

— To był jednak błąd. Źle działały t.zw. filtry indywidualne. Na zewnątrz, w mowie i działaniu, mój robot powinien był wykazywać tylko taki zakres wiadomości, który mogłam rzeczywiście posiadać. Czerpał za dużo i to mogło was doprowadzić do odkrycia tajemnicy.

— Nie doprowadziło. Podejrzewać ciebie, że jesteś maszyną...? To było zbyt fantastyczne! Poza tym twój robot tracił czasem swą sztuczność.

— To wtedy, gdy nim kierowałam bezpośrednio. Raz i drugi mi pozwolono, a nawet nakazano dla celów eksperymentalnych. Parokrotnie uczyniłam to po kryjomu. Naprowadziłam was na Kobrę i chciałam wymusić na nim swą wolność. Pamiętasz, wtedy nad „Goosepond'em”? W najnieodpowiedniejszym momencie nakrył mnie jeden z tutejszych pracowników ... no i nie udało się.

— Trzeba nam było wtedy więcej powiedzieć.

— Bałam się, że nie uwierzycie, póki was nie doprowadzę do latającego dysku.

Przeszliśmy do następnego pomieszczenia. Pracował tam jakiś młody człowiek. Skinął nam głową.

— Czy mogę — spytała go Nancy — pokazać naszemu gościowi, jak się kieruje bezpośrednio robotem?

— Dobrze, sam mu pokażę — odparł i zwrócił się do mnie — Tylko proszę bez żadnych niemądrych kawałów. Nie usiłuj przekazywać nikomu informacji o swym obecnym miejscu pobytu, ani o prawdziwej naturze swego sobowtór, bo natychmiast cię wyłączę.

Wprowadził mnie do wnętrza niezwykle skomplikowanej maszyny. Włożyłem na siebie coś, co przypominało kostium

przestrzenny. Jego wewnętrzna powierzchnia przylgnęła natychmiast ściśle do ciała. Z zewnątrz maszyna wysunęła ku mnie tysiączne metalowe macki, które uniosły mnie nieco ku górze. W tym zawieszonym położeniu zachowałem pełną swobodę ruchów. Mogłem przebierać nogami, jakbym chodził po podłodze, poruszać rękami, pochylać się. Na głowę, wsadzono mi hełm. Przed oczami zapanowała ciemność.

Nie trwało długo. Ujrzałem wpieryw zamglone obrazy i nagle znalazłem się w Miami w ogrodzie wuja — tak jak bym po prostu wszedł w swego sobowtóra.

Wstałem szybko z leżaka, ustawionego pod palmą. Podszedłem do żywopłotu, oddzielającego nasz ogród od ogrodu państwa Grant. Lucy leżała na trawniku z książką w ręku.

— Lucy!

Obejrzała się i podniosła niechętnie.

— Czego chcesz?

Umówiłem się z nią kiedyś co do znaku rozpoznawczego, po którym będzie mnie mogła odróżnić od sobowtóra. Skrzyżowałam obecnie dwa palce prawej ręki. Na obojętnej dotąd twarzy odmalowało się zainteresowanie. Podeszła bliżej.

— Andrzej?

— Nic jestem nim, jak wiesz, lecz mam od niego autentyczne wiadomości, które prosił, by ci przekazać. Wyprawa udała się, laboratorium zostało odkryte, wszystko jest w porządku, ale nic może określić, kiedy powróci.

Lucy w odpowiedzi zarzuciła mi mnóstwem pytań. Zanim zdążyłem odpowiedzieć nawet na pierwsze, dobiegło mnie od strony domu wołanie wuja.

— Andrzej, chodź tutaj, ważna sprawa!

Przeprosiłem dziewczynę i podszedłem do niego. Stał na werandzie.

— Znowu ten przeklęty agent F.B.I. — szepnął — przyszedł i chce z tobą rozmawiać. Kiedy dadzą ci spokój? Przecież od przyjazdu z Waszyngtonu nie ruszałeś się stąd nigdzie, a oni ciągle swoje.

— Niech się wuj nie przejmuje — odpowiedziałem i wszedłem do korytarza.

Na tym zakończył się mój kontakt z robotem. Przed oczami zapanowała ciemność.

— Twój sobowtór — objaśnił mnie młody Wenuzjanina, gdy uwalniałem się z kostiumu — wie lepiej od ciebie, jak się tłumaczyć policji. Jeśli chcesz zobaczyć, co się tam dalej dzieje, to popatrz tu na ten ekran!

Widziałem to, na czym musiały spoczywać oczy robota salonik w pokoju wuja, agenta siedzącego na kanapce. Słyszałem ich rozmowę.

— To nadzwyczajne, — stwierdziłem w pewnej chwili, zwracając się do Wenuzjanina — lecz powiedz mi jeszcze jedno: dlaczego robot Nancy zasłoniwszy mnie przed kulami zniknął?

Takie jest prawo robotów: gdy powstaje możliwość odkrycia, czym są naprawdę, muszą się unicestwić. Gdyby dziewczyną ubrana tylko w kostium kąpielowy przeżyła serię z pistoletu maszynowego, zorientowałibyście się, że zachodzi tu coś nadzwyczajnego.

— Już wcześniej stwierdziliśmy jej nadzwyczajność i nie domyśliliśmy się niczego.

— Składam hołd waszej inteligencji — odparł złośliwie.

Opuściliśmy z Nancy laboratorium i usiedliśmy na ławce w ogrodzie. Glob ziemski wisiał w tym samym punkcie czarnego nieba, w którym zobaczyłem go po raz pierwszy. Zmieniła się tylko faza. Niedługo miała nastąpić pełnia.

— Nie masz pojęcia — powiedziałem do Nancy — jak twój robot intrygował mnie swoją tajemniczością. Jego opieka nade mną irytowała mnie, odpychała sztuczność, wiało od niego chłodem, niemniej...

-- Przyznaj się! — przerwała z uśmiechem — Zakochałeś się w moim robocie. To świetne!

— Co to, to nie — zaprotestowałem żywo — lecz gdyby tak okazał więcej ciepła i kobiecości.

Objąłem ją wzrokiem. W ciemnowłosej dziewczynie było tyle ciepła i kobiecości, że mnie dreszcz przeniknął. Wołałem zmienić temat.

— Ten plan Kobry opanowania świata przy pomocy robotów, trzeba przyznać, jest genialny!

Zarumieniona i roześmiana buzia Nancy przygasła i nabrała twardego wzroku.

— Nie wolno nam do tego dopuścić! — rzekła stanowczo.

— Czemu nie? Jeśli to mądry człowiek, może nastać dla ziemi nowy wiek złoty.

Zerwała się gwałtownie z ławki.

— Jak możesz mówić takie rzeczy! — zawołała. — Przede wszystkim, czy można czynić dobrze posługując się oszustwem? A następnie, gdzie twój ziemski patriotyzm? Czy możemy się zgodzić na panowanie nad nami jakichś Wenuzjan i to za pomocą bezdusznych maszyn? Nie, nigdy!

— To co zamierzasz zrobić?

— Uciekać na ziemię i, przestrzec wszystkie rządy, a przynajmniej nasz, amerykański... posłuchaj, mam pewien plan.

— Cicho! — położyłem jej palec na ustach — Przecież w moim ciele, a na pewno i w twoim znajdują się aparaciki podsłuchowe.

— Tak, ale je teraz wyłączyli. Wyszperałam to. Nie mów tylko nic Izie. Jest Wenuzjanką i może trzymać ich stronę.

— Pamiętaj też, że umie czytać w myślach, gdy znajduje się w transie.

— Kto tu mówi o transie? — odezwał się za nimi niespodziewanie głos Izzy.

Odwróciliśmy się zmieszani, jak uczniaki złapane na psocie. Czy słyszała wszystko?

Jeśli tak, to nie dała niczego po sobie poznać.

Powiedziała tylko:

--- Pali wysłał mnie po was. Zaprasza nas na przejażdżkę latającym dyskiem.

Rozdział II

KSIĘŻYC WINOWAJCA

Dysk był nieduży, na cztery osoby. Siedzieliśmy w jego kopule na wygodnych fotelach, które mogły się wkoło obracać. Kopuła, jak i cały dysk, zbudowana była z nieprzejrzystego materiału, tylko na wysokości oczu szedł pas szkła, czy innej przezroczystej substancji. Po prawej stronie miałem Palego, po lewej. Nancy, za sobą łąkę.

Wznieśliśmy się kilkaset metrów nad powierzchnię księżycową. Słońce stało na wysokości 45° nad horyzontem, dzięki czemu wszystkie wypukłości terenu rzucały ostre cienie.

Pożerałem widok oczami. To, co oglądałem dotąd na ziemi jedynie przez silną lornetkę — bo nigdy w życiu nie miałem okazji korzystać z teleskopu — leżało teraz tuż przede mną. Odczułem rozczarowanie. Szeroka płaszczyzna, nad którą lecieliśmy, popstrzona tysiącami niewielkich lejów powstałych od uderzeń meteorytów, wyglądała monotannie, nieciekawie.

— Gdzież są wielkie kratery? — spytałem — Czy będziemy lecieć nad nimi?

— Właśnie przelatujemy nad jednym z nich — odparł Pali. — Znajdujemy się nad jego zewnętrznym zboczem

— Prawie nie można zauważyć spadku.

— Światłocienie oglądane z ziemi przez teleskop dają złudzenie wielkiej głębokości księżycowych kraterów spadkości zboczy, gdy naprawdę zmiany wysokości zachodzą tutaj

bardzo łagodnie. Natomiast zobaczysz za chwilę coś, co z ziemi nie wygląda imponująco, natomiast...

Nim skończył zdanie, na wąskim horyzoncie ukazała się długa, czarna przepaść: straszliwe pęknięcia powierzchni globu, ciągnące się prostą linią setkami kilometrów. Gdyśmy się zanurzyli w ten piekielny wąwóz, aż mi dech zaparło. Prostopadłe, poszarpane ściany, ginące w bezdennej czeluści — nie to nie piekło, bo nie widać ognia, lecz przynajmniej Dantejski czyściec.

Pali wzniósł z kolei aparat bardzo wysoko. Mogłem teraz łatwiej rozróżnić znajome rysy księżycowej topografii. Ciekawiła nas jednak przede wszystkim druga półkula księżyca, której z ziemi nie widać. Więcej zauważyliśmy tam wielkich kraterów i gór, mniej mórz czyli ogromnych płaszczyszni. Lecz poza tym wszędzie ta sama przeraźliwa, smutna pustynia.

— Nie lubię księżyca — odezwała się nagle Iza. — Na ziemi zawsze go się bałam, a tutaj jeszcze bardziej czuję, jakby szło od niego coś złowrogiego i niedobrego.

— Nic dziwnego, urodziłaś się na Wenus, bezksiężycowej planecie. — zaczęła Nancy, lecz przerwał jej Fali.

-- To nie to — rzekł z powagą — Lena intuicyjnie wyczuwa prawdę. Księżyc jest przekleństwem ziemi.

Obróciłem się gwałtownie ku niemu. Jak to? Latarnia nocy, opiekun podróżnych i kochanków, srebrne światło nadające tyle uroku nocnemu krajobrazowi... przekleństwem.

— Wariat! — mruknęła pod adresem Palego Nancy, dając wyraz swemu oburzeniu.

Pali chyba usłyszał epitet, lecz nie obraził się i spokojnie

objaśnił swe niezwykle twierdzenie.

-- O tym, że ciała niebieskie posiadają pola grawitacyjne i magnetyczne, wiecie, lecz wasi uczeni nie odkryli jeszcze istnienia pola — tu zatrzymał się w poszukiwaniu odpowiedniej nazwy — nazwijmy je na razie polem X, które ma zasadniczy wpływ na kształtowanie się i rozwój życia na danej planecie.

-- Ono zależy — przerwałem mu — od składu chemicznego po gęstości atmosfery, rodzaju gleby, naświetlenia słonecznego, wilgotności — Także od promieniowania kosmicznego, fal radiowych napływających z przestrzeni i innych czynników. — dodał Pali - lecz przede wszystkim od owego, pola X, które na każdej planecie nadaje ewolucji organizmów żywych swoją naturę i kierunek.

— Można by je nazwać polem witalnym - podsunęła **Iza**.

— Doskonały pomysł... ale wróćmy do księżyca. Nie był on początkowo satelitą ziemi i przez miliony lat życie na waszej planecie rozwijało się przede wszystkim pod wpływem jej własnego pola witalnego i pola słonecznego, choć i inne planety odgrywały też pewną, mniejszą lub większą rolę, zależnie od ich odległości od ziemi.

— To astrologia zawiera coś z prawdy — wykrzyknęła Iza.

— Jest ona zniekształconą pozostałością podawanej wiedzy o „polach witalnych” planet. Niewątpliwie układ gwiazd w chwili narodzenia, a ściślej biorąc w chwili poczęcia dziecka ma wpływ na kształtowanie się jego predyspozycji fizycznych i psychicznych, choć nie determinuje z góry jego drągi życiowej.

— Ja się urodziłem pod znakiem Panny. — zacząłem.

— I stąd jesteś gadatliwy jak baba — zauważyła Nancy. —

Nie przerywaj!

— Życie na ziemi — mówił dalej Pali — rozwijało się po liniach wyznaczonych przez jej pole witalne, kierowało ono także ewolucją człowieka, która osiągnęła z czasem bardzo wysoki poziom. Rozwinęły się, w człowieku władze, tzw. parapsychiczne. Nie potrzebował mowy, pisma, telefonu, radia i telewizji, bo mu je zastępowały: telepatia i widzenie na odległość. Dzięki nim tworzył się jakby wspólny umysł ludzkości. Trudno wam sobie dziś wyobrazić, czym było to wspólne Przeżywanie każdego nowego doświadczenia, dzielenie się każdą myślą. Narastała między ludźmi niezwykła harmonia uczuć i działania.

— Coś, jak u pszczół i mrówek — zauważyłem.

— Lecz przy zachowaniu indywidualnej inteligencji.

— Skąd to wiecie?

— Nasze starożytne księgi, dawniejsze niż wasze, tak malują ten złoty wiek ludzkości. Ponadto nasi uczeni, znający charakterystyczne cechy „pola witalnego” ziemi potwierdzają na ogół ten właśnie kierunek ewolucji. A te szczątkowe władze parapsychiczne, które tu i ówdzie ujawniają się w dzisiejszym człowieku, czy nie wskazują na prawdę historyczną tego na pozór baśniowego obrazu.

— Czy go jednak nie idealizujecie zbyt? Znacie chyba ataki moralnego upadku człowieka na początku jego historii?

— Tak. Człowiek stracił łaskę, a jego wewnętrzna równowaga uległa zachwianiu, niemniej jego życie naturalne nadal rozwijało się według praw wyznaczonych przez pole witalne i inne czynniki, choć ta ewolucja nie szła już może tak, gładko jak przedtem. Wola ludzka potrafi wszystko spacyć.

— Czy ziemia — spytała Nancy — była w tym okresie klimatycznym rajem?

— Krążyła bliżej słońca niż obecnie, lecz warunki zewnętrzne człowieka nie odgrywały zasadniczej roli. Przed niebezpieczeństwem chroniła go siła psychokinetyczna. Gdy złamał nogę, czy zranił się, momentalnie płynęła w chore miejsce energia lecznicza, nie tylko jego własna, ale w razie potrzeby i innych ludzi. Szkoda, że się to wszystko skończyło.

Zamilkł na chwilę. Zasłuchany w jego opowiadanie dopiero teraz zauważyłem, że oddaliśmy się od księżyca, a kierujemy ku ziemi.

— Jak się skończyło?

— Katastrofą. Zaczęła się ona z dala od ziemi. Wielka planeta, której orbita przebiegała między Jowiszem a Marsem, rozpadła się. Planetoidy, część meteoroidów i niektóre księżyce to jej szczątki, rozprysła w przestrzeni. Nastąpiło zachwianie się równowagi systemu słonecznego, zderzenia z odłamkami planety. Właśnie dopiero parę tysięcy lat temu system słoneczny, powrócił do stanu harmonijnego - Czy wiecie, na przykład, dlaczego dzielicie koło na 360°?

— Nie.

— Bo w zamierzchłej przeszłości rok ziemski liczył równe 360 dni. Wydłużył się do 365 dopiero w ostatnim z zaburzeń kosmicznych, które według naszych uczonych, nastąpiło koło 800 lat Przed Chrystusem. W czasach, gdy ziemia krążyła bliżej słońca niż dziś, rok był jeszcze krótszy. Lecz wróćmy do pierwszej katastrofy. Nie tylko, że ziemia zachwiała się w posadach, że spadł na nią deszcz meteoroidów i asteroidów, lecz począł krążyć wokół niej największy chyba

kawał rozpadłej planety: obecny księżyc. Już samo przychwycenie księżycyca było potwornym wstrząsem dla ziemi, ale co gorsze zakłócił on jej pole witalne, wskutek swej bliskości. Dotychczasowy tor życia został zwichnięty. Człowiek żyje teraz krócej, choć szybciej się rozmnaża. Stąd księżyc był czczony to jako bóstwo śmierci, to jako bogini płodności. Co jednak najważniejsze: pole księżycowe przytłumiło niemal zupełnie dawne zdolności parapsychiczne.

— To rozwalić księżyc i już! — wykrzyknęła Iza — To chyba możliwe obecnie... w erze bomby atomowej?

— Ładnie by ziemia wyglądała, ją zaczęły bombardować jego odłamki!

Tymczasem, zagrożona przez pomysł Izy, niebieska. Planeta rośla nam w oczach. Warstwa atmosfery, widzialna na krańcach globu na tle czarnego nieba, wyglądała cieńsza, niż się spodziewałem.

Pali wprowadził dysk w wolny ruch obrotowy, żeby każdy z nas po kolei mógł się przyjrzeć widokom. Znajdowaliśmy się nad Atlantykiem, gdzie właśnie panował dzień. Europę pokrywały białe chmury, lecz Afryka i Ameryka — szczególnie Południowa — były doskonale widoczne.

— Jakżeż te dwa kontynenty — stwierdziła Nancy — pasują do siebie! Tylko je złożyć!

— Tworzyły bowiem kiedyś całość — objaśnił Pali — Nie tylko Afrykę i Amerykę można by złożyć, ale wszystkie lądy, gdyby się zmniejszyło półtora raza objętość ziemi. Tak zresztą nigdy było.

— Jak to możliwe?

— Wy nic wiecie, że siła grawitacyjna globu ziemskiego

zmieniała się na przestrzeni jego dziejów. Na początku była większa niż dziś. Wskutek tego ziemia była bardziej ściśnięta. Woda pokrywała wszystko, a obecne lądy stanowiły jej dno. Z czasem siła ciężenia zaczęła maleć, a ziemia pęczniała, jak nadymany balon. Jej twarda skorupa popękała. W pęknięcie wiewały się wody. Wreszcie wyłonił się ląd stały.

— Co powoduje te zmiany w sile grawitacyjnej?

— Istnieje kilka teorii. Najoryginalniejsza z nich twierdzi, że energia życia i energia grawitacyjna znoszą się wzajemnie, jak plus i minus. Im bardziej rozwija się biosfera, tj. rośnie ilość żywych organizmów i doskonalą się ich forma, tym bardziej słabnie działanie siły przyciągającej, wszystko staje się lżejsze. Lecz może nastąpić wypadek odwrotny, gdy życie danej planety degeneruje się lub ginie. Siało się tak na ziemi. Gdy nadeszła katastrofa, o której mówiłem przedtem, życie uległo w wielkiej mierze zagładzie, a siła grawitacji podskoczyła. Ziemia, uległa ponownemu skurczeniu się. I jak balon, z którego uchodzi powietrze, marszczy się, tak i na powierzchni waszego globu powstały góry.

— To wyjaśnia też — wtrąciłem — dlaczego przedpotopowe zwierzęta były takie olbrzymie. Nam się wydaje, że te tony mięsa poruszały się z trudnością, a one po prostu ważyły mniej, dzięki mniejszej niż obecnie sile przyciągania ziemi.

— Tak. I pierwszy człowiek był gigantem.

— Ludność ziemi tak się teraz gwałtownie powiększa — dorzuciła swą uwagę Nancy — że według twojej hipotezy i glob nasz powinien rosnać. Podobno zresztą kontynenty stale oddalają się od siebie. Może to oznaka pęcznienia naszej planety.

Weszliśmy w atmosferę. W chwilę później widok przesłoniła mgła. Jak objaśnił nas Pali, dysk wytwarzał wokół siebie pole próżniowe, dzięki czemu nie było tarcia powietrza o powierzchnię statku przestrzennego. Natomiast na pograniczu między polem próżniowym, a atmosferą, wskutek różnicy ciśnień, kondensowała się para wodna.

Przekręciliśmy fotele ku pionowej kolumnie, idącej przez całą wysokość dysku aż do szczytu kopuły. Wokół tej metalowej kolumny, na wysokości naszych oczu znajdowały się ekrany telewizyjne. Manipulując guziczkami, mogliśmy na nich obserwować dowolną część otaczającej przestrzeni, a także osiągać odpowiednie zbliżenia. Choć byliśmy jeszcze bardzo wysoko, nastawiłem mój ekran tak, że widziałem z absolutną dokładnością wszystko, co się działo na pokładzie statku, płynącego właśnie ku Rio de Janeiro.

Pali zniżył dysk prosto na ten statek. Gdyśmy byli już z kilometr ponad nim, dostrzeżono naszą „chmurkę”. Zataczając regularne koło, wywołała zrozumiałe podniecenie. Grupki pasażerów pokazywały nas sobie wzajemnie.

Nasz pilot zakreślił w powietrzu ósemkę, po czym wzniósł się znowu i skierował dysk ku dorzeczu Amazonki. Gdy leciliśmy nad jej żółtymi wodami, dał nam krótką lekcję zamierzchłej teografii, która wywołałaby na pewno protesty ziemskich specjalistów.

— Było to niegdyś wielkie morze wewnętrzne, łączące się z Atlantykiem szeroką cieśniną, a z Pacyfikiem sztucznym kanałem. Łańcucha Andów jeszcze wtedy nie było. Powstały one w czasie katastrofy Atlantydy. Morze Amazońskie wlało się wtedy do Atlantyku, a jego dawne dno pokrywa do dziś błot-

nista dżungla. Miasta, które niegdyś rozsiadły się nad jego brzegami, poszły w ruinę.

— Czy to tych miast poszukiwał pułkownik Fawcott, który zginął tu gdzieś ze swym synem w roku 1925?

— Tak. Udało mu się dotrzeć do upragnionego celu. Na jego jednak nieszczęście, czy szczęście, w podziemiach tego miasta posiadamy swą bazę i nie mogliśmy go puścić z powrotem.

— Co za sens zakładać bazę — odezwała się Nancy — w miejscu, do którego tyle ekspedycji usiłuje się dostać? Archeolog francuski Homet dotarł już prawie do jednego z tych miast.

— Ale musiał zawrócić — odparł z uśmiechem Pali. — Nie bój się! wiele jeszcze czasu upłynie, zanim nas tam odkryją. Wy natomiast będziecie mogli obejrzeć ruiny, bo mam właśnie interes do naszej bazy.

Aparat wylądował błyskawicznie. Sta! na obszernym placu, wyłożonym spękаныmi płytami kamiennymi. Wokół leżały ruiny kolosalnych budowli, których dżungla nie zdołała jeszcze zupełnie strawić. Pali otworzył klapę u spodu dysku. Uderzył w nasze ciała tropikalny żar. Panowało wczesne popołudnie.

Młody człowiek zsunął się na ziemię pierwszy, i wyciągnął rękę, by pomóc zejść Izie. Nagle przypomniał sobie:

— Nancy — rzek! — podnieś siedzenie mego fotela i podaj mi pistolet promieniowy. Tu łatwo spotkać jaguara lub węża.

Nancy wyciągnęła pistolet, lecz zamiast go podać Palem, strzeliła mu prosto w pierś. Osunął się bezwładów na ręce Izy.

— Oszalałaś? — krzyknęła dziewczyna.

— Za parę godzin mu Przejdzie, a to jedna okazja ucieczki. Chodź z powrotem do dysku!

— A jego mam zostawić na pastwę dzikich zwierząt? Uciekajcie sami! Ja zostanę przy nim.

— To weź pistolet promieniowy! Jest u ich jeszcze kilka.

Wysunąłem się z dysku i wraz z Izą, usunęliśmy bezwładnego Wenuzjanina na bok, by pole antygravitacyjne maszyny nie wyrzuciło mu krzywdy przy odlocie. Wróciłem do kabiny.

— Potrafisz kierować? — spytałem Nancy.

— Czyniłam to parokrotnie pod okiem Kobry, który mnie zabierał nieraz na przejażdżkę.

Mówiąc to, przycisnęła jedną z dźwigni. Nic nie nastąpiło. Nowe próby uruchomienia maszyny, nowe niepowodzenie.

— Może Pali ma przy sobie jakiś klucz? — podsunąłem.

— Nie, nie. Nigdy żadnego klucza, nie widziałam. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy się wznieść. Jeszcze raz spróbuję.

Mimo usiłowań dysk ani drgnął. Nancy siedziała parę minut bez ruchu wodząc beznadziejnie oczami Po przyrządach. Wreszcie zerwała się.

— W takim razie uciekamy na piechotę!

Zsunęła się na ziemię, ja za nią.

— Nancy kochana. — protestowałem — nie zdajesz sobie sprawy, co to jest amazońska dżungla. Nie wiemy, gdzie jesteśmy, w jakim kierunku iść, nie mamy żywności. Dość naczytałem się o tych stronach, by nieopatrnie włączyć w to zielone piekło.

— Andrzej ma rację — wmieszała się Iza — nawet świetnie zaopatrzone i uzbrojone po zęby wyprawy ginęły tu bez

wieści.

— Mamy pistolety promieniowe... jeśli nie idziesz, ruszam sama.

Bez chwili namysłu skierowała się ku wpół zwalanej bramie, prowadzącej ku dżungli pełnej okrutnych Indian, trujących gadów i roślin, drapieżnych zwierząt, ludożerczych mrówek, pajaków i innego Paskudztwa, a wreszcie, czyhających na białego człowieka, tropikalnych chorób. Tłumaczyłem jej to wszystko idąc niechętnie za nią. Pozostała głucha na wszelkie argumenty. Mogłem nią zatrzymać strzelając z pistoletu promieniowego... lecz wtedy już na zawsze uchodziłbym w jej oczach za tchórza i zdrajcę.

Brama została daleko za nami. Pośród drzew błysnęła woda. Skierowaliśmy się ku niej. Ostry krzak rozdarł mi czerwoną materię, okrywającą biodra i skaleczył boleśnie udo. Uderzyłem się mocno w nogę. Szliśmy boso, bo tak się chodziło w księżycowej bazie, gdzie podłogi wyłożone były jakąś elastyczną masą.

— Czólno! — zawołała.

— I aligator też — zauważyłem, posyłając wiązkę promieni w łeb gada, rozłożonego obok łodzi. Poderwał się i opadł bezwładnie.

Czólno było wydrążone z jednego pnia, wąskie i wywrotne. Znajdowały się w nim dwa krótkie wiosła. Zepchnęliśmy łódź na wodę i skierowali ją na środek rzeki. Porwał nas bystry prąd. Byłem przekonany, że za chwilę zawiśnie nad nami cień dysku. Wenuzanie w bazie na pewno wiedzieli o naszym lądowaniu i gdy Pali nie zjawił się, poszli go szukać, a teraz bez wątplenia wysiali za nami pogoń. W głębi serca

zyczyłem sobie, by nas znaleźli jak najszybciej.

Rzeka płynęła poprzez, gęstą dżunglę. Patrzyłem z niepokojem w mętne wody. Co się w nich kryło? Potworny wąż anakonda, który pożera całego konia za jednym posiedzeniem, ryby pirania, które w ciągu minuty pozostawiają z człowieka dokładnie obgryziony szkielet?

Po dwóch godzinach jazdy zacząłem się oglądać za miejscem dogodnym do lądowania, gdyż słońce chyliło się ku zachodowi. Nic nie widziałem odpowiedniego. Tymczasem rzeka zwężyła się, prąd stal się bystrzejszy, pokazały się głazy. Wtem od dzioba czółna począł dochodzić ku nam coraz głośniejszy szum.

— Wodospad! Do brzegu! Do brzegu! — wołałem do Nancy.

Ona sama zrozumiała niebezpieczeństwo. Co sił w ramionach staraliśmy się skierować czółno ku brzegowi, lecz kiepscy byli z nas wioślarze. Nie udało się nam wyrwać z głównego nurtu. Wodospad zresztą nie okazał się zbyt stromy: koryto rzeki pochylone było tylko ze 20' jej środek wolny od głazów, których cała masa sterczała bliżej brzegów.

— Równo sterujmy, — zawołała Nancy — a damy radę przepłynąć!

Nie daliśmy rady. Jedno niewłaściwe poruszenie wiosłem, jej czy moje, i po środku spadu wody czółno przekreśliło się, przechyliło i oboje znaleźliśmy się w rzece, gubiąc łódź, wiosła i pistolety.

Udało nam się przecież wydostać na brzeg. Staliśmy bezradni na niewielkiej plaży, za którą rozciągała się mroczna dżungla.

— So far, so good*) — stwierdziłem z wisielczym humorem.

— Miałaś rację. — przygnała pokornie dziewczyna — to był idiotyzm z mej strony.

— Przez grzeczność nic zaprzeczę — odparłem.

Starąłem się uśmiechnąć, choć właściwie jedno, co nam pozostawało to sięść i płakać.

Nancy była innego zdania:

— Nie ma innej rady, jak iść z powrotem w górę rzeki.

— Nie przedrzemy się przed nocą. Tej plaży tylko kawałek, a dalej dżungla styka się bezpośrednio z rzeką. Mam nadzieję, że nas Wenuzianie będą szukać, a to nas najłatwiej dostrzegą z powietrza.

— Gdyby chcieli nas ścigać, już by dawno dogonili — odpowiedziała sceptycznie — a tymczasem nas tutaj komary zagryzą. Już się zaczynają dobierać do mojej skóry.

— Wolę tysiąc komarów niż jednego jaguara.

Zaczęliśmy się sprzeczać. Tymczasem sam los rozstrzygnął za nas. Przed chwilą jeszcze, patrząc nieufnie w dżunglę, nie widziałem w niej ani znaku życia, a teraz roiła się od wojowników indiańskich. W rękach mieli luki. Ubrania żadnego, jeśli

**) Jak na razie, wszystko układa się dobrze.*

nie liczyć ozdób na szyi, paseczka koło bioder, i żółto-czerwonych malowideł na ciele. Spod kruczych włosów, przyszczyżonych tuż nad brwiami, patrzyły na nas ciemne oczy — badawczo raczej niż wrogo.

Rozdział III

ZAMACH NA KSIĘŻYC

— Vaini Eneke, vaini Cynani — zwrócił się jeden z dzikich,

widocznie przywódca, do mnie i Nancy, w języku naszych Wenuzjan.

— Vaini Eneke — odparłem.

Moją odpowiedź przyjęto z entuzjazmem: byliśmy przyjaciółmi. Uznali nas zapewne za mieszkańców bazy, którym zdarzył się wypadek. Między sobą używali języka nieznanego nam, ale wielu z nich potrafiło sklecić parę podstawowych zdań po wenuzjańsku. Zaprowadzili nas do wioski, oddalonej o godzinę marszu od miejsca rozbicia. Nakarmili pieczonymi rybami. Noc spędziliśmy w prymitywnym szałasie na dość wygodnych hamakach.

Rano zjawił się w wiosce latający dysk z Palim i Izą.

— Myślałem, że jesteście mądrzejsi — powiedział na przywitanie Pali. — Po co uciekaliście?

— Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? — spytała Nancy wymijająco.

— Ledwie uciekliście, nasi ludzie z bazy zabrali mnie i Lenę do wnętrza. Wrócono mi natychmiast przytomność, śledziliśmy wasze ruchy przez telewizor. Po waszym rozbiciu się zamierzałem zostawić was samych na noc, żebyście najedli się strachu, ale Lena wstawiła się za wami.

— Nic tylko my mogliśmy się najeść strachu, lecz dzikie zwierzęta najeść się nas — odparłem.

— Nasi Indianie czuwaliby nad wami po kryjomu. Wsiadajcie! Bazy już nie zwiedzicie, bo musimy wracać na księżyc.

Zasiedliśmy na swoich miejscach. Dysk łagodnym, zygzakowatym ruchem począł się wznosić.

— Po co uciekaliście? — powtórzył Pali pytanie.

— Chcieliśmy przestrzec mieszkańców ziemi przed krymi-

nalnym planem Kobry — odparłem.

— Czy kryminalny, to się okaże. Poczekajcie, aż dowiecie się więcej! — zakończył z dziwnym błyskiem w oczach.

W kabinie zapanowało ciężkie milczenie. Czułem, że Pali ma żal do nas za usiłowanie ucieczki. Ja zaś miałem żal do samego siebie za to, że wbrew zdrowemu rozsądkowi uległem Nancy. Zdecydowany brak charakteru — stwierdziłem smutną prawdą o sobie.

Wznosząc się coraz wyżej, przelatywaliśmy nad Oceanem. Spokojnym. Chcąc rozładować niemiłą atmosferę, zagadnąłem Palego.

— Tu podobno był kiedyś wielki ląd, zwany Mu lub Lemurią, który zapadł się, podobnie jak Atlantyda.

— Tak, tak: — ożywił się. — To ojczyzna nas Wenuzjan. Gdy ziemia pęczniała, jak wam mówiłem, dno tego największego oceanu wybrzuszyło się. Ponad powierzchnię wód wychylił się ląd, który z czasem stał się jednym z najpiękniejszych zakątków ziemi. Tu też człowiek pierwotny znalazł doskonałe warunki rozwoju i stworzył tę przedziwną parapsychiczną cywilizację, o której wam wspomniałem.

— ... a którą zniszczył księżyc — zakończyła zań Iza.

— Tak, choć właściwie to ją już wcześniej nadwerężyły istoty przybyłe z obcych planet. Jedni to Balbu-ashi, których kolebkę stanowiła owa planeta*) między Marsem a Jowiszem,

**) Międzynarodowy kongres astronomów nadal tej hipotetycznej planecie nazwę „Asterojda”.*

co się potem rozpadła. Przybyli na dość prymitywnych pod względem technicznym statkach przestrzennych o napędzie rakietowym. Założyli liczne kolonie, głównie w pasie równikowym. Nasze podania przypisują im religię ciemności, ducha

wojny i podboju, bezwzględność i okrucieństwo. Jednakże mieszkańcom Mu nie mogli wyrządzić krzywdy, gdyż wszystkie ich bronie były bezsilne wobec zbiorowej siły psychokinetycznej, zdolnej zatrzymać najstraszliwszy pocisk.

— A drudzy?

— To Anagu-aszi, przybysze z. jakiegoś innego systemu gwiazdowego naszej galaktyki. Nasze legendy ich idealizują. Miała to być piękna rasa, zbliżona fizycznie do człowieka, szlachetna, wyznająca jedynego boga. Osiedlili się głównie na Marsie, na ziemi zamieszkując tylko w małych grupach w pobliżu biegunów, lub na Wysokich górach, źle bowiem znosili gorącą temperaturę.

— To pewnie oni byli owymi bogami z Olimpu lub z Walhalli? — spytała Nancy.

— Może. Między tymi dwoma rasami od samego Początku panował antagonizm. Anagti-aszi nie tylko stali wyżej moralnie, ale i technicznie. Oni to pierwsi odkryli tajemnicę tworzenia sztucznej grawitacji i skonstruowali przestrzenne dyski. Balbu-aszi zazdrościli im władzy nad przestrzenią i postanowili ich jej pozbawić. Cóż jednak mogli sami zdziałać, znajdując się na niższym stopniu cywilizacji technicznej? Dlatego postanowili wykorzystać parapsychiczne władze człowieka. Jak go wreszcie namówili do sojuszu? Różnie o tym mówią nasze podania. Może go upoili wizją panowania nad wszechświatem, może złożyli jakieś inne nęcące obietnice, których nie zamierzali spełnić, dość że przeciągnęli go na swoją stronę. Nastąpiła straszliwa walka...

— ... bogów Olimpu z Tytanami! — wtrąciła Nancy.

— Choć ci z mitologii greckiej byli tej samej rasy.

— Przebieg walki nie jest całkowicie jasny i różne są tej wersji. Wydaje się jednak pewne, że człowiekowi dzięki władzy telepatycznej udało się wykraść Anagu-aszim tajemnicę napędu grawitacyjnego. Siły zostały wyrównane. Walka przeciągała się. Aż wreszcie ... Niektóre legendy głoszą, że to Anagu-aszi rozerwali, w końcu planetę przeciwnika w kawałki, śląc przeciw niej pocisk antygravitacyjny, który sprowadził do zera jej własne pole ciężeniowe powodując rozpad globy. Inne podania twierdzą, że to sami Balbu-aszi, przeprowadzając lekkomyślnie eksperymenty z siłą grawitacyjną, eksplodowali przez pomyłkę własną planetę. Ta ostatnia wersja wydaje mi się bliższa prawdy. Trudno bowiem przypuścić, żeby Anagu-aszi nie rozumieli, że przez rozpad sąsiedniej planety, sprowadzą przede wszystkim na swą głowę potworny kataklizm. A Mars ucierpiał straszliwie od wybuchu i dotąd można na nim oglądać olbrzymie kratery, podobne do księżycowych. Sztuczna siła grawitacyjna jest o wiele niebezpieczniejsza od atomowej. Gdy się wie jak, można ją wytworzyć w niezwykle prosty sposób, ale gdy się ją użyje, następuje katastrofa o skutkach nieobliczalnych.

— A co się stało z Bailbu-aszi, którzy osiedlili się na ziemi?
— spytałem.

— Nie przetrzymali serii kataklizmów, które nawiedziły potem waszą planetę, a przede wszystkim oziębienia się klimatu. Wyginęli razem z dinozaurami, pterodaktyłami i innym snumeryjskim stworem, z którymi, jak twierdzą niektóre podania, byli spokrewnieni.

— A człowiek?

— Mimo, różnych konwulsji, przez które przechodziła

ziemia, ludzie rozmazali się, budowali nowe cywilizacje, osiedlili się na Wenus. Księżyc jeszcze nie od razu zjawił się nad ziemią, toteż człowiek zachowywał nadal wyższe władze psychiczne, ale pierwotna jedność prysła. Zbiorowa ambicja zawładnięcia światem rozbudziła z czasem jednostkowe egoizmy, zrodziła się zawiść i wzajemna nieufność. Jeden przeciw drugiemu strzegł swych myśli, bo były to już często myśli złe. Właściwy kierunek ewolucji został zwichnięty, zanim przypieczętował to księżyc. Wszechpotężna dawniej wspólna siła psychiczna stała się już tylko wspomnieniem. Ludzkość podzieliła się na grupy i grupeczki wzajemnie się zwalczające.

-- A Anagu-aszi?

— Ci, co uszli cało z wojny i katastrof, zapomniawszy wyrażonych im krzywd, starali się nawiązać przyjacielski kontakt z ludzkością. Stali się wobec człowieka apostołami, podtrzymując wiarę w jednego Boga i przeciwdziałając religii ciemności, zaszczepionej przez Albu-aszich.

— A gdzie są dzisiaj? — zapytała Iza.

Nie odpowiedział, lecz pewnie dlatego, że powierzchnia księżycy była tuż. Lądowaliśmy.

Bazę księżycową otaczało tzw. pole złudzenia, dzięki czemu wyglądała ona z odległości jak jeden z niezliczonych mniejszych kraterów. Dopiero, gdy zeszliśmy do wysokości jakiegoś 100 metrów, otwarł się przed nami prawdziwy widok na tę piękną oazę wśród szarej pustyni.

W parę godzin później, po posiłku. Pali z tajemniczą miną kazał nam iść za sobą. Wsiedliśmy do małego wagoniku, który powiózł nas długim tunelem do nieznanego nam dotąd części

bazy. Wjechaliśmy w kolosalne hale, wypełnione przyrządami i maszyną, niepodobną do niczego, co dotąd kiedykolwiek widziałem.

Wyszedł na nasze spotkanie człowieczek o śmiejących się dobrotliwych oczach, łysy zupełnie, przybrany w złoty sarong.

— Orbi, — przedstawił go Pali — kierownik tych urządzeń.

— ... za pomocą których — dopowiedział za niego Orbi, wiodąc drobną ręką po maszynach — możemy w każdej chwili oderwać Lunę od ziemi i wprowadzić ją w dowolną orbitę.

Słuchaliśmy mówiącego, nie dowierzając własnym uszom. Ruszyć z posad księżyc, nadać mu nowy tor biegu, co za gigantyczny pomysł i przedsięwzięcie!

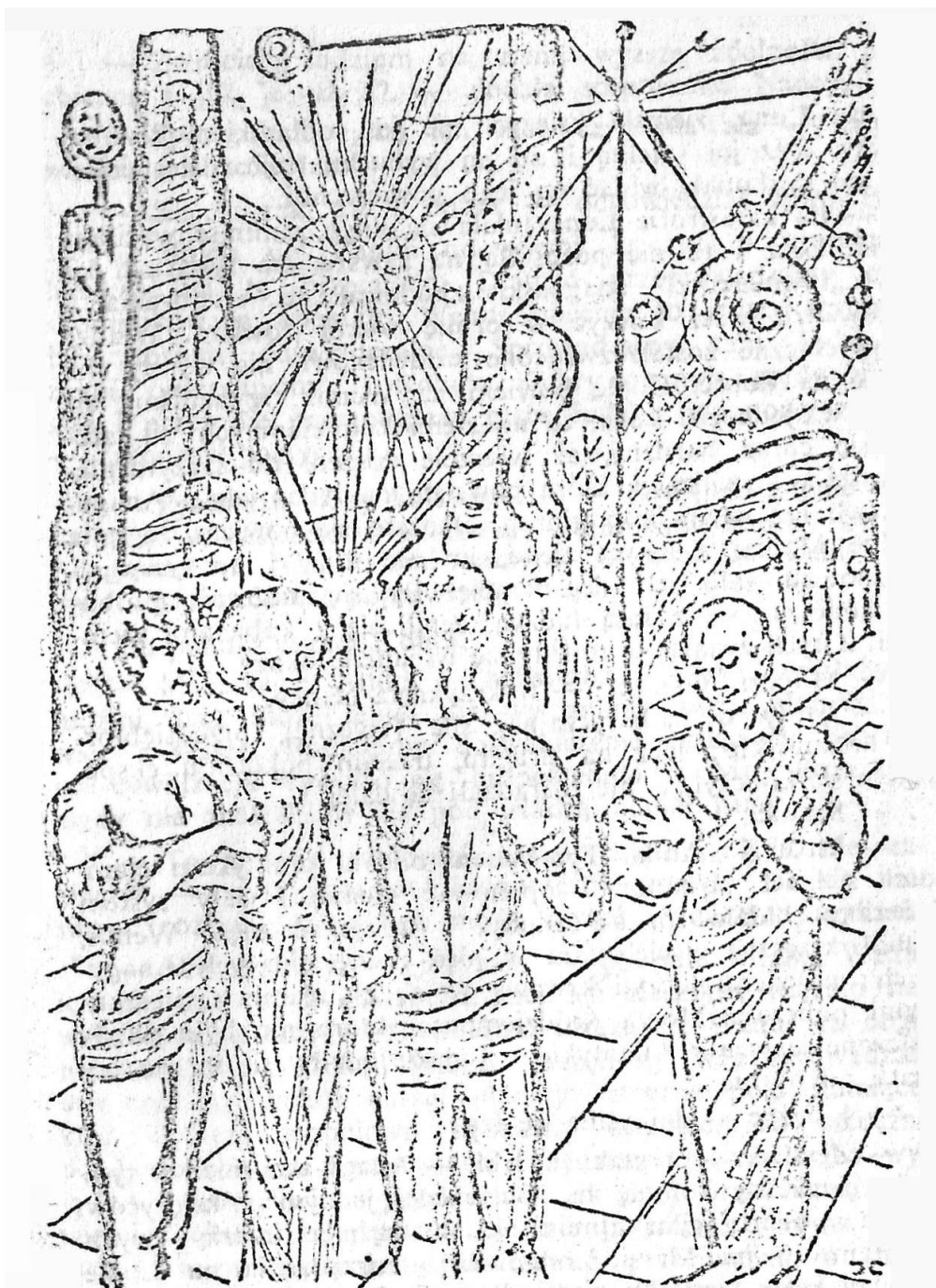
— Czy to możliwe?

— Najzupełniej. Te urządzenia są w stanie wytworzyć ... po powiedzmy: niby-ekran, znoszący zupełnie działanie siły przyciągania ziemi. Siłą rozpędu Luna poleci w przestrzeń, a tam nią dalej pokierujemy... stanie się olbrzymim statkiem Przestrzennym, jakim była już w przeszłości. Bo te instalacje nie myśmy skonstruowali. Kobra odkrył je przypadkiem i uczymy się teraz jak ich używać. Tu i tam trzeba było porobić pewne naprawy, lecz obecnie wszystko gotowe.

— To na co czekacie?

Orbi zamiast odpowiedzieć na pytanie poprowadził nas do swoich pokoi, urządzonych z jakimś przytłaczającym przepychem. Chyba wszystko — ściany, kolumny, meble, sporządzone było ze szczerego złota. Rozsiadliśmy się na niskich tapczanach, pokrytych barwnymi makatami. U naszych stóp, w małym stawku, pluskały się czerwone rybki i szumiała fon-

tanna — wody na księżycu jest dość, w postaci lodu osiadłego pod powierzchnią.



Orbi, — przedstawił go Pali — kierownik tych urządzeń, które ma ą na celu oderwanie księżycy od ziemi i wprowadzenie go w nową orbitę.

Popijaliśmy doskonały płyn w złotych czarkach. Orbi gładził z satysfakcją wygolony podbródek. Widział, że wychodzimy ze skóry z ciekawości i sprawiało mu to wyraźną przyjemność. Utrzymał przez chwilę napięcie, przemówił wreszcie:

— Pali opowiedział wam pokrótce o wielkich wydarzeniach, które zakończyły złoty wiek ludzkości. Nasze poglądy w wielu szczegółach różnią się. Ja, na przykład, twierdzę, że Luna, ziemski księżyc, nie jest odłamkiem rozbitej planety, lecz jej satelitą i od jej wybuchu najbardziej ucierpiał, co doskonale widać na jego powierzchni.

Po katastrofie Luna tułała się długo, zanim schwyciła ją ziemia. Lecz i tu nie pozostała na zawsze: po tysiącach lat jakiś „Prometeusz” anaguaski zbudował te urządzenia i odprowadził wasz księżyc w orbitę wokół Jowisza. Władze parapsychiczne zostały zwrócone człowiekowi, nie wyszły mu jednak na dobre. O ile, bowiem na Wenus trzymaliśmy się wiary w jednego Boga, to na ziemi kult ciemnych sił szerzył się coraz bardziej, aż wreszcie doszedł do szczytu nieprawości w cywilizacji, która powstała na Atlantydzie. Anaguaszi byli już wtedy rasą ginącą. Okazało się bowiem, że pole witalne Marsa, a nawet ziemi, im nie służy i po tysiącach lat spowodowało ich degenerację. By się ratować, próbowali mieszać się z rasą ludzką, żenili się z kobietami ziemskimi. Z tych związków rodziły się wspaniałe okazy.

— Mityczni Giganci! — wykrzyknęła Nancy.

— Istoty o nadzwyczajnej sile fizycznej, przedsiębiorcze, bohaterskie; lecz na drugim, trzecim pokoleniu eksperyment się kończył... nie rozradzali się dalej.

--- Szkoda.

— Może i szkoda. Tymczasem oddani praktykom ciemności Atlanci postanowili opanować ziemię i cały system słoneczny. Udało im się zdobyć i utrzymać część Wenus, podbili Marsa i wycięli tam w pień resztę ginących Anaguaszych, na ziemi toczyli krwawą wojnę z ludami, zamieszkującymi pobraża Morza Śródziemnego, które nie było wtedy połączone jeszcze z Atlantykiem, i może udałby się im podbój świata, gdyby nie ...

— Księżyc — domyśliła się Iza.

— Zgadłaś — przytaknął Orbi. — Anagu-aszi mieli w tym czasie niewielką kolonię na Ganiomedę, jednym z księżyców Jowisza, posiadającym atmosferę. Wstrząśnięci rzezią swych pobratyńców na Marsie, odnowili te urządzenia na Lunie i pchnęli ją w kierunku ziemi. Przeszła bardzo blisko, powodując potworną katastrofę: zatopienie Atlantydy, przerwanie cieśniny gibraltarskiej, przesunięcie się biegunów, gwałtowne stopnienie lodów i powszechny potop. Następnie paloci księżycowi ustawili Lunę na obecnej orbicie i odtąd księżyc trzyma ziemię w swych złowrogich kleszczach.

— I wy chcecie go ponownie usunąć? — spytałem.

— Zwróćcie ludziom na ziemi wyższe zdolności psychiczne i jak je użyją? — dodała sceptycznie Nancy.

— Spotęgujecie tylko ich moc czynienia zła — odpowiedziała smutnie Iza.

— Zła, tak, ale i dobra — odpowiedział żywo Pali.

— Nie bójcie się! Zanim oderwiemy księżyc, przygotujemy ludzkość na tę przemianę. Dlatego przeprowadzamy całą skomplikowaną operację. Wenus obecnie to jedno ogromne

laboratorium doświadczalne. Sprowadzamy tam ludzi z ziemi, obserwujemy. Roboty Kobry opanują rządy ziemskie i przez nie przygotowujemy glebę ludzką pod nowy zasiew — zakończył poetycznie.

— Prowadził ślepy kulawego — podjąłem z gniewem.

— Kim wy jesteście? Nadludźmi? Potomkami choćby owych Anagu-aszich? Nie, takimi samymi istotami ludzkimi, jak my ... a chcecie nas poprawiać?

Do pokoju wszedł Kobra.

— Masz rację, Andra — potwierdził! — jesteśmy słabymi ludźmi, lecz może lepiej niż wy znamy swoje słabości, a więc i wasze. Posiadamy doświadczenie tysiącleci, bo nasza cywilizacja wywodzi się bezpośrednio z Mu. Poza tym nigdy nie znaleźliśmy się pod władzą bogini Luny.

— To u was zdolności parapsychiczne nigdy nie zagięły!
— wykrzyknąłem. Jednocześnie zrobiło mi się nieswojo: toż oni swobodnie, mogą czytać w naszych myślach.

— Nie zagięły, — przyznał — bo pole witalne Wenus ich nie tłumilo, a nawet bardziej niż ziemskie, wiązało nas w scisłą wspólnotę... Nie darmo uważa się Wenus za boginię miłości! Odkąd jednak zaczęliśmy was sprowadzać, utworzyliśmy wokół naszej planety sztuczne pole tłumiące, które dopiero stopniowo będziemy osłabiać. To sztuczne pole obito się z konieczności i na nas. Obecnie tylko wyjątków uwrażliwieni psychicznie, jak mój brat Nara, rozwinęli zdolności telepatyczne. Ja nie potrafię czytać w myślach. Umiem natomiast paraliżować przeciwnika, o czym przekonaliście się nad Goosepond'em. Zresztą niewielu nas Wenuzjan, pozostało na ojczystej planecie. Większość osiedliła się w innym syste-

mie gwiazdny. To, czego tam dokonaliśmy, jest wspaniałym osiągnięciem cywilizacyjnym. Nie bójcie się! My naprawdę jesteśmy w stanie wam pomóc.

— Czy, zanim to wszystko zdołacie przeprowadzić — zaczęła z innej beczki Nancy — człowiek z ziemi nie wyląduje na księżycu i Wenus?

— Na księżycu tak, ale mamy sposoby, by nie od razu stwierdził tu naszą obecność. A co do Wenus? Najprawdopodobniej wyślecie najprzód rakiety obserwacyjne bez pilotów... a cóż dla nas łatwiejszego, jak spowodować, by przyrządy odczytały, na przykład, że temperatura na powierzchni naszej planety równa się temperaturze topienia ołowiu*), a więc życie jest niemożliwe. To na długi czas odstraszy wszystkich od lądowania.

Długo tej nocy nie mogłem zasnąć. Co usłyszałem, było zbyt silnym przeżyciem. Dręczyła mnie też myśl: zaufać Wenuzjanom i współpracować z nimi, czy też pójść za zdaniem nieubłaganej Nancy i za wszelką cenę uciekać i ostrzec ziemię? Jak trudno podjąć decyzję!

**) Taką temperaturę właśnie odczytały przyrządy rakiety zwiadowczej „Mariner II”. Podał zresztą i inne dane, które przeczą sobie wzajemnie i obserwacjom z ziemi.*

Rozdział IV

DAJEMY ROZKAZ ROBOTOM

Nazajutrz spałem długo, a i po ocknięciu się nie chciało mi się wstawać. Nacisnąłem więc odpowiedni guzik i zamówiłem śniadanie przez telefon. Po paru minutach otworzyły się drzwiczki w ścianie i wysunęła się z nich taca z dymiącą kawą, świeżymi bułeczkami z masłem i doskonałą szynką. Wszystko przygotowane przez roboty i najprawdopodobniej syntetyczne. Można było bowiem zawsze zamówić każdą potrawę, na jaką miało się ochotę, a w bazie księżycowej nigdzie nie widziałem hodowli zwierząt, ani uprawy roślin, z wyjątkiem pewnych wenuzjańskich owoców i jarzyn rosnących pod kopułą. Zresztą syntetyczne czy nie, śniadanie było doskonałe.

Po posiłku, nie ruszając się z łóżka, wziąłem tzw. suchy prysznic: za przyciśnięciem odpowiedniego guziczka przez ciało przebiegał odświeżający prąd, który też, w jakiś zadziwiający sposób, czyścił skórę z wszelkiego brudu. Następnie nacisnąłem znowu inny guzik i na ekranie w nogach tapczanu ukazały się aktualne wiadomości z kilku telewizji ziemskich, wyłapane przez wenuzjańskie satelity.

Stwierdziwszy, że na ziemi nie wiele się zmieniło, choć mnie tam nie ma, połączyłem się z moim sobowtórem, żeby jego oczyma zobaczyć, co się dzieje u wuja. Niestety w Miami panowała właśnie noc i mój robot spał. Poleciałem mu, żeby po przebudzeniu napisał list do mojej matki w Polsce i kilku innych osób i podałem mu treść. Wykonywał on moje polecenia,

jeśli nie sprzeciwiały się zasadniczym instrukcjom podanym mu przez wenuzjan i nie narażały na odkrycie jego „mechanicznej osobowości”.

Dyktowałem właśnie ostatni list, gdy przyszło na mnie olśnienie. Przecież mój sobowtór, żeby mnie odgrywać, musi posiadać doskonałą znajomość mej psychiki. Niedarmo w czasie przebywania w inkubaturze zarejestrowano całą jej wartość!

Zacząłem więc zadawać pytania elektronicznej kopii swego mózgu. Prosiłem o własną charakterystykę.

Jego odpowiedzi, ilustrowane często na ekranie wydarzeniami z mego życia, których nic pamiętałem, zmiażdżyły mnie. Ileż, jak się okazało, gnieździło się we mnie najrozmaitszych kompleksów, urazów, słabości, których istnienia nawet nie podejrzewałem.. Z zimnym obiektywizmem mechaniczny mózg obdzierał mnie ze złudzenia po złudzeniu, obnażał egoistyczne motywy moich nieraz najszlachetniejszych pozornie czynów.

Słuchałem zafascynowany i przerażony: to mam być ja? A gdzie moje zalety?

Owszem, były: dobre rysy charakteru, ogłada, zdolności i wielkie, wielkie możliwości, lecz najczęściej wykorzystane za ledwie w niskim procencie. Ogólnie, powiedział. jestem tylnio w 12% tym, czym mógłbym być. Co, za niska cyfra! Jak on to wyliczył?

Najbardziej chyba zabołało mnie zdanie, że byłem za mało samodzielny i przedsiębiorczy że zawsze oglądałem się na innych, od nich wyczekują inicjatywy, kierownictwa. Byłem miękki: nie zawsze umiałem stać mocno przy tym, co uważa-

łem za słuszne, przeciwstawić się fałszywej opinii.

Ten jedyny w swym rodzaju dialog przerwało światło lampki nad drzwiami. Ktoś chciał wejść. Wyłączyłem pośpiesznie mózg i przycisnąłem guzik otwierający drzwi.

Wpadła Nancy.

— Wiesz? — wołała od progu. — Pół nocy nie spałam, ale przyszedł mi do głowy świetny pomysł unicestwienia planów Kobry...

O nie, droga Nancy! Nie będę już jakpiesek latał posłusznie za tobą. Staję się samodzielny!

— Nie jestem zainteresowany — odparłem chłodno. — Nie biorę udziału więcej w żadnych spiskach. Nie namówisz mnie na żadne nowe głupstwo, jak tamta bezsensowna ucieczka w dżunglę!

— Nie, to nie — wydęta pogardliwie wargi — Zdrajca!

Obróciła się na pięcie i wyszła, pozostawiając mnie w nie-najszczęśliwszym nastroju. Jakoś nie czułem się zbyt dumny z okazanej niezależności.

* * *

Nadszedł wreszcie dzień, w którym uwolniono naszych przyjaciół z inkubatorów. Omal że nie poznałem doktora Nemo — odmłodził przynajmniej o dwadzieścia lat. Zginęła siwizna, zmarszczki. Barbara wyglądała powabnie i święto bez żadnego makijażu. Joe leż jakoś dziwnie wyprzystojniał. Czyżby mu nieco nos skrócili i przyplaszczyli uszy?

Chodzili początkowo pijani niezwykłą przygodą, nie mogli uwierzyć, że ta ich fizyczna przemiana, że ta baza księżycowa,

że wisząca na czarnym niebie odległa ziemia nie są marzeniem sennym, lecz rzeczywistością.

Barbara siadywała teraz nieustannie przed lustrem, podziwując swą metamorfozę. Nemo przebiegał bazę wzdłuż i wszerz, interesując się każdym szczegółem, zadając nieskończoną ilość pytań Wenuzjanom. Joe adorował Izę. Nancy stale obmyślała nowe sposoby ucieczki.

Doktor Nenio początkowo ani słyszeć nie chciał o jej planach. Ufał zupełnie Wenuzjanom. Entuzjazmował się pomysłem ruszenia księżycy z posad, opanowania ziemi przez roboty. Tryskała z niego radość. Dopiero po paru dniach opadły go wątpliwości.

Znalazłem go siedzącego w zadumie na ławce pod kopułą i patrzącego jakoś smętnie w księżycową równinę.

— O czym to tak dumamy? — zagadnąłem.

— Siadaj! — wskazał mi miejsce obok. — Tak sobie rozważam. Przez całe życie marzyłem o przemianie człowieka. Wierzyłem, że spotkanie z istotami z przestrzeni dopomoże do rozszerzania i podniesienia ludzkiego ducha... a tu tymczasem widzę znowu maszyny, maszyny, maszyny... inkubatory, roboty, urządzenia antygravitacyjne. Czy tędy droga?

— Za tymi maszynami — odparłem — kryje się przecież człowiek i nasz. zasadniczy problem to, czy temu człowiekowi można zaufać.

— Kobra niewątpliwie szczerze chce pomóc ludzkości, ale zamierza to uczynić przez zdobycie absolutnej władzy nad ziemią. Większość dyktatorów na początku ucziwie pragnęła uszczęśliwić swych poddanych, lecz. wcześniej czy później absolutna władza uderzała im do głowy. Czy zresztą można

tak odgórnie przerobić człowieka?

— A więc uciekamy? — zabrzmiał za nami głos Nancy.

Podeszła tak cicho, że nie słyszeliśmy jej kroków.

— Ty dziewczynko — odpowiedział doktor — patrzysz naiwnie na sprawy. Co rozwiąże ucieczka? Nawet, jeśli pokrzyżujemy plany Kobry, nic to istotnie nie zmieni. Z księżycem, czy bez księżyca, z telepatią, czy bez niej, człowiek pozostanie zawsze taki sam: krwiożerczy, chciwy bogactw i władzy, zmysłowy.

Nie zupełnie się z nim zgadzałem i wtrąciłem żywo:

— Człowieka nie odmienią skutecznie ani maszyny, ani Wenuzjanie, ani żadni bogowie, lecz jest przecież ktoś, kto to może zrobić: Bóg!

— I Jemu to jakoś wolno idzie... chrześcijaństwo dobiega już prawie dwóch tysięcy lat, a tymczasem — Nemo machnął beznadziejnie ręką — owszem, wierzę, że Bóg może przemienić człowieka, ale co zrobić, żeby mu człowiek na to pozwolił?

Wstał i powłókł się w dalszą część ogrodu. Chciał być sam.

Nazajutrz udałem się na śniadanie do wspólnej sali. Zostałem tam już Nancy i Kobrę. Łysy kandydat na dyktatora pocieszał właśnie dziewczynę, że po porwaniu księżyca wprowadzi w orbitę wokół ziemi olbrzymie lustra metalowe, które odbijać będą promienie słoneczne i rozświetlą mroki nocy o wiele skuteczniej niż nasz obecny satelita.

W chwilę później nadszedł Nenio. Był pogodniejszy.

— Trochę optymistyczniej patrzymy dziś na świat? przywitałem go pytaniem.

— Chyba tak — odparł niezbyt pewnie i zaraz zwrócił się do Kobry.— Przemysliwałem twoje plany. Są może genial-

ne same w sobie, lecz wydaje mi się, że nie tędy droga. Czy nie właściwiej byłoby porozumieć się z ludźmi z ziemi pouczyć o swych osiągnięciach, zmanifestować swoją potęgę, w razie konieczności nawet i zagrozić, jednym słowem stać się dla nas tym starszym bratem wyciągającym pomocną dłoń. Kobra zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— Miałem taki plan, — powiedział — ale zarzuciłem go na razie. Naukazywaliśmy, się wam dostatecznie i co z tego? Szaremu człowiekowi mydli się oczy, że latające talerzyki to halucynacja lub oszczerstwo, ale wasze rządy dobrze wiedzą, że istniejemy. Skutek? Polowanie na nasze tajemnice, gwałtowne przyśpieszenie tzw. programu przestrzennego, wyścig do księżyca, gdzie zauważono naszą aktywność*)... Drogi doktorze, nie żyw złudzeń! Państwa ziemskie nie chcą od nas rad i wskazówek. Czego pragną, to naszej potęgi technicznej, naszych planet. A wasza wiedza tak się rozwija, że niedługo realnie nam zagrożą... musimy się śpieszyć.

W czasie tej dyskusji nadeszła reszta naszych przyjaciół i słuchała z uwagą słów Kobry. On zaś nagle przeszedł na inny temat:

— Zapomniałem wam podać radosną nowinę: uzyskałem dla Leny i Andry prawo powrotu na Wenus i jutro wszystkich was tam wysyłam.

Ucieszyłem się. Miałem już dość księżycowej bazy, a uśmiechała mi się perspektywa ujrzenia Wenus i odzyskania tam pamięci. Joe, Iza i Barbara przyjęli także wiadomość z zadowoleniem, tylko Nancy zachmurzyła się a i doktor daleki był od radości. Na jego wysokim czole wyrosły pionowe bruzdy — znak intensywnego myślenia.

Po śniadaniu zabrał zaraz Nancy i mnie do ogrodu na ławeczkę. Upewniwszy się, że nikogo innego nie ma w pobliżu, powiedział poważnie:

— Nancy, jeśli masz jakiś realny plan ucieczki na ziemię, współdziałam z tobą. I Andrzej, przypuszczam, nie odmówi pomocy.

Skrzywiłem się:

**) Głównie w rejonie krateru „Aristarchus” ; poruszające się punkty świetlne, nagłe zmiany ukształtowania terenu.*

— Czy nie lepiej odłożyć ewentualną ucieczkę, aż się znajdziemy na Wenus?

Doktor niecierpliwie poruszył głową:

— Głupstwo! Stamtąd ucieczka będzie trudniejsza, jeśli w ogóle możliwa... a uciekać i ostrzec ziemię trzeba. Kobra zdradził się, że planuje całą akcję nie z miłości ku ziemi, lecz ze strachu przed nią. Chyba jasne, po której stronie leży nasza lojalność?

Nancy była w siódmym niebie. Zerwała się z ławki i ucałowała doktora.

— Wreszcie zwycięstwo zdrowego rozsądku! Plan mam... opracowany w każdym szczególe!

* * *

O trzeciej nad ranem zapaliło się światło w moim pokoju, a przez ciało przebiegł lekki wstrząs elektryczny, który mnie zbudził. Zerwałem się z tapczana i przycisnąłem guziczek w ścianie. Z otworu wypadła „popia” — przepaska na

biodra, wyprana mechanicznie i wyprasowana w czasie mego snu. Po skończonej toalecie porannej otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Przed drzwiami Nancy stał robot... na warcie. Widocznie Kobra nas podsłuchał, a może tylko coś podejrzewał.

Robot nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Nieruchomo wpatrywał się we drzwi dziewczyny. Należał on do kategorii starych, mocno jeszcze niedoskonałych robotów, wykorzystywanych tylko do posług wewnętrznych bazy. Wykonywały niewolniczo proste zlecenia.

Cofnąłem się do pokoju i zatelefonowałem do Nancy.

— Miałeś pukać, a nic telefonować — odpowiedział mi jej zaspany głos.

Tak umówiliśmy się. Teraz jednak trzeba było zaryzykować podsłuch. Przedstawiłem jej sytuację i projekt działania. Zgodziła się.

Wychyliłem się znowu na korytarz, trzymając w ręku **zapasową** popłę. Podeszedłem do robota. Nie zareagował najmniejszym ruchem. Kopnąłem nogą drzwi Nancy, zarzucając jednocześnie płótno na głowę robota. Zanim się z niego niezgrabnie wyszamotał, Nancy znikła bezszelestnie za zamknięciem korytarza. Uwolniony oczy, robot utkwiał je znowu we drzwiach. Nie poprosił mnie o wyjaśnienie dziwnego postępowania, nie zaprotestował. Poza zleconym mu zadaniem nie istniało nic dla niego.

Pobiegliśmy jak najciszej do sali kontrolnej robotów służebnych. Kierował nimi wszystkim osobny mózg. Temu mózgowi Nancy przekazała rozkaz. Na moment przed naszym odjazdem, którego dokładną godzinę znaleźliśmy, roboty słu-

żebne miały rozpocząć dzieło zniszczenia. Na pierwszy ogień miał pójść mózg elektronowy robotów operujących na ziemi, drugim celem były urządzenia służące do wyrwania księżyca z obecnej orbity.

— Każ im też zablokować — podszepnąłem Nancy — wejście do sali kontrolnej, żeby Wenuzjanie nie mogli odwołać rozkazu lub unieruchomić robotów.

W powrotnej drodze zamierzałem powtórzyć poprzedni trick z poplą, ale tym razem robot nauczony doświadczeniem wyrwał mi ją z rąk, nim zdołałem zasłonić mu oczy. W wyniku szamotania pozostało mi w ręku tylko kilka strzępów.

Cofnąłem się do miejsca, gdzie za rogiem korytarza czekała Nancy.

— Nie udało się, — powiedziałem — ale nie szkodzi. Zasłonię cię sobą, a ty biegnij do mego pokoju. Przeczekasz tam do rana. Na pewno usuną tego mechanicznego wartownika, gdy się zacznie codzienna krzątanina.

* * *

Sam Kobra odprowadzał nas do dysku. Szedłem jak na szpilkach, oczekując w każdej chwili oznak buntu robotów. Właśnie mijaliśmy jednego. Spokojnie czyścił korytarz. Już chyba czas, by rozpoczął niszczycielską akcję?

Przy ogromnym dysku transportowym oczekiwał nas Jeni, pilot przestrzenny. Kobra zaczął się z nami żegnać. Uścisnął dłoń doktora, po czym podszedł do Nancy i wykrzywił twarz w drwiącym uśmiechu:

— Nie wiem, jak zmyliłaś strażnika przed swymi drzwia-

mi. Moje uznanie za to! ale później przeoczyłaś jeden mały szczegół: gdy robot otrzymuje nowe polecenie sprzeczne z poprzednim, musi o tym poinformować rozkazodawcę. Tak jest skonstruowany. Dzięki temu Luri wydając dziś rano rozporządzenia robotom, dowiedział się o twoim zamachu na całość bazy.

Nancy rozplakała się.

— Powiedziałam im, — łkała — że o danej godzinie mają przerwać, cokolwiek by im później polecono i przystąpić do zniszczeń. Myślałam, że to wystarczy.

— Wierzaj mi, — Kobra poklepał ją przyjaźnie po ramieniu — powinnaś cieszyć się, że ci się nie udało. Żegnajcie! — zwrócił się do wszystkich — do zobaczenia na Wenus!

Odwrócił się i odszedł.

Wchodziliśmy po schodkach, gdy Jeni zatrzymał nas przed klapą wejściową.

— Ostrzeżono mnie, — rzeki z uśmiechem — że jesteście pełni szalonych pomysłów, a szczególnie, że jest między wami młoda osóbką, która lubi strzelać do pilotów... wobec tego...

— Możesz mnie zrewidować! — odpaliła Nancy, której łzy zmieniły się w złość — nie mam ani pistoletu, ani noża, ale to nie znaczy, żebym ci nie miała rozbić głowy przy pierwszej okazji.

— Przed chwilą specjalny aparat was zrewidował, wiem, że nic nie kryjecie. Niemniej was jest dużo, a ja jestem sam ... spędzicie wobec tego podróż w zamkniętym pomieszczeniu. Żadnych wędrówek po całym statku!

Potulnie poszliśmy za nim.

Rozdział V

ZASADNICZA POMYŁKA

—Znów jesteśmy pod kluczem — stwierdziła oczywistą prawdę Barbara, gdy znaleźliśmy się w obszernej kabinie, dokąd nas zaprowadził Jeni. Była ona zupełnie pusta, z wyjątkiem wstawionych specjalnie dla nas foteli i telewizora, dzięki któremu mogliśmy obserwować księżyc, oddalający się z piorunującą szybkością.

Widać było doskonale jego stronę odwróconą od ziemi. Charakterystyczny dla tej półkuli krater, otoczony koncentrycznie kilkoma, coraz, większymi pierścieniami górskimi, wyglądał jak jakieś kolosalne oko Cyklopa, wpatrujące się nieruchomo w przestrzeń.

Nie przyznawałem się do tego głośno, lecz wewnątrz duszy cieszyłem się, że się nam nie udało umknąć i jedziemy na Wenus. O losy ziemi nie martwiłem się. Kobra na pewno nie wyrazi jej większej krzywdy, niż jej obecni, rodzimi władcy. Nancy jednak nie dawała za wygraną.

— Andrzeju drogi, — zwróciła się do mnie — zahipnotyzuj no Joe'go, niech otworzy drzwi kabiny.

Spojrzałem pytająco na doktora. Skinął głową. Zabrałem się do dzieła, ale nie udało mi się wprowadzić przyjaciela w trans. Może i on wołał jechać na Wenus i nie dość szczerze poddał się zabiegom. Widząc, że nic z nich nie wychodzi, Nemo przejął inicjatywę:

— Odwróćcie się tyłem do mnie — powiedział — i zacho-

wajcie absolutną ciszę. Kiedy wyjdę z siebie, ustawcie się po obu stronach drzwi i bądźcie gotowi do ataku na pilota, gdy tu zajrzy.

Siedzieliśmy jak trusie, bojąc się nawet głośniejszemu odetchnięciu. Po chwili przemknął między nami cień i rozplątał się w ścianie. Doktor wybrał się na przechadzkę po dysku w swoim ciele astralnym.

Jeni, pilot przestrzennego statku, poziewał nad przyrządami w kabinie kontrolnej. Nagle kącikiem lewego oka dostrzegł jakiś ruch. Obrócił się gwałtownie i zdążył dostrzec widziadło Nemo, które cofnęło się szybko do korytarza.

— Wydostali się? Jakim sposobem? „Ka’ traipitil” — zaklął szpetnie i poleciał za doktorem.

Nie mógł go znaleźć.

Przewidziało mi się — mruknął i zawrócił do kabiny kontrolnej.

Tym razem po prawej stronie mignął mu jakiś cień. Rzucił się za nim. Nie znalazł nikogo. Był coraz bardziej zaniepokojony. Statek był duży i trudno było jednej osobie prowadzić poszukiwania po jego zakamarkach. Zeszedł na dół i zatrzymał się przed naszymi drzwiami. Nadśluchiwał. Absolutna cisza.

Postanowił sprawdzić, co się dzieje. Na rękę miał pierścień, wyglądający jak sygnet. Był to klucz uniwersalny. Przytknął go do drzwi i pchnął. Otworzyły się gwałtownie. Zdumione oczy pilota dojrzały naprzód pogrążonego w transie prawdziwego Nemo, a potem już nie miały okazji rozglądać się po wnętrzu. Potężna pięść Joe’go spadła na jego szczękę i pozbawiła go czucia.

— Ależ **ten** Jeni naiwny, że się dał nabrać — stwierdziła

z pogardą w głosie Nancy.

— Na to tylko liczyłem — dopowiedział doktor, który właśnie przyszedł do siebie — zostawmy tu pilota i chodźmy na górę.

Przeszliśmy do kabiny kontrolnej.

— Pokazaliśmy Wenuzjanom — odezwał się Joe — że nie jesteśmy baranami i nie można nas zamykać, ale może będzie lepiej, gdy będziemy kontynuować podróż na Wenus. Ja...

Nancy nie czekała na wynik dyskusji, jaka by na pewno powstała. Nim ktokolwiek zdołał jej przeszkodzić, przycisnęła jeden z guziczków na tablicy.

Dzięki własnemu polu ciężeniowemu nie odczuliśmy najmniejszego drgnienia, za to na ekranach telewizyjnych (dysk nie miał iluminatorów) gwiazdy natychmiast zmieniły położenie.

— **A** więc lecimy na ziemię. — westchnąłem — jesteś pewna, że przycisnęłaś właściwy guzik?

— Parokrotnie latałam dyskiem tego typu z Kobrą i Palim. To wszystko działa automatycznie. Nacisnęłam guziczek z napisem ziemia. Mózg elektronowy obliczył momentalnie nowy kurs. szybkość i wszystko, co potrzeba. Wprowadzi nas w orbitę ziemi. Stamtąd trzeba będzie ręcznie pilotować. Potrafię. Pali pozwolił mi kiedyś przejąć stery, gdy lądowaliśmy na księżycu. To bardzo proste!

— Żeby nie było tak, jak z tym małym dyskiem nad Amazonka, którego w ogóle nie mogłaś uruchomić — powiedziałem.

— Tam było co innego — odparła. — Jak się później dowiedziałam, dysk można tylko wtedy uruchomić, gdy na pokładzie znajduje się Wenuzjanin. Gdyby wtedy Iza zdecydo-

wała się uciekać z nami, wszystko inaczej by się potoczyło.

Popatrzałem na Izę. Wieźliśmy ją z powrotem na tę ziemię, gdzie się tak obco czuła. Tymczasem z jej ust nie padło dotąd żadne słowo protestu. Jej światem był w tej chwili Joe i niewiele ją poza nim obchodziło.

Rozeszliśmy się, żeby dokładnie zwiedzić dysk. Pilot oprzytomniał już, bębnił rękami po drzwiach i coś wykrzykiwał, na co nie zwracaliśmy uwagi.

Gdy całe towarzystwo zeszło się znowu w kabinie kontrolnej, zastało Nancy bladą i skonfundowaną.

— Coś niedobrze — rzekła zduszonym głosem. — Już ze 40 minut mija od opuszczenia księżyca. Powinniśmy doskonale widzieć ziemię, a nawet wchodzić w jej orbitę.

Spojrzałem na ekrany: dostrzegłem znane konstelacje, miliony większych i mniejszych gwiazd, ale wszystkie wydawały się jednakowo odległe, ani śladu ziemi czy księżyca.

— Może lepiej zawołać pilota?

— Czy przycisnęłaś właściwy guzik?

— Tak szybko to zrobiłaś, by cię kto nie ubiegł, łatwo było o pomyłkę

— Jestem pewna... oczekujmy jeszcze... może lecimy jakąś okrężną drogą?

Minął kwadrans, pełen napięcia. Z czarnego tła nieba poczęła się wybijać jedna z gwiazd. Rosła. To nie była ziemia.

— Co to? Wenus, Merkury, Mars?

— Pokaż, Nancy. — poprosiła Iza — który guzik przycisnąć.

— No ten, który się pali czerwonym światłem.

— W takim razie lecimy na Marsa, tu przecież wyraźnie

pisze NERGIL.

— Nie umiem czytać tych wenuzjańskich hieroglifów — przyznała się zmieszana Nancy. — Kobra mówił, że te guziczki idą po kolei, a więc: Merkury, Wenus, Ziemia itd..., dlatego przycisnęłam trzeci.

— Może w innych dyskach lak było, tu planety nie idą w kolejności ich położenia względem słońca.

— To co zrobimy?

— Niech Iza naciśnie guzik z napisem ZIEMIA!

Dziewczyna wyciągnęła już rękę do tablicy kontrolnej, gdy powstrzymała ją Nenio.

— Nie dotykaj! Minęła już godzina lotu i prawdopodobnie Wenuzjunie zorientowali się, że coś nie w porządku, bo do-
tąd nie lądowaliśmy na Wenus. Ewentualny pościg pójdzie w kierunku ziemi. My tymczasem obejrzymy sobie Marsa z bliska, a na ziemię skierujemy się, gdy nie będą się już nas spodziewać.

— Dobry pomysł! A gdzie wylądujemy na ziemi?

— W Waszyngtonie, tuż przed Białym Domem -- odparła bez wahania Nancy — i zameldujemy się prezydentowi.

— ...który może jest już robotem Kobry.

— Nie, nie; jego robot już gotowy, ale i jeszcze wczoraj widziałam go w bazie księżycowej.

Mars stawał się coraz wyraźniejszy, lecz nie było jeszcze widać jego satelitów Fobosa i Dejmosa, z których pierwszy ma średnicę koło 10 mil, drugi 5 mil.

— A gdzie słynne kanały? — rzucił ktoś pytanie.

Jeśli spodziewaliśmy się ujrzeć proste linie owych słynnych „kanałów”, które widział Schiaparelli, a po nim i inni obser-

watorzy, czekało nas rozczarowanie. Rosnący przed nami glob wyglądał raczej jak ogromna marmurowa kula, pokryta wielobarwnymi plamami i żyłkami. Ceglaste to zapewne pustynie. Biała czapa na jednym z biegunów to lody i śniegi, a może tylko rodzaj gęstego szronu. Reszta kolorów brązowy, rdzawozielony — czyżby to były pasma roślinności?

Jeszcze parę minut, a dostrzeżliśmy naprzód większego satelitę **Fobosa**. Wkrótce wyłonił się spoza marsowej tarczy Deimos. Posuwał się z wielką szybkością w przeciwnym kierunku niż jego towarzysz.

— Czy wiecie, że te dwa księżyce, które z punktu widzenia astronomów są bardzo nietypowe, — odezwał się Nemo — opisał na 60 lat przed odkryciem teleskopu Jonatan Swift, autor „Podróży Guliwera”, i to z dużą dokładnością?

— Może go Wenuzjanie zabrali na przejażdżkę po przestrzeni?

— Albo miał dostęp do jakiejś wiedzy starożytnej. Zresztą mitologia grecka zaprzęgała do bojowego wozu Aresa dwa straszliwe rumaki, nazywając je Fobos i Dejmos: „Strach” i „Przerażenie”.

Zaczęliśmy rozróżniać pewne szczegóły topografii planety.

— Kratery, kratery, jak na księżycu! — wykrzyknęła Barbara.

— Żadnej tafli wód jedna wielka pustynia — dodała szeptem Iza.

Wtem niewielki ekran telewizyjny za naszymi plecami, ciemny dotąd, rozjarzył się. Na ekranie ukazał się Kobra. Mierzyliliśmy się wzrokiem w milczeniu. Wreszcie stary Wenuzjanin przemówił. Wyraz twarzy miał bardzo poważny. W oczach

wyczytałem niepokój.

— Nie możemy wam pozwolić na ucieczkę, bo spowodowałyby nieobliczalne skutki — mówił. — Jeśli odmówicie poddania się moim rozkazom, będę musiał zniszczyć wasz dysk. Wystarczy mi przycisnąć małą dźwignię, żeby eksplodował ... Gdzie ani?

— Siedzi tam, gdzie nas przedtem sam zamknął — posłużył informacją doktor.

— Proszę go natychmiast uwolnić! a Lena niech naciśnie guzik z napisem XAJTLA — WENUS!

Iza nie ruszyła się. Patrzała pytająco na doktora. Podszedłem do niego.

— Jestem pewny, — rzekłem — że Kobra nie rzuca słów na wiatr. Słyszałem, że sami Wenuzjanie mają obowiązek zniszczyć siebie wraz z dyskiem w razie, gdyby miał się dostać w ręce mieszkańców ziemi.

— W to ja wierzę. — przyznała Nancy — ale czy na pewno Kobra może wysadzić nasz dysk na odległość? I to jaką?

— Jeśli może z nami swobodnie rozmawiać, to dlaczego nie miałyby spowodować eksplozji? — odpowiedział Nemo. — resztą, czy chcemy się o tym przekonać na własnej skórze? Chyba nie.

Zwrócił się do Kobry:

— Dobrze, poddamy się, ale pozwól Jeniemu, by sprowadził dysk bliżej powierzchni Marsa. To dla nas jedyna okazja, by się lepiej przyjrzeć tej planecie.

Kobra wahał się chwilę, jakby w słowach doktora podejrzewał nowy podstęp. Wreszcie machnął z rezygnacją ręką.

— Zasługujecie na surową karę, a nie nagrodę, ale... zga-

dzam się. Dawajcie tu Jeniego!

Wypuściłem pilota. Szczęka mu napuchła, lecz w dobrych oczach nie dostrzegłem urazy. Zamienił kilka zdań z Kobrą. Połączył się z Fobosem, gdzie Wenuzjanie mieli bazę. Zamel-dował się.

Dysk wszedł w orbitę Marsa. Nalegaliśmy na pilota, żeby zeszedł niżej, zgodnie z pozwoleniem Kobry. Jeni uśmiechnął się trochę boleśnie poprzez opuchliznę i rzekł:

— Zrobię to, ale naprzód muszę wyrównać pewien rachunek.

To mówiąc, jak nie kropnie Joe'go w szczękę. Nasz przyjaciel rozłożył się jak długi, lecz zerwał się natychmiast, gotów do bitki. Zamiast jednak dalszych ciosów spotkała go otwarta dłoń.

— Cierń z mojej męskiej duszy wyjęty, — stwierdzi z satysfakcją Jeni — możemy być przyjaciółmi.

Sekunda wahania i Joe podał mu prawicę, lewą ręką pocierając obolałe miejsce.

Zadowolony z siebie pilot zasiadł w fotelu i ujął dźwignię służącą do bezpośredniego kierowania dyskiem. Z oszałamiającą szybkością schodziliśmy w doi. Przymknąłem oczy. Gdy je otworzyłem, szybowaliśmy zaledwie ze sto metrów ponad rdzawą pustynią, skąpaną w promieniach słońca.

— Ten czerwony kolor piasku — objaśnił Nemo — spowodowany jest, według opinii wielu astronomów, obecnością tlenku żelaza. Żeby powstał, musiała kiedyś atmosfera Marsa zawierać wiele tlenu. Tlen zaś w takiej ilości mogła wytworzyć tylko bujna roślinność. A więc istniało tu niegdyś życie.

— I jakie życie! — potwierdził Jeni. — Patrzenie!

Pośród pustyni wyrosły przed nami ruiny miasta o kolosalnych rozmiarach.

— Czy budowali je jeszcze Anagwaszi? — spytałem.

— Tak. A tam widzicie resztki olbrzymiego kanału. Gdy planeta zaczęła wysychać, stworzono tu gigantyczny system nawadniający.

— To Schiaparelli miał rację, twierdząc, że zaobserwował kanały, a raczej szerokie pasma roślinności ciągnące się wzdłuż kanałów: ich samych bowiem, ze względu na odległość, nie mógłby dostrzec.

— Kto to ów Schiaparelli?

— Astronom, z końca ubiegłego wieku.

— To albo mu się tylko wydawało, albo było to parapsychiczne widzenie przeszłości, powstałe wskutek nawiązania z obserwowaną planetą osobistego stosunku sympatii. Dziś większość kanałów pokrywają piaski i kratery, a roślinności jak na lekarstwo — odparł Jeni.

— Znam takie fakty cofnięcia się w przeszłość — potwierdził Nenio. — Zdarza się, że ktoś zwiedzając jakieś miejsce nagle widzi, jak wyglądało setki lat wstecz.

— Podobnie, istnieją osoby tak uzdolnione, że biorąc jakiś przedmiot w rękę widzą całą jego historię — dodałem.

— A co to? — zawołała Nancy, wskazując ustawione gwiazdziście zabudowania. Odbijało się od nich słońce, jakby były ze szkła.

— To szklane ogrody Marsjan.

— Marsjan? To Mars jest zamieszkały?

-- Żyje tu jeszcze kilka milionów potomków dawnych Atlantów, a my ich pilnujemy z Dejmosa i Fobosa, żeby się grzecznie

zachowywali, bo to rasa niebezpieczna.

— Czy możemy ich zobaczyć?

— Zapytam się bazy. Chyba tak. Nic nam złego nie mogą zrobić bo ich trzymamy w szachu. Sam ich chętnie obejrzę.

Po krótkim targu komendant bazy wyraził zgodę. Zawiadomił Marsjan o naszym przybyciu i wskazał nam miejsce lądowania.

Miałem więc postawić swoją stopę na czwartym już z kolei globie.

Dalszy ciąg przygód Andry i jego przyjaciół ukáže się w następnym tomie, który ze względów wydawniczych będzie nosił odrębny tytuł: "Wenus w opałach".